

URSULA LE GUIN

JESTESMY SNEM



FRANCOIS
PONS

LE GUIN URSULA K.

Jestesmy snem

URSULA K. LE GUIN

Przełożyła: Agnieszka Sylwanowicz

PHANTOM PRESS INTERNATIONAL

GDAŃSK 1991

Tytuł oryginału: The Lat he ofHccwen

Redaktor: Wiktor Bukato

Ilustracja: Radosław Dylis

Opracowanie graficzne: Maria Dylis

Copyright (c) by Ursula K. Le Guin 1971 (c) Copyright for the Polish edition

by PHANTOM PRESS INTERNATIONAL

GDAŃSK 1991

PRINTED IN GREAT BRITAIN

Wydanie I

ISBN 83-7075-210-1 ISBN 83-900214-1-2

ROZDZIAŁ PIERWSZY

My z tobą, obaj jesteście snem. I ja, kiedy mówię, że jestem snem, snem też jestem. Takie słowa nazywa się paradoksami. Jeśli po setkach wieków ma się znaleźć mędrzec umiejący je rozwiązać, to już by to było, jakbyśmy się mieli z nim spotkać w ciągu dnia.

Zhuangzi: II

Unoszona prądem, rzucona falami, wleczona całą potęgą oceanu meduza dryfuje w otchłani przyływów. Prześwieca przez nią światło, wnika w nią ciemność. Unoszona, rzucona, wleczona znikąd donikąd, bo na otwartym morzu nie istnieje kompas, lecz tylko bliżej i dalej, wyżej i niżej, meduza wisi i chwieje się, w jej wnętrzu bije delikatny i szybki puls, tak jak potężne dzienne pulsy biją w morzu niesionym księżycem. Wisząc, chwiejąc się, pulsując najbezbronnejsze i najbardziej bezcielesne stworzenie ma ku obronie wściekłość i potęgę całego oceanu, któremu powierzyło swe istnienie, swe dążenia i wolę.

Ale oto z wody wznoszą się uparte kontynenty. Połacie żwiru i skaliste urwiska wyskakują zuchwale w powietrze, w tę suchą, straszliwą przestrzeń światłości i niestałości, gdzie nie ma warunków do życia. Wtedy prądy błędzą, a fale zdradzają, wyłamują się ze swego nieskończonego kręgu, aby wystrzelić głośną pianą w skałę, w powietrze i załamać się...

Co pocznie na suchym piasku światła dziennego stworzenie, którego całą istotą jest unoszenie się na falach; co pocznie umysł, budząc się co ranka?

Powieki miał wypalone, więc nie mógł zamknąć oczu; światło wdzierało mu się do mózgu. Nie mógł odwrócić głowy, bo przygniatały go zwalone betonowe bloki, a wystające z nich stalowe pręty trzymały mu głowę jak imadło. Kiedy zniknęły, mógł się znów poruszyć. Usiadł. Leżał na cementowych schodach; obok jego dłoni kwitł mlecz, który wyrastał z małej szczeliny w stopniach. Po chwili wstał, ale natychmiast poczuł straszliwe mdłości; wiedział, że to choroba popromienna. Drzwi znajdowały się zaledwie pół metra od niego, bo nadmuchiwane łóżko wypełniało pokój w połowie. Podszedł do nich, otworzył i przestąpił próg. Przed nim rozciągał się bez końca korytarz wyłożony linoleum, całymi kilometrami wznosząc się i nieznacznie opadając, a gdzieś w oddali, bardzo daleko, znajdowała się męska toaleta. Ruszył ku niej, usiłując trzymać się ściany, ale nie było tam nic, czego mógłby się trzymać, a ściana zmieniła się w podłogę.

–Teraz powoli. Ostrożnie.

Twarz windziarza wisiała nad nim jak papierowy lampion, blada, obramowana siwiejącymi włosami.

–To promieniowanie – odezwał się, ale Mannie chyba nie zrozumiał i powtarzał tylko: – Ostrożnie.

Był znów we własnym łóżku w swoim pokoju.

–Spiełeś się?

–Nie.

–Ćpałeś coś?

–Niedobrze mi.

–Co brałeś?

–Nie mogłem znaleźć właściwego klucza – powiedział, myśląc o próbie zamknięcia drzwi, którymi przychodziły sny, ale żaden z kluczy nie pasował do zamka. 6

–Z piętnastego piętra idzie medyk – powiedział Mannie, ledwo słyszalny przez huk rozbijających się fal.

Szedł na dno i usiłował zaczerpnąć powietrza. Na jego łóżku siedział jakiś obcy, który trzymał strzykawkę i patrzył na niego.

–Pomogło – rzekł. – Przychodzi do siebie. Czujesz się fatalnie? Spokojnie. Powinieneś czuć się fatalnie. Zażyłeś to wszystko na raz? – Wskazał siedem niedużych plastikowych kopert z autowydzielacza lekarstw. – Parszywa mieszanka, barbiturany i dexedryna. Co chciałeś sobie zrobić?

Trudno było oddychać, ale mdłości zniknęły, pozostawiając tylko straszną słabość.

–Wszystkie mają daty z tego tygodnia – ciągnął medyk, młody mężczyzna z brązowym końskim ogonem i popsutymi zębami. – Co znaczy, że nie wszystkie pochodzą z twojej Karty Leków, muszę więc zameldować, że pożyczasz. Nie mam ochoty tego robić, ale rozumiesz, wezwano mnie i nie mam wyboru. Ale nie martw się, przy tych lekarstwach to nie przestępstwo, dostaniesz tylko zawiadomienie, żeby zgłosić się na posterunek policji, a oni wyślą cię do Medszkoły albo Kliniki Rejonowej na badanie i zostaniesz skierowany do internisty albo psychiatry na DT – Dobrowolną Terapię. Już ci wypełniłem formularz, dane wziąłem z twojego DO; musisz mi tylko jeszcze powiedzieć, jak długo bierzesz środki spoza osobistego przydziału?

–Parę miesięcy.

Medyk zanotował coś na kartce, którą trzymał na kolanie.

–A od kogo pożyczalesz Karty Leków?

–Od przyjaciół.

–Muszę mieć ich nazwiska. – Po chwili medyk odezwał się:

–W każdym razie jedno nazwisko. To tylko formalność. Nie będą przez to mieli kłopotów. Wiesz, dostaną tylko policyjne upomnienie, a Kontrola ZOOS będzie przez rok sprawdzać ich Karty Leków. To tylko formalność. Jedno nazwisko.

–Nie mogę. Oni chcieli mi pomóc.

–Słuchaj, jeśli nie podasz tych nazwisk, będzie to stawianie oporu i albo pójdziesz do więzienia, albo wsadzę cię do psychiatryka na Przymusową Terapię. A tak czy owak mogą dotrzeć do kart przez dane w autowydzielaczach, jeśli zechcą, ale to po prostu zaoszczędzi im czasu. No, podaj mi jedno nazwisko.

Zakrył twarz rękami przed nieznośnym światłem i powiedział:

–Nie mogę. Nie mogę tego zrobić. Potrzebuję pomocy.

–Pożyczył kartę ode mnie – odezwał się windziarz. – Tak. Mannie Ahrens. 247-602-6023.

Długopis medyka pobiegł po papierze.

–Nigdy nie używałem twojej karty.

–No to wykołuj ich trochę. Nie będą sprawdzać. Ludzie stale używają cudzych Kart Leków, nie da się tego sprawdzić. Ja ciągle pożyczam swoją, używam czyjejś innej. Mam całą kolekcję tych upomnień. Oni nie wiedzą. Brałem rzeczy, o których w ZOOS nawet nie słyszeli. Za nic jeszcze u nich nie wiesz. Nie przejmuj się, George.

–Nie mogę – rzekł, mając na myśli to, że nie może pozwolić Manniemu kłamać dla siebie, nie może mu zabronić kłamać dla siebie, nie może się nie przejmować, nie może już tak dalej.

–Za dwie, trzy godziny poczujesz się lepiej – odezwał się medyk. – Ale dzisiaj leż. Tak czy owak śródmieście jest kom-8

piętnie zatkane, kierowcy GPRT próbują kolejnego strajku, a Straż Narodowa usiłuje prowadzić metro. W wiadomościach podają, że bałagan jest jak diabli. Zostań tu. Muszę iść piechotą do pracy, cholera, dziesięć minut drogi stąd, to ten Państwowy Kompleks Mieszkaniowy przy Asfaltówce. – Łóżko podskoczyło, kiedy wstał. – Wiesz, że w tym jednym kompleksie jest dwieście sześćdziesiąt dzieciaków chorych na kwashiorkor? Wszystkie z rodzin o niskich dochodach albo na Zasiłku Podstawowym, więc nie dostają protein. I co ja mam do diabła z tym zrobić? Złożyłem pięć różnych zapotrzebowań na Minimalną Dawkę Protein dla tych malców i

wcale ich nie przysyłają. Ci urzędnicy to tylko biurokracja i usprawiedliwienia. Ciągłe mi powtarzają, że ludzi na Zasiłku Podstawowym stać na kupno odpowiedniej żywności. Jasne, ale jeśli nie można kupić tej żywności? Och, do diabła z tym. Dam im zastrzyki z witaminy C i będę udawał, że niedożywienie to tylko szkorbut.

Drzwi zamknęły się. Łóżko podskoczyło, kiedy Mannie usiadł na nim tam, gdzie przedtem siedział medyk. Czuć było delikatny, słodkawy zapach jakby świeżo skoszonej trawy. Z ciemności zamkniętych oczu, z podnoszącej się wszędzie wokół mgły głos Manniego dobiegał niewyraźnie:

–Czy to nie wspaniale: żyć?

ROZDZIAŁ DRUGI

Brama Niebios nie jest bytem.

Zhuangzi: XXIII

Gabinet doktora Williama Habera nie miał widoku na górę Hood. Był to wewnętrzny Apartament Funkcjonalny na sześćdziesiątym trzecim piętrze Wschodniego Wieżowca Willamette, który nie miał widoku na nic. Ale na jednej z pozbawionych okien ścian widniała ogromna fotografia góry Hood i rozmawiając przez interkom ze swoją recepcjonistką doktor Haber patrzył właśnie na nią.

–Kto to jest ten Orr, Penny? To ten histeryk z objawami trądu?

Siedziała zaledwie o metr przez ścianę, ale interkom, podobnie jak dyplom na ścianie, wzbudzały zaufanie u pacjenta w równym stopniu, co pewność siebie u lekarza. A nie wypada, żeby psychiatra otwierał drzwi i wołał: "Następny!"

–Nie, panie doktorze, to pan Greene jutro o dziesiątej. Ten ma skierowanie od doktora Waltersa z Wydziału Medycznego na Uniwersytecie, na DT.

–Nadużywanie leków. Doskonale. Mam tu jego kartę. Dobra, wpuść go, jak przyjdzie.

Jeszcze kiedy mówił, usłyszał, jak nadjeżdża z jękiem winda, zatrzymuje się, drzwi otwierają się z syknięciem; potem kroki, wahanie, otwarcie zewnętrznych drzwi. Skoro już nasłuchiwał, słyszał także skrzypienie drzwi, maszyny do pisania, głosy, spuszczenie wody w pomieszczeniach wzdłuż korytarza oraz tych nad i pod nim. Chodziło o to, żeby nauczyć 10

się ich nie słyszeć; jedyne solidne ścianki działowe istniały już tylko w umyśle.

Teraz Penny załatwiała z pacjentem formalności związane z pierwszą wizytą; czekając doktor Haber znów spojrzał na zdjęcie i zastanawiał się, kiedy je zrobiono. Błękitne niebo, śnieg od otaczających wzgórz po szczyt. Niewątpliwie dawno, w latach sześćdziesiątych lub siedemdziesiątych. Efekt cieplarniany postępował dość powoli i Haber urodzony w 1962 roku wyraźnie pamiętał błękitne niebo swego dzieciństwa. Teraz nieliczne śniegi zniknęły ze wszystkich gór świata, nawet z Everestu, nawet z Erebusu o ognistym gardle na jałowym wybrzeżu Antarktydy. Ale oczywiście mogli podkolorować współczesną fotografię, sfalszować błękit nieba i biały szczyt; tego nie da się stwierdzić.

–Dzień dobry, panie Orr! – rzekł wstając, uśmiechając się, ale nie podając ręki; ostatnio wielu pacjentów wykazywało silny strach przed kontaktem fizycznym.

Pacjent niepewnie cofnął prawie wyciągniętą już rękę, nerwowo dotknął naszyjnika i powiedział:

–Dzień dobry.

Naszyjnik był zwykłym długim łańcuszkiem z posrebrzanej stali. Ubranie zwyczajne, standard urzędniczy; włosy o tradycyjnej długości do ramion, broda krótka. Jasne włosy i oczy, niski, szczupły, schludny mężczyzna, lekko niedożywiony, dobry stan zdrowia, dwadzieścia osiem do trzydziestu dwóch lat. Nieagresywny, spokojny, pokorny, z zahamowaniami, konwencjonalny. Najważniejszym okresem stosunków z pacjentem, jak mawiał Haber, jest pierwsze dziesięć sekund.

–Niech pan siada, panie Orr. Doskonale! Pali pan? Te z

brązowym filtrem to uspokajacze, a te białe są bez nikotyny. – Orr nie palił. – Dobrze, zobaczymy, czy zgadzamy się w ocenie pańskiej sytuacji. Kontrola ZOOS chce się dowiedzieć, dlaczego pożyczał pan od znajomych Karty Leków, żeby uzyskać więcej, niż wynosi przydział tabletek pobudzających i nasennych z automatu. Tak? Więc wysłali pana do chłopców na wzgórzu, a oni zalecili Dobrowolną Terapię i skierowali pana do mnie na leczenie. Zgadza się?

Słyszał własny jowialny, swobodny głos, starannie obliczony na rozluźnienie słuchacza. Ale ten słuchacz wcale nie był rozluźniony. Często mrugał oczyma, miał napiętą postawę siedzącą, a układ rąk zbyt formalny: klasyczny obraz tłumionego niepokoju. Skinął głową, jakby w tym samym momencie przełykał.

–Och, świetnie, nie ma w tym nic zdrożnego. Gdyby pan gromadził tabletki, żeby je sprzedać uzależnionym lub popełnić z ich pomocą morderstwo, to byłby pan w tarapatach. Ale skoro pan je po prostu zażywał, karą będzie tylko parę spotkań ze mną! Oczywiście, chcą się dowiedzieć, dlaczego pan je zażywał, żebyśmy razem mogli wypracować lepszy model życia dla pana, który po pierwsze utrzyma pana w limicie dawek pańskiej własnej Karty Leków, a po drugie może w ogóle uniezależni pana od lekarstw. Otóż zazwyczaj -powędrował na chwilę wzrokiem do teczki przysłanej ze Szkoły Medycznej – zażywał pan barbiturany przez parę tygodni, potem na kilka nocy przerzucał się pan na dextro-amfetaminę, a potem znów na barbiturany. Jak to się zaczęło? Bezsennością?

–Śpię dobrze.

–Ale miewa pan koszmary. 12

Mężczyzna podniósł wzrok, przestraszony: przebłysk bladego przerażenia. To będzie prosty przypadek. Nie ma mechanizmów obronnych.

–Tak jakby – powiedział ochryple.

–Łatwo się tego domyśliłem, panie Orr. Zwykle przysyłają mi takich ze snami. – Wyszczrzył zęby w uśmiechu. – Jestem specjalistą od snów. Dosłownie. Oniologiem. Sen i marzenia senne to moja specjalność. Dobrze, teraz mogę przystąpić do następnego uczonego domysłu, a mianowicie, że używał pan fenobarbitalu, aby stłumić sny, ale stwierdził pan, że wraz z przyzwyczajeniem lek ma coraz mniejsze działanie, aż w ogóle przestaje blokować marzenia senne. Podobnie z dexedryną. Tak więc zażywał je pan na zmianę. Tak?

Pacjent skinął sztywno głową.

–Dlaczego okres zażywania dexedryny był zawsze krótki?

–Robiłem się od niej nerwowo.

–No chyba. A ta ostatnia kombinowana dawka, którą pan zażył, to lulu. Ale sama w sobie niegroźna. Ale i tak, panie Orr, robił pan niebezpieczne rzeczy. – Przerwał dla efektu. – Pozbawiał się pan snów.

Pacjent znów skinął głową.

–Czy próbuje się pan pozbyć jedzenia i wody, panie Orr? Czy próbował pan ostatnio żyć bez powietrza?

Dalej mówił jowialnym tonem i pacjent wydusił z siebie przelotny uśmiech.

–Wie pan, że potrzebuje pan snu. Tak jak potrzebuje pan jedzenia, wody i powietrza. Ale czy zdawał pan sobie sprawę, że sam sen nie wystarcza, że pański organizm równie silnie domaga się swego przydziału marzeń sennych? Systematycznie pozbawiany snów, pański mózg będzie wyczyniał dziwne

rzeczy. Będzie pan drażliwy, głodny, niezdolny do koncentracji. Nie brzmi to znajomo? To nie sama dexedryna -skłonność do snów na jawie, nierówny czas reakcji, zapominanie, brak odpowiedzialności i skłonność do fantazji paranoidalnych. I w końcu zmusi pana do śnienia – bez względu na okoliczności. Żaden lek nie powstrzyma pana od śnienia, chyba żeby pana zabił. Na przykład skrajny alkoholizm może doprowadzić do śmiertelnego schorzenia zwanego rozpadem mieliny mostu, wywoływanego uszkodzeniem mózgu przez brak śnienia. Nie brak snu! W wyniku tego specyficznego stanu, pojawiającego się podczas snu, stanu marzeń, snu REM, stanu M. Otóż nie jest pan alkoholiczkiem i nie jest pan martwy, tak więc wiem, że cokolwiek pan zażywał, aby stłumić śnienie, miało skutek tylko częściowy. Dlatego też: a – jest pan w kiepskiej formie fizycznej z powodu częściowego braku śnienia i b – próbował pan zapędzić się w ślepią uliczkę. Dobrze. Jak pan w nią wszedł? Jak rozumiem – ze strachu przed snami, złymi snami albo przed tym, co pan uważa za złe sny. Czy może mi pan cokolwiek powiedzieć o tych snach?

Orr zawahał się.

Haber otworzył usta i znów je zamknął. Tak często wiedział, co chcą powiedzieć jego pacjenci, i potrafił to za nich powiedzieć lepiej, niż zrobiliby to sami. Ale ważne było, żeby to oni uczynili ten krok. Nie mógł tego za nich zrobić. I w ogóle to gadanie to tylko wstęp, resztki rytuału z czasów rozkwitu analizy; chodziło jedynie o ułatwienie mu decyzji, jak pomóc pacjentowi, czy wskazane jest warunkowanie pozytywne czy negatywne, co w ogóle ma robić.

–Chyba nie mam więcej koszmarów niż większość ludzi -14

mówił Orr, patrząc sobie na ręce. – To nic specjalnego. Boję się... snów.

–Złych snów.

–Jakichkolwiek snów.

–Rozumiem. Czy wie pan chociaż, skąd wziął się ten strach? Albo czego się pan boi, chce uniknąć?

Ponieważ Orr nie odpowiedział od razu, lecz siedział wpatrując się w swoje ręce, kwadratowe, czerwone ręce spokojnie leżące na kolanie, Haber troszeczkę mu podpowiedział:

–Czy to irracjonalność, chaos, czasami niemoralność snów, czy pana coś takiego niepokoi?

–Tak, w pewien sposób. Ale istnieje określona przyczyna. Widzi pan, ja... ja...

Tu jest punkt zwrotny, blok – pomyślał Haber też obserwując te napięte ręce. – Biedak. Moczy się we śnie i ma na tym tle kompleks winy. Chłopięce moczenie bezwiedne, surowa matka..."

–1 tu przestaje mi pan wierzyć.

"Facecik jest bardziej chory, niż wyglądało."

–Człowieka, który zajmuje się snami na jawie i we śnie, nie bardzo dotyczy wiara i niewiara, panie Orr. Nie są to kategorie, których często używam. Nie mają tu zastosowania. Proszę więc nie zwracać na nie uwagi i mówić dalej. Mnie to interesuje. – Czy to nie zabrzmiało protekcyjnie? Spojrzał na Orra, żeby stwierdzić, czy ten nie wziął mu tego za złe i na chwilę napotkał jego oczy. "Niezwykle piękne oczy" -pomyślał Haber i zdziwił się przy tym słowie, bo piękno nie było kategorią, której używał często. Tęczówki były błękitne albo szare, bardzo jasne, jakby przezroczyste. Przez chwilę

identyfikowali się z nimi, ale i tak zajmował mu jedną czwartą gabinetu. – To Machina Snów – powiedział z uśmiechem – albo, prozaicznie, Wzmacniacz. Jego zadaniem będzie wprowadzić pana w sen i marzenia senne – na tak krótko i powierzchownie lub tak długo i głęboko, jak zechcemy. Ach, tak nawiasem mówiąc, tę pacjentkę z depresją wypisano z Linnton zeszłego lata jako w pełni wyleczoną. – Pochylił się do przodu. – Chce pan spróbować?

–Teraz?

–A na co chce pan czekać?

–Ale nie mogę zasnąć o w pół do piątej po południu... -1 zrobił głupią minę. Haber grzebał w przepelnionej szufladzie w biurku i teraz wyciągnął jakiś papier, formularz Zgody na Hipnozę wymagany przez ZOOS. Orr wziął długopis, który wyciągnął do niego Haber, podpisał formularz i położył go posłusznie na biurku.

–Dobrze. Doskonale. A teraz powiedz mi, George, czy twój dentysta używał hipnotaśmy, czy jest zwolennikiem metody zrób-to-sam?

–Taśmy. Na skali podatności mam trójkę.

–W samym środku wykresu, co? No tak, żeby sugestia co do treści snu miała dobry skutek, będziemy musieli wprowadzić cię w dość głęboki trans. Nie chcemy snów w transie, ale snów podczas prawdziwego uśpienia, zapewni nam to Wzmacniacz, ale chcemy mieć pewność, że sugestia trafi naprawdę głęboko. A więc, aby uniknąć całych godzin warunkowania cię do wejścia w głęboki trans, użyjemy indukcji v-c. Widziałeś kiedyś, jak to się robi?

Orr potrząsnął głową. Wyglądał na przestraszonego, ale nie protestował. Miał w sobie coś uległego, biernego; coś, co 24

sprawiało wrażenie kobiecości, a nawet dziecinności. Haber rozpoznał u siebie reakcje opiekuńczo-agresywną względem tego niewielkiego fizycznie i uległego mężczyzny. Zdominować go i traktować protekcyjnie było tak łatwo, że pokusa była prawie nieodparta.

–Stosuję ją u większości pacjentów. Jest szybka, bezpieczna i pewna. Najlepsza metoda wprowadzania w hipnozę przy minimalnym wysiłku i dla hipnotyzera, i dla pacjenta. – Orr na pewno musiał słyszeć przerażające opowieści o uszkodzeniach mózgu lub zgonach spowodowanych przedłużoną lub niewłaściwie prowadzoną indukcją v-c, i choć takie obawy tu nie miały podstaw, Haber musiał je zneutralizować, bo inaczej Orr mógłby oprzeć się całej indukcji. Więc opisywał

żargonem pięćdziesiąt lat historii indukcji metodą v-c, a potem zupełnie zboczył z tematu hipnozy z powrotem w sen i sny, żeby odciągnąć uwagę Orra od procesu indukcji, a skierować ją na jej cel. – Przepaść, którą musimy pokonać, to, widzisz, przerwa pomiędzy stanem jawy lub transu hipnotycznego a stanem marzeń sennych. Ta przerwa ma zwykłą nazwę snu. Normalnego snu, nie snu REM, którąkolwiek wolisz nazwę. Otóż istnieją z grubsza biorąc cztery stany umysłowe, które nas dotyczą: jawa, trans, sen i śnienie. Jeśli spojrzeć na procesy mózgowe, sen, śnienie i hipnoza mają jedną rzecz wspólną: sen, śnienie i trans wyzwalają aktywność podświadomości, mają tendencję uruchamiania myślenia stopnia pierwotnego, podczas gdy rozumowanie na jawie jest procesem wtórnym – racjonalnym. Ale spójrzmy teraz na zapisy EEG tych czterech stanów. Otóż śnienie, trans i jawa mają wiele wspólnego, podczas gdy sen jest zupełnie inny. I nie można z transu przejść prosto w prawdziwe

śnienie. Między nimi musi być sen. Zwykle w stan śnienia wchodzi się cztery lub pięć razy w ciągu nocy, co godzinę lub dwie i tylko na kwadrans za każdym razem. Przez resztę czasu człowiek znajduje się w takim czy innym stadium normalnego snu, i tutaj też są sny, ale zazwyczaj niezbyt wyraźne; praca mózgu w stanie snu przypomina silnik na wolnych obrotach, coś jak jednostajny szmer obrazów i myśli. A nas interesują wyraźne, naładowane emocjonalnie, pamiętne sny stanu śnienia. Nasza hipnoza i Wzmacniacz gwarantują ich wywołanie, przekroczenie neurofizjologicznej i czasowej przepaści snu wprost do śnienia. Więc trzeba, żebyś się położył tu na kozetce. Pionierami w mojej dziedzinie byli De-mcnt, Aserinsky, Berger, Oswald, Hartmann i cała reszta, ale kozetkę mamy prosto od papy Freuda... Niestety, służy ona do spania, co miał za złe. No więc tak na początek chcę, żebyś usiadł tu w nogach. Tak, doskonale. Spędzisz tu trochę czasu, więc usiądź wygodnie. Mówiłeś, że próbowałeś auto-hipnozy, tak? Dobrze, więc zastosuj technikę, jakiej używałeś przedtem. Co być powiedział na głębokie oddychanie? Dolicz do dziesięciu przy wdechu, zatrzymaj powietrze przez pięć; tak, dobrze, wspaniale. Może być spojrzal na sufit, prosto nad głową. O.K., dobrze.

Kiedy Orr posłusznie odchylił głowę do tyłu, Haber będący tuż za nim szybko i cicho wyciągnął lewą rękę, przyłożył mu ją z tyłu głowy i mocno nacisnął kciukiem i jednym z palców miejsce poniżej każdego ucha; jednocześnie prawy kciuk i palec mocno przycisnął do odsłoniętego gardła, tuż pod miękką blond brodą, gdzie przebiega nerw błędny i tętnica szyjna. Czuł pod palcami delikatną, bladą skórę; poczuł pierwszy ruch zaskoczenia i protestu, a potem ujrzał, jak 26

przejrzyste oczy zamykają się. Przebiegł go dreszcz radości z własnej sprawności, z natychmiastowej dominacji nad pacjentem, gdy szybko i cicho mamrotał:

–Zapadniesz teraz w sen; zamknij oczy, zaśnij, odpręż się, oczyść umysł; zasypiasz, jesteś odprężony, bezwładny, odpręż się...

I Orr padł do tyłu na kozetkę jak zabity, z prawą ręką luźno opadającą z boku.

Haber natychmiast ukląkł przy nim, prawą rękę delikatnie trzymając na miejscach ucisku i nie przerywając ani na moment cichego, szybkiego potoku sugestii:

–Jesteś teraz w transie, nie we śnie, ale w głębokim transie hipnotycznym i nie wyjdiesz z niego ani się nie obudzisz, póki ci nie powiem. Jesteś teraz w transie i cały czas zapadasz w niego głębiej, ale ciągle słyszysz mój głos i wykonujesz moje polecenia. Potem, kiedy tylko dotknę twego gardła, tak jak teraz, natychmiast zapadniesz w trans hipnotyczny. – Powtórzył te instrukcje i ciągnął: – Teraz, kiedy każę ci otworzyć oczy, posłuchasz mnie i zobaczysz unoszącą się przed tobą

kryształową kulę. Chciałbym, żebyś się na niej skupił -wtedy będziesz się coraz głębiej pogrązał w transie. Teraz otwórz oczy, tak, dobrze, i powiedz mi, kiedy zobaczysz kryształową kulę.

Jasne oczy z dziwnym spojrzeniem skierowanym do wewnątrz popatrzyły obok Habera.

–Teraz – powiedział bardzo cicho, zahipnotyzowany.

–Dobrze. Patrz na nią dalej i oddychaj regularnie; niedługo znajdziesz się w bardzo głębokim transie...

Haber rzucił okiem na zegar. Wszystko to zajęło tylko parę minut. Dobrze; nie lubił tracić czasu na środki, bo chodzi

o to, żeby osiągnąć pożądaną cel. Kiedy Orr leżał, wpatrując się w swoją wyimaginowaną kryształową kulę, Haber wstał i zaczął dopasowywać mu zmodyfikowany hełm, ciągle zdejmując go i nakładając z powrotem, żeby ustawić maleńkie elektrody i umieścić mu je na głowie pod gęstymi, jasno-brązowymi włosami. Odzywał się często i cicho, powtarzając sugestie i czasami zadając uprzejme pytania, żeby Orr jeszcze nie odpłynął w sen i pozostał w kontakcie. Gdy tylko hełm znalazł się we właściwej pozycji, Haber włączył EEG i przez chwilę go obserwował, chcąc zobaczyć, jak wygląda ten mózg.

Osiem elektrod hełmu wchodziło do EEG; wewnątrz urządzenia osiem pisaków prowadziło stały zapis elektrycznej aktywności mózgu. Na ekranie, który obserwował Haber, impulsy były odtwarzane bezpośrednio – rozbiegane białe grzmoty na ciemnoszarym tle. Mógł dowolnie oddzielić i powiększyć jeden z nich lub nałożyć jeden na drugi. Ten widok nigdy go nie męczył, ten całonocny film, program na kanale pierwszym.

Nie było żadnych esowatych ostrych wierzchołków, których się spodziewał, a które towarzyszą pewnym typom osobowości schizofrenicznych. W całości obrazu nie było nic niezwykłego poza jego różnorodnością. Prosty mózg wytwarza stosunkowo prosty zestaw poszarpanych linii i zadowala się ich powtarzaniem; ale to nie był prosty mózg. Ruchy miał subtelne i złożone, a powtórzenia ani częste, ani monotonne. Komputer Wzmacniacza zanalizuje je, ale przed ujrzeniem analizy Haber nie mógł wyodrębnić żadnego pojedynczego czynnika oprócz właśnie złożoności.

Poleciwszy pacjentowi przestać widzieć kryształową kulę i zamknąć oczy, prawie natychmiast uzyskał silny, wyraźny

wykres alfa w dwunastu cyklach. Pobawił się jeszcze trochę mózgiem, zbierając dane dla komputera i badając głębokość hipnozy, a potem rzekł:

–A teraz, John... – Nie, jakżeż on, do diabła, ma na imię? – George. Za minutę zaśniesz, dopóki nie powiem: "Antwerpia"; kiedy to powiem, zaśniesz i będziesz spał, póki nie powtórzę trzykrotnie twego imienia. Przyśni ci się dobry sen. Jeden wyraźny, przyjemny sen. Wcale nie zły sen, ale przyjemny, wyraźny i realistyczny. Kiedy się obudzisz, przypomnisz go sobie. Sen będzie o... – Zawahał się przez chwilę; niczego nie zaplanował, polegając na natchnieniu. – O koniu. O dużym gniadym koniu galopującym po łące. Biegającym w koło. Może będziesz na nim jechał, może go złapiesz albo może po prostu będziesz go obserwował. Ale sen będzie o koniu. Realistyczny -jakiego to słowa użył pacjent? – efektywny sen o koniu. Po tym nic innego już ci się nie przyśni; a kiedy wypowiem twoje imię trzy razy, obudzisz się spokojny i wypoczęty. A teraz pogrążę cię w sen... mówiąc... Antwerpia.

Cienkie roztańczone linie na ekranie zaczęły posłusznie się zmieniać. Pogrubiały i zwolniły ruchy; wkrótce zaczęły się pojawiać wrzecionowate kształty drugiego stadium snu i ślady rozciągniętego, głębokiego rytmu delta stadium czwartego. A wraz ze zmianą rytmów mózgu to samo zaszło z ciężką materią zamieszkiwaną przez tę tańczącą energię: dłonie leżały rozluźnione na piersi unoszącej się w powolnym oddechu, twarz była nieobecna i nieruchoma.

Wzmacniacz uzyskał już pełny zapis działalności mózgu na jawie. Teraz zapisywał i analizował wykresy snu; wkrótce będzie wyłapywał początki wykresów snu stanu M, i nawet podczas pierwszego snu będzie w stanie wprowadzić te im29

pulsy z powrotem do uśpionego mózgu, wzmacniając jego własną emisję. Właściwie może robi to już teraz. Haber przygotował się na oczekiwanie, ale sugestia hipnotyczna plus długie samopozbawienie się przez pacjenta snów natychmiast wprowadziło go w stan M; ledwo osiągnął stadium drugie, pojawiło się ponowne wznoszenie. Linie chwiejące się powoli na ekranie podskoczyły raz tu i ówdzie, znów zatańczyły, zaczęły przyśpieszać i drgać, przyjmując gwałtowny, chaotyczny rytm. Teraz uaktywnił się most, a wykres hipo-kampa wykazywał pięciosekundowy cykl, inaczej rytm theta, który przedtem nie pojawił się wyraźnie. Palce pacjenta drgnęły, oczy pod zamkniętymi powiekami poruszyły się obserwując, wargi rozchyliły się do głębokiego oddechu. Śpiący śnił.

Była 17.06.

O 17.11 Haber przycisnął czarny guzik wyłączający Wzmacniacz. O 17.12, zauważywszy na powrót ostre iglice i wrzeciona normalnego snu, pochylił się nad pacjentem i trzykrotnie powiedział jego imię.

Orr westchnął, poruszył ręką w szerokim, swobodnym geście, otworzył oczy i obudził się. Kilkoma zręcznymi ruchami Haber odłączył elektrody od głowy pacjenta.

–Jak się czujesz? O.K.? – spytał zadowolony i pewny siebie.

–Dobrze.

–A śniłeś. Tyle ci mogę powiedzieć. Możesz mi opowiedzieć ten sen?

–Koń – powiedział Orr chrapliwie, jeszcze oszołomiony snem. Usiadł. – Sen był o koniu. O tym. – Machnął ręką w kierunku fotościany zdobiącej gabinet Habera, fotografii wspaniałego ogiera wyścigowego Tammany Hali brykającego po trawiastym padoku. 30

–Co ci się o nim śniło? – spytał Haber zadowolony. Nie był pewien, czy sugestia hipnotyczna wpłynie na treść snu podczas pierwszego seansu.

–Chodził... chodził po tym polu i przez chwilę znajdował się tam dalej. Potem ruszył galopem na mnie i po chwili zdałem sobie sprawę, że mnie przewróci. Ale w ogóle się nie bałem. Sądziłem, że może uda mi się złapać go za uzdę albo wskoczyć mu na grzbiet. Wiedziałem, że właściwie nie może mi zrobić nic złego, bo jest koniem z pańskiego zdjęcia, jest nieprawdziwy. To było jak jakaś gra... Doktorze Haber, czy nie uderza pana w tym zdjęciu nic... nic niezwykłego?

–No cóż, niektórzy uważają, że jest zbyt dramatyczne jak na gabinet lekarza od czubków, trochę za bardzo przytłaczające. Symbol seksualny naturalnej wielkości prosto przed kozetką. – Roześmiał się.

–Czy był tu godzinę temu? To znaczy, nie był to widok góry Hood, kiedy wszedłem zanim przyśnił mi się koń?

Chryste, to był widok góry Hood, facet miał rację.

To nie był widok góry Hood, to nie mógł być widok góry Hood, to był koń, to był przecież koń.

To była góra.

Koń to był, koń to był...

Wpatrywał się w George'a Orra, wpatrywał się w niego bez wyrazu, od pytania Orra musiało upłynąć kilka sekund, nie może dać się przyłapać, musi wzbudzać zaufanie, zna odpowiedzi.

–George, czy pamiętasz to zdjęcie jako fotografię góry Hood?

–Tak – rzekł Orr tym swoim raczej smutnym, ale niewzruszonym głosem. – Pamiętam. Góra była pokryta śniegiem.

Haber zapomniał się i wpatrzył w te przejrzyste, nieuchwytnie oczy, ale tylko przez chwilę, tak że jego świadomość prawie nie zarejestrowała niezwykłości owego przeżycia.

–No... – powiedział Orr, jakby podjął decyzję – miewam sny, które... które wpływają na... świat jawy. Na prawdziwy świat.

–Wszyscy je miewamy, panie Orr.

Orr wytrzeszczył oczy. Ideał prostoduszności.

–Wpływ snów tuż przed przebudzeniem na ogólny poziom emocjonalny psychiki może być... Ale ideał prostoduszności przerwał mu:

–Nie, nie o to chodzi. – 1 lekko się jękając: – Rzecz w tym, że coś mi się przyśniło, a potem się sprawdziło.

–Nietrudno w to uwierzyć, pani Orr. Mówię to całkiem poważnie. Od czasów rozkwitu myśli naukowej ludzie nie są skłonni kwestionować takich stwierdzeń, a już o wiele mniej nie wierzyć im. Sny pro...

–To nie są sny prorocze. Ja nie potrafię niczego przewidzieć. Ja po prostu zmieniam rzeczywistość. – Dłonie miał mocno zaciśnięte. Nic dziwnego, że grube ryby ze Szkoły Medycznej go tu przysłały. Zawsze przysyłali Haberowi trudne orzechy do zgryzienia.

–Czy może mi pan podać jakiś przykład? Powiedzmy, czy może pan sobie przypomnieć, kiedy po raz pierwszy przyśnił się panu taki sen? Ile miał pan lat?

Pacjent wahał się długo, aż w końcu powiedział:

–Chyba szesnaście. – Nadal zachowywał się ulegle; wykazywał znaczny strach przed tematem, ale żadnej wrogości czy odruchów obronnych względem Habera. – Nie jestem pewien. 16

–Niech mi pan opowie o pierwszym razie, którego jest pan pewien.

–Miałem siedemnaście lat. Mieszkałem jeszcze z rodzicami i była też u nas siostra matki. Rozwodziła się i nie pracowała, miała tylko Zasilek Podstawowy. Była na swój sposób miła. Mieliśmy normalne trzypokojowe mieszkanie i ona tam była przez cały czas. Matkę doprowadzało to do szału. Chcę powiedzieć, że ciotka Ethel nie była delikatna. Godzinami przesiadywała w łazience – jeszcze mieliśmy w tym mieszkaniu

prywatną łazienkę. A ona ciągle robiła mi jakby żartobliwe przedstawienia. Na wpół żartobliwe. Przychodziła do mojego pokoju w piżamie topless i tak dalej. Miała jakieś trzydzieści lat. Robiłem się od tego jakby spięty. Nie miałem jeszcze dziewczyny i... wie pan. Wiek dorastania. Łatwo się podniecić. Złościło mnie to. To, znaczy, była moja ciotka.

Zerknął na Habera, aby się upewnić, że lekarz wie, co go złościło i że go nie potępia. Nachalna swoboda schyłku XX wieku wywoływała u swych spadkobierców tyle samo poczucia winy i strachu związanego z seksem, ile nachalna represyjność schyłku XIX wieku. Orr obawiał się, że Haber może być zgorszony, iż nie chciał pójść do łóżka z własną ciotką. Haber zachowywał niezobowiązujący, ale zainteresowany wyraz twarzy i Orr brnął dalej:

–No i miałem dużo jakby niespokojnych snów i ta ciotka zawsze w nich była. Zwykle w przebraniu, tak jak czasami zdarza się ludziom w snach; raz była białym kotem, ale i tak wiedziałem, że to Ethel. No więc kiedy wreszcie jednego wieczoru namówiła mnie, abym wziął ją do kina, próbowała skłonić mnie, żebym ją dotykał, a potem, kiedy wróciliśmy do domu, ciągle rzucała się na moje łóżko i powtarzała, jak

to moi rodzice śpią i tak dalej, no więc, kiedy wreszcie wyprosiłem ją z pokoju i położyłem się, przyśnił mi się ten sen. Bardzo realistyczny. Kiedy się obudziłem, przypomniałem go sobie w całości. Śniło mi się, że Ethel zginęła w wypadku samochodowym w Los Angeles i że przyszedł telegram. Matka płakała, usiłując zrobić kolację, a mnie było jej żal i chciałem coś dla niej zrobić, ale nie wiedziałem, co. To wszystko... Tylko że kiedy wstałem, poszedłem do saloniku. Ani śladu Ethel na tapczanie. W mieszkaniu nie było nikogo innego, tylko rodzice i ja. Jej nie było. Nigdy jej tam nie było. Nie musiałem pytać. Pamiętałem to. Wiedziałem, że ciotka Ethel zginęła w wypadku samochodowym sześć tygodni temu na autostradzie w Los Angeles, wracając do domu po wizycie u prawnika w sprawie rozwodu. Dostaliśmy telegram. Cały sen był jakby powtórnym przeżyciem czegoś, co się rzeczywiście wydarzyło. Tylko że to się wcale nie wydarzyło. Do czasu snu. To znaczy, że równocześnie wiedziałem, iż mieszkała z nami, spała na tapczanie w saloniku aż do poprzedniej nocy.

–Ale nie było nic, co mogłoby to wykazać, udowodnić?

–Nie. Niczego. Nie było jej. Nikt nie pamiętał, że była, oprócz mnie. A ja się myliłem. Teraz.

Haber skinął mądrze głową i pogłaskał się po brodzie. To co wydawało się łagodnym przypadkiem uzależnienia od leków, okazywało się poważnym zaburzeniem, ale nigdy nie przedstawiono mu systemu urojeń w tak bezpośredni sposób. Orr mógłby być inteligentnym schizofrenikiem wciskającym mu kit i nabierającym go ze schizofreniczną pomysłowością i przebiegłością, ale nie miał tej lekkiej wewnętrznej arogancji takich ludzi, na którą Haber był niezwykle wrażliwy. 18

–Dlaczego uważał pan, że matka nie zauważyła zmiany rzeczywistości przez tamtą noc?

–No bo jej się to nie przyśniło. To znaczy, ten sen naprawdę zmienił rzeczywistość. Stworzył wstecznie inną rzeczywistość, której częścią ona była cały czas. Istniejąc w niej, nie pamiętała żadnej innej. Ja tak, ja pamiętałem obie, bo tam... byłem... w chwili zmiany. Tylko w taki sposób potrafię to wyjaśnić; wiem, że to nie ma sensu. Ale muszę mieć jakieś wyjaśnienie albo trzeba będzie uznać, że postradałem zmysły.

"Nie, ten facet nie jest mięczakiem."

–Nie zajmuję się osądzaniem, panie Orr. Ja poszukuję faktów. A proszę mi wierzyć, że zdarzenia umysłowe są dla mnie faktami. Kiedy widzi się czyjś sen rejestrowany w trakcie śnienia przez elektroencefalograf, czarno na białym, jak ja to robiłem dziesięć tysięcy razy, nie mówi się o snach, że są "nierzeczywiste". One istnieją: są

zdarzeniami, zostawiają po sobie ślad. O.K. Rozumiem, że miał pan inne sny, mające jakoby podobny efekt?

–Kilka. Przez długi czas nie. Tylko pod wpływem napięcia. Ale wydawało się, że... że zdarza się to częściej. Zacząłem się bać.

Haber pochylił się do przodu.

–Dlaczego?

Orr patrzył na niego bez wyrazu.

–Dlaczego się pan bał?

–Bo nie chcę zmieniać rzeczywistości! – powiedział Orr, jakby stwierdzał coś absolutnie oczywistego. – Kimże ja jestem, żeby wtrącać się w bieg rzeczy? A zmiany wprowadza moja podświadomość, bez żadnej kontroli inteligencji. Próbowałem autohipnozy, ale nic to nie dało. Sny są niespójne,

samolubne, irracjonalne – niemoralne, jak sam pan powiedział przed chwilą. Biorą się z tego, co w nas aspołeczne, prawda, przynajmniej częściowo? Nie miałem zamiaru zabić biednej Ethel. Po prostu chciałem, żeby mi nie wchodziła w drogę. Na a we śnie to może być drastyczne. Sny idą na skróty. Ja ją zabiłem. W wypadku samochodowym o półtora tysiąca kilometrów stąd przed sześcioma tygodniami. Jestem odpowiedzialny za jej śmierć.

Haber znów pogłaskał się po brodzie.

–Stąd więc – rzekł powoli – te leki tłumiące sny. Żeby mógł pan uniknąć dalszej odpowiedzialności.

–Tak. Leki powodowały, że sny nie nawarstwiały się i nie stawały się realistyczne. Tylko niektóre, bardzo intensywne, są... – szukał słowa – efektywne.

–Dobrze. O.K. Zobaczymy. Nie ma pan żony, jest pan kreślarzem w Zakładach energetycznych Bonnerille-Uma-tilla. Jak się panu podoba ta praca?

–Niezła.

–Jak wygląda pańskie życie seksualne?

–Miałem jedno próbne małżeństwo. Rozeszliśmy się zeszłej jesieni po paru latach.

–Pan się wycofał czy ona?

–Oboje. Nie chciała mieć dziecka. Nie była materiałem na pełne małżeństwo.

–A potem?

–No, jest kilka dziewczyn w moim biurze. Właściwie nie jestem... nie jestem zbyt wielkim ogierem.

–A co ze stosunkami międzyludzkimi w ogóle? Czy sądzi pan, że pańskie kontakty z innymi są odpowiednie, że ma pan niszę w emocjonalnej ekologii swego środowiska?

–Chyba tak.

–Więc może pan powiedzieć, że tak naprawdę wszystko jest w porządku z pańskim życiem. Tak? O.K. Teraz niech mi pan powie: czy chce pan, czy naprawdę chce pan wyzwolić się z uzależnienia od leków?

-Tak.

-O.K., świetnie. Otóż zażywa pan leki, ponieważ nie chce pan śnić. Ale nie wszystkie sny są niebezpieczne: tylko niektóre szczególnie realistyczne. Śniła się panu ciotka Ethel jako biały kot, ale rano nie była białym kotem – tak? Niektóre sny są w porządku – bezpieczne.

Zaczekał, aż Orr skinie potakująco głową.

-A teraz niech się pan zastanowi. Co by pan powiedział na przebadanie całej sprawy i może nauczenie się, jak śnić bezpiecznie, bez strachu? Wyjaśnię to panu. Kwestia snu jest u pana nieźle obciążona emocjonalnie. Dosłownie boi się pan śnić, ponieważ uważa pan, że niektóre ze snów mają zdolność wpływania na rzeczywiste życie w sposób, nad którym pan nie panuje. Otóż może być to zawiła i ważna metafora, przez którą pańska podświadomość próbuje przekazać świadomości coś na temat rzeczywistości – pańskiej rzeczywistości, pańskiego życia – której nie jest pan gotów przyjąć rozumowo. Ale my możemy wziąć tę metaforę zupełnie dosłownie; nie trzeba jej tłumaczyć w tym momencie w kategoriach rozumowych. W tej chwili pański problem wygląda tak: boi się pan śnić, ale sny są panu potrzebne. Próbował pan stłumić je za pomocą leków, nie poskutkowało. O.K., spróbujmy czegoś odwrotnego. Wywołajmy śnienie celowo. Wywołajmy sny, intensywne i realistyczne, właśnie tu. Pod moim kierunkiem, w kontrolowanych warunkach. Tak, aby

to pan mógł uzyskać kontrolę nad tym, co jakby wymknęło się panu z ręki.

–Jak mogę śnić na rozkaz? – powiedział Orr z ogromnym skrepowaniem.

–W Pałacu Snów doktora Habera może pan! Czy poddawano pana hipnozie?

–U dentysty.

–Świetnie. No więc wygląda to tak. Wprowadzam pana w trans hipnotyczny i sugeruję, aby pan zasnął, aby pan śnił i co się ma panu przyśnić. Włożę panu specjalny hełm, by sen był prawdziwy, a nie tylko hipnotyczny. Podczas śnienia obserwuję pana cały czas, fizycznie i na EEG. Budzę pana i rozmawiamy o przeżytych śnie. Jeśli minie bezpiecznie, może będzie pan myślał o następnym śnie troszkę spokojniej.

–Ale tutaj nie będę śnił efektywnie; to zdarza się raz na dziesiątki albo setki snów. – Rozumowanie obronne Orra było całkiem konsekwentne.

–Może pan tutaj śnić sny w jakimkolwiek stylu. Obiekt z silną motywacją i odpowiednio wyszkolony hipnotyzer potrafią prawie całkowicie kontrolować treść i skutki snów. Robię to od dziesięciu lat. A pan tu będzie ze mną, bo będzie pan miał ten hełm. Wkładał pan go kiedyś?

Orr potrząsnął głową.

–Ale wie pan, co to takiego.

–Za pomocą elektrod przesyłają sygnał, który pobudza... mózg do zgrania swego rytmu z impulsami.

–Z grubsza. Rosjanie używają tego od pięćdziesięciu lat, Izraelczycy udoskonalili go, w końcu i my się przyłączyliśmy i zaczęliśmy produkcję masową do użytku domowego w usypianiu, czyli wprowadzaniu w trans alfa. Otóż parę lat temu 22

pracowałem z pacjentką na PT w Linnton, cierpiącą na ciężką depresję. Jak wielu jej podobnych, nie spała wiele, a szczególnie brakowało jej snu stanu M, kiedy pojawiają się marzenia senne; ilekroć udało się jej wejść w stan M, budziła się. Kwadratura koła: większa depresja – mniej snów, mniej snów – większa depresja. Przełamać to. Jak? Żaden lek, jakim dysponujemy, nie wzmacnia stanu M. ESM – elektroniczna stymulacja mózgu? Ale to pociąga za sobą wszczepienie elektrod, i to głęboko, do centrów snu; wolałem uniknąć operacji. Używałem hełmu, aby wprowadzić ją w sen. A gdyby tak rozproszony sygnał o niskiej częstotliwości wzmocnić, nakierować

miejscowo na określony obszar mózgu; ależ tak, doktorze Haber, to jest to! Lecz w rzeczywistości, kiedy już wgrzyłem się w niezbędną elektronikę, opracowanie podstawowego urządzenia zajęło mi tylko parę miesięcy. Następnie usiłowałem pobudzać mózg pacjentki zapisem fal mózgowych zdrowej osoby znajdującej się w odpowiednich stanach, w różnych stadiach snu i śnienia. Nie za bardzo się udało. Odkryłem, że sygnał z innego mózgu może wywołać reakcję u pacjenta albo nie; musiałem nauczyć się generalizować, wyciągać jakby średnią z setek zapisów normalnych fal mózgowych. Potem, podczas pracy z pacjentem, znów ją zawężam, przykrawam; ilekroć mózg pacjenta robi to, na czym mi zależy, utrwalam ten moment, wzmacniam go, przedłużam i odtwarzam, pobudzając mózg do zgrania się z własnymi najzdrowszymi impulsami. Otóżwszystko to pociągało za sobą mnóstwo analiz tego sprzężenia zwrotnego, tak że prosty EEG z hełmem urósł do tego. – Gestem wskazał elektroniczny las za Orrem. Większość ukrył za plastikowymi płytami, bo niektórzy pacjenci albo bali się maszyn, albo

–Hmm. – Haber skinął mądrze głową, zastanawiając się. Straszny chłód w piersiach minął.

–A pan nie?

Oczy faceta, o tak nieokreślonym kolorze, a jednak przejrzyste i patrzące wprost: oczy chorego umysłowo.

–Nie, obawiam się, że nie. To Tammany Hali, potrójny zwycięzca w 2006. Brakuje mi wyścigów, szkoda, że niższe gatunki zostały wyparte w taki sposób przez nasze problemy żywnościowe. Oczywiście, koń to absolutny anachronizm, ale lubię to zdjęcie; jest w nim energia, siła, totalna samorealizacja w zwierzęcym wydaniu. To jakby ideał tego, co psychiatra chce osiągnąć w ramach psychologii ludzkiej, pewien symbol. Oczywiście, jest źródłem mojej sugestii, co do treści twojego snu, przypadkiem patrzyłem na niego... – Haber spojrział z ukosa na zdjęcie. Oczywiście, że to był koń. – Ale wiesz co, jeśli chcesz usłyszeć zdanie kogoś innego, zapytamy pannę Grouch; pracuje tu od dwóch lat.

–Powie, że to zawsze był koń – powiedział Orr spokojnie, ale ze smutkiem. – Zawsze tak było. Od mojego snu. Jest tu od zawsze. Myślałem, że może ponieważ pan mi zasugerował treść snu, będzie pan miał podwójną pamięć jak ja. Ale chyba pan jej nie ma. – Lecz jego oczy, już nie opuszczone, znów spojrzały na Habera z tą jasnością, wyrozumiałością, tą cichą i rozpaczliwą prośbą o pomoc.

Facet jest chory. Trzeba go leczyć.

–Chciałbym, żebyś znowu przyszedł, George, i to jutro, jeśli możesz.

–Hmm, pracuję...

–Zwolnij się o godzinę wcześniej i przyjdź tu o czwartej. Jesteś na DT. Powiedz to szefowi i nie czuj z tego powodu 32

żadnego fałszywego wstydu. Prędzej czy później osiemdziesiąt dwa procent populacji dostaje DT, nie mówiąc o trzydziestu jeden procentach, które dostają PD. Więc przyjdź o czwartej i weźmiemy się do roboty. Dojdziemy do czegoś. Masz tu receptę na meprobamat; utrzyma ci sny na niskim poziomie, nie wytłumiając do końca stanu M. Możesz je uzupełniać z autowydzielacza co trzy dni. Jeżeli ci się przyśni albo przydarzy cokolwiek przerażającego, zadzwoń do mnie bez względu na porę. Ale wątpię, żebyś zadzwonił, zażywając to; a jeżeli chcesz naprawdę ciężko nad tym ze mną popracować, wkrótce nie będziesz potrzebował żadnych leków. Cały problem z tymi twoimi snami będzie rozwiązany, a ty wypłyniesz na szerokie wody.

Tak?

Orr wziął receptę wydrukowaną na kartoniku przez IBM.

–Ulżyło by mi – rzekł. Uśmiechnął się niepewnym, nieszczęśliwym, a jednak nie pozbawionym humoru uśmiechem. – Jeszcze jedno o tym koniu – powiedział.

Haber, o głowę wyższy, spojrzał na niego z góry.

–Wygląda jak pan – rzekł Orr.

Haber szybko podniósł wzrok na zdjęcie. Rzeczywiście. Duży, zdrowy, o gęstej sierści, rudobrazowy, pędzący pełnym galopem...

–Może koń w twoim śnie był podobny do mnie? – zapytał z dobrodusznym sprytem.

–Owszem – odparł pacjent.

Kiedy wyszedł, Haber usiadł i spojrzał z niepokojem na ogromną fotografię Tammany Halla. Rzeczywiście była zbyt duża do tego gabinetu. Cholera jasna, jaka szkoda, że nie stać go na gabinet z oknem i jakimś widokiem za nim!

ROZDZIAŁ TRZECI

Tych, którym niebo dopomaga, nazywamy synami niebios. Uczyć się tego, to znaczy uczyć się czegoś, czego zwykłą nauką osiągnąć nie można. Ćwiczyć to, znaczy ćwiczyć coś, co przez zwykłe ćwiczenie jest nieosiągalne. Rozumować o tym, to rozumować o czymś, co przez zwykłe rozumowanie jest nieosiągalne. Zatrzymać poznanie przy granicy nierozpoznawalnego jest doskonałością, a tych, co tego nie robią, zniszczy Garncarskie Koło Nieba.

Zfcuangzi: XXIII

George Orr wyszedł z pracy o wpół do czwartej i ruszył do stacji metra; nie miał samochodu. Oszczędzając mógłby pozwolić sobie na VW Parowca i podatek od przejechanych kilometrów, tylko po co? Śródmieście było zamknięte dla aut, a on mieszkał w śródmieściu. Nauczył się prowadzić jeszcze w latach dziewięćdziesiątych, ale nigdy nie miał samochodu. Pojechał linią Vancouver z powrotem do Portland. Wagony zawsze były niesamowicie zatłoczone; stał poza zasięgiem jakiegokolwiek uchwytu lub poręczy, podtrzymywany jedynie równoważącym się naciskiem ciał ze wszystkich stron, od czasu do czasu odrywany od podłogi i unoszony w powietrze, gdy siła zatłoczenia (z) przekraczała siłę ciężkości (c). Mężczyzna z gazetą stojący obok zupełnie nie mógł opuścić ramion i stał z twarzą wepchniętą w dział sportowy. Przez sześć przystanków Orr znajdował się oko w oko z nagłówkiem "Wielkie A-I uderzają w pobliżu granicy afgań-skiej" oraz "Groźba interwencji afgańskiej". Właściciel gazety wywalczył sobie drogę do wyjścia, a jego miejsce zajęła 34

para pomidorów na zielonym plastikowym talerzu, pod którym znajdowała się starsza pani w zielonym plastikowym płaszczu, przez kolejne trzy przystanki stojąca na lewej stopie Orra.

Wyrwał się z wagonu na przystanku East Broadway i przepychał się przez cztery przecznice we wciąż gęstniejącym tłumie wychodzącym z pracy do Wschodniego Wieżowca Willamette, wielkiej, krzykliwej, tandetnej strzały z betonu i szkła, walczącej z roślinnym uporem o światło i powietrze z otaczającą ją dżunglą podobnych budynków. Do poziomu ulicy docierało bardzo mało światła i powietrza; to, co się tam znalazło, było ciepłe i przesiąknięte delikatnym deszczem. Deszcz należał do starej tradycji Portland, ale ciepło – 22 stopnie Celsjusza 2 marca – było współczesne, spowodowane zanieczyszczeniem powietrza. Nie opanowano wystarczająco prędko miejskich i przemysłowych wyziewów, aby odwrócić trendy kumulacyjne, które jawiły się już w połowie XX wieku; oczyszczenie powietrza z CO₂ – zajęłoby kilka stuleci, jeśli w ogóle by się udało. Nowy Jork miał być jedną z większych ofiar efektu cieplarnianego, bo lody polarne wciąż topniały, a poziom morza podnosił się; właściwie niebezpieczeństwo zagrażało całemu Boswaszowi. Były też pewne plusy. Poziom zatoki San Francisco już się podnosił i woda w końcu

pokryje setki kilometrów kwadratowych gruzu i śmieci wrzucanych do niej od 1848 roku. Jeśli chodzi o Portland – sto trzydzieści kilometrów i Góry Nadbrzeżne oddzielały miasto od morza, więc podnosząca się woda mu nie zagrażała, w przeciwieństwie do wody spadającej.

W zachodnim Oregonie padało zawsze, ale teraz siąpiło

nieustannie, równo, ciepławe. Jakby się wiecznie mieszkało w ulewie ciepłej zupy.

Nowe Miasta – Umatilla, John Day, French Glen – leżały na wschód od Gór Kaskadowych, na tym, co jeszcze przed trzydziestu laty było pustynią. Latem nadal panował tam upał, ale było tylko 114 centymetrów opadów rocznie w porównaniu z 289 centymetrami w Portland. Możliwe było intensywne rolnictwo i pustynia kwitła. French Glen miało teraz siedem milionów mieszkańców. Portland jedynie z trzema milionami i bez żadnego potencjału rozwoju zostało daleko w tyle Marszu Postępu. Dla Portland to nic nowego. I jaka różnica? Niedożywienie, przeludnienie i powszechne zanieczyszczenie środowiska stanowiły normę. W Starych Miastach było więcej szkorbutu, tyfusu i chorób wątroby, a w Nowych więcej gangów przestępczych, zbrodni i morderstw. Jednymi rządziły szczury, drugimi mafia. George Orr został w Portland, bo zawsze tam mieszkał i nie miał powodu sądzić, że życie gdzie indziej mogłoby być lepsze lub inne.

Panna Crough, obojętnie uśmiechnięta, wprowadziła go od razu do środka. Orr myślał, że gabinety psychiatrów tak jak królicze nory zawsze mają frontowe i tylne wyjście. Ten akurat nie miał, ale Orr wątpił, czy pacjenci wchodzący i wychodzący zderzali się tutaj w drzwiach. W Szkole Medycznej powiedzieli, że dr Haber ma tylko małą praktykę psychiatryczną, jako że zasadniczo jest naukowcem. To dało mu obraz kogoś, kto odnosi sukcesy, kogoś wyjątkowego, a jowialny i władczy sposób bycia doktora potwierdził to. Ale dzisiaj, nie tak zdenerwowany, zobaczył więcej. Gabinet nie miał platy-nowo-skórzanej pewności sukcesu finansowego ani gałga-36

niarskiej pewności naukowej obojętności. Fotele i kozetka były winylowe, a biurko z metalu pokrytego plastikiem imitującym drewno. Wszystko było sztuczne. Białozęby, gniado-grzywy, ogromny doktor Haber zagrzmiał:

–Dzień dobry!

Ta dobroduszość nie była fałszywa, ale przesadzona. Było w Haberze prawdziwe ciepło i otwartość, ale pokryły się one zawodową manierą, zniekształcił je pozbawiony spontaniczności użytek, jaki czynił z nich doktor. Orr wyczuwał w nim pragnienie bycia lubianym i chęć niesienia pomocy; sądził, że tak naprawdę doktor nie jest w pełni przekonany, iż oprócz niego istnieje jeszcze ktokolwiek inny i istnienie tych innych ludzi chce udowodnić, pomagając im. Jego "dzień dobry!" dlatego było tak głośnie, bo nigdy nie był pewien, czy otrzyma odpowiedź. Orr chciał powiedzieć coś przyjaznego, ale coś osobistego wydawało się nie na miejscu; rzekł:

–Wygląda, że Afganistan może wplątać się w wojnę.

–Hmm, widać to wyraźnie już od sierpnia. – Powinien wiedzieć, że doktor będzie się

lepiej orientował w sprawach światowych niż on; on sam był zwykle niedoinformowany i trzy tygodnie do tyłu. – Nie sądzę, aby wstrząsnęło to Sprzymierzonymi – ciągnął Haber – chyba że Pakistan da się wciągnąć po stronie Iranu. Wtedy Indie może będą musiały wysłać Izragipcjanom więcej niż symboliczne wsparcie. – W teleżar-gonie oznaczało to sprzymierzenie Nowej Republiki Arabskiej z Izraelem. – Sądzę, że przemówienie Gupty w Delhi wskazuje, iż przygotowuje się na taką ewentualność.

–To się rozszerza – rzekł Orr, czując, że jest niekompetentny i mały. – To znaczy ta wojna.

–Martwi to pana?

–A pana to nie martwi?

–To nieistotne – rzekł doktor, uśmiechając się swym szerokim, włochatym, niedźwiedzim uśmiechem jak bóg-niedźwiedź; ale od wczoraj miał się stale na baczności.

–Owszem, martwi. – Ale Haber nie zarobił na tę odpowiedź; pytający nie może wycofać się z pytania, zakładając obiektywność, jakby odpowiadający był obiektem. Jednak Orr nie wypowiedział tych myśli; znajdował się w rękach lekarza, a lekarz z pewnością wie, co robi.

Orr miał skłonność zakładania, że ludzie wiedzą, co robią, może dlatego, że ogólnie zakładał, iż on sam nie wie.

–Dobrze spałeś? – zapytał Haber siadając pod lewym tylnym kopytem Tammany Halla.

–Nieźle, dzięki.

–Co byś powiedział na jeszcze jedną wizytę w Pałacu Snów? – Obserwował go uważnie.

Jasne, chyba po to tu jestem.

Zobaczył, jak Haber wstaje i obchodzi biurko, ujrzał szeroką dłoń wyciągającą się ku jego szyi. I nic się nie stało.

–... George...

Jego imię. Kto woła? Głos nie znany. Sucha ziemia, suche powietrze, trzask obcego głosu w uchu. Dzień i żadnego kierunku. Żadnej drogi powrotu. Obudził się.

Na wpół znajomy pokój, na wpół znajomy, duży mężczyzna w obszernym rdzawym kombinezonie, z rudobrazową brodą, białym uśmiechem i nieprzejrzyistymi ciemnymi oczyma.

–Na EEG wyglądało to na krótki, ale realistyczny sen -odezwał się głęboki głos. – Opowiedz mi go. Im prędzej go sobie przypomnisz, tym dokładniej to zrobisz. 38

Orr usiadł, czując się nieco oszołomiony. Siedział na kozetce; jak się na nią dostał?

–Zaraz. Niewiele tego było. Znowu ten koń. Czy kiedy znajdowałem się w hipnozie, znów polecił mi pan śnić o koniu?

Haber potrząsnął głową, co mogło oznaczać tak lub nie, i słuchał dalej.

–No dobrze, to była stajnia. Ten pokój. Słoma, żłób, widły w rogu i tak dalej. Stał w niej koń i...

Pełna wyczekiwania cisza Habera nie pozwalała na żaden unik.

–Zrobił tę ogromną kupę. Brązową, parującą. Kupa końskiego gówna. Wyglądała trochę jak góra Hood z tym małym garbem od pomocy i w ogóle. Pokrywała cały dywan i jakby szła na mnie, więc powiedziałem: "To tylko zdjęcie góry". Chyba wtedy zacząłem się budzić.

Orr uniósł twarz i spojrział obok doktora Habera na widok za nim, fotografię góry Hood na całą ścianę.

Było to spokojne zdjęcie w dość przygaszonej, pretensjonalnej tonacji: niebo szare, góra w stonowanych lub rudawych brązach, z plamkami bieli pod szczytem, a plan pierwszy wypełniony ciemnymi, bezkształtnymi wierzchołkami drzew.

Doktor nie patrzył na fotografię. Ostrymi, nieprzejrzystymi oczyma wpatrywał się w Orra. Kiedy Orr skończył, roześmiał się, nie długo czy głośno, ale może z lekkim podnieceniem.

–Dochodzimy do czegoś, George!

–Do czego?

Orr czuł się głupio, zmięty, siedząc na tej kozetce jeszcze

oszołomiony snem, po tym, jak tu zasnął, pewnie z otwartymi ustami i chrapiąc, bezradny, podczas gdy Haber obserwował sekretne podskoki i harce jego mózgu i powiedział, o czym ma śnić. Poczul się odsłonięty, wykorzystany. I w jakim celu?

Najwyraźniej doktor w ogóle nie pamiętał zdjęcia konia ani rozmowy, jaką mieli na jego temat; znajdował się jednak w tej nowej terażniejszości i wszystkie jego wspomnienia prowadziły do niej. Więc nie mógł się zupełnie na nic przydać. Lecz właśnie chodził dużymi krokami po gabinecie, mówiąc nawet głośniejszym głosem niż zwykle.

–No! a – potrafisz śnić na rozkaz i robisz to, stosując się do hipnosugestii; b – wspaniale reagujesz na Wzmacniacz. Dlatego też możemy razem pracować, szybko i efektywnie, bez narkozy. Wolę pracować nie stosując leków. To, co mózg robi sam, jest nieskończenie bardziej fascynujące i złożone niż jakakolwiek reakcja na stymulację chemiczną, dlatego skonstruowałem Wzmacniacz, żeby dostarczyć mózgowi środka samostymulacji. Twórcze i terapeutyczne możliwości mózgu – czy to na jawie, w stanie uśpienia, czy podczas śnienia – są praktycznie nieograniczone. Gdybyśmy tylko mogli znaleźć klucze do wszystkich zamków. Nikomu się nawet nie śniło o potędze snów! – Roześmiał się tym swoim donośnym śmiechem, wiele razy już powtarzał ten żarcik. Orr uśmiechnął się niepewnie, bo ów żart trochę za bardzo zbliżał się do prawdy. – Jestem teraz pewien, że twoja terapia powinna zmierzać w tym kierunku, że trzeba wykorzystywać twoje sny, a nie uciekać przed nimi i unikać ich. Stań się twarzą w twarz z twoim strachem i z moją pomocą doprowadzić sprawę do końca. Boisz się własnego umysłu, George. Żaden człowiek nie potrafi żyć z takim strachem. Ale ty nie musisz. 40

Nie widziałeś pomocy, jakiej może ci udzielić własny umysł, sposobu, w jaki możesz go wykorzystać, używać twórczo. Po-j winieneś tylko nie chować się przed własnymi możliwościami umysłowymi, nie tłumić ich, ale je uwolnić. To możemy uczynić razem. Czyż więc nie uderza cię to jako właściwa droga?

–Nie wiem – odparł Orr.

Kiedy Haber mówił o wykorzystaniu, używaniu jego możliwości, przez chwilę myślał, że doktor na pewno ma na myśli jego zdolność zmieniania rzeczywistości przez sny; ale przecież gdyby tak było, to jasno by mu chyba o tym powiedział? Wiedząc, że potwierdzenie jest Orrowi niezbędne, nie zachowałby go dla siebie bez przyczyny, gdyby mógł mu je dać.

Orra ogarnęło przygnębienie. Zażywanie narkotyków i tabletek pobudzających wytrąciło go z równowagi emocjonalnej. Wiedział o tym i dlatego próbował zwalczać swe uczucia i panować nad nimi. Ale to rozczarowanie było poza jego kontrolą. Zdał

sobie teraz sprawę, że pozwolił sobie na trochę nadziei. Wczoraj był pewien, że doktor zdaje sobie sprawę z zamiany góry na konia. Nie zdziwiło go ani nie zaniepokoiło, iż pod wpływem szoku Haber próbował najpierw ukryć tę świadomość. Niewątpliwie nie potrafił zaakceptować tego nawet we własnych myślach, ogarnąć tego wszystkiego. Samemu Orrowi przyznanie, że naprawdę robi coś niemożliwego, zajęło dużo czasu. A jednak pozwolił sobie na nadzieję, iż Haber, znając sen i będąc na miejscu w samym centrum w trakcie jego śnienia, może zobaczyć zmianę, może ją zapamięta i potwierdzi.

Nic z tego. Żadnego wyjścia. Orr znajdował się tam, gdzie

był od miesiąca – sam, wiedząc, że jest obłąkany, i wiedząc, że nie jest obłąkany, jednocześnie i w najwyższym stopniu.

–Czy mógłby pan – rzekł nieśmiało – dać mi sugestię post-hipnotyczną, abym nie śnił efektywnie? Bo skoro może pan zasugerować, żebym śnił... W ten sposób mógłbym odstawić lekarstwa, przynajmniej na jakiś czas.

Haber usiadł za biurkiem, zgarbiony niczym niedźwiedź.

–Bardzo wątpię, czy to by się udało, nawet przez jedną noc – powiedział po prostu. Po czym znów nagle zaryczah -Czy to nie ten sam bezowocny kierunek, w którym zmierzałeś, George? Leki czy hipnoza, to i tak tłumienie. Nie można uciec od własnego umysłu. Rozumiesz to, ale niezupełnie jesteś gotowy to przyjąć. Nie szkodzi. Spójrz na to w ten sposób: już dwa razy śniłeś tu, na tej kozetce. Czy to było takie złe? Czy wyrządziło ci to jakąś krzywdę?

Orr potrząsnął głową, zbyt przygnębiony, żeby odpowiedzieć. Haber mówił dalej, a Orr usiłował go słuchać. Mówił teraz o snach na jawie, o ich związku z półtoragodzinnymi cyklami śnienia w nocy, o ich wykorzystaniu i wartości. Zapytał Orra, czy ten ma jakiś swój typ snów na jawie.

–Na przykład – powiedział – ja często wyobrażam sobie bohaterskie czyny. Bohaterem jestem ja. Ratuję dziewczynę albo kolegę astronautę, albo obłąkane miasto, albo całą cholerną planetę. Sny mesjariistyczne, sny dobroczyńcy. Haber ocala świat! Są świetną zabawą, o ile znają swe miejsce. Wszyscy potrzebujemy tego podbudowania własnego "ja" marzeniami na jawie, ale kiedy zaczynamy na nim polegać, parametry naszej rzeczywistości stają się nieco chwiejne... Mamy też marzenia na jawie typu Wyspa Mórz Południowych: oddaje się im mnóstwo wyższych urzędników w śred-42

nim wieku. I marzenia z gatunku szlachetnie cierpiącego męczennika, i różne romantyczne fantazje wieku dorastania, i marzenia sadomasochistyczne, i tak dalej. Większość ludzi rozróżnia większość tych typów. Prawie wszyscy przy-najmiej raz stawialiśmy czoła lwom na arenie albo zrzucaliśmy bombę, która niszczyła naszych wrogów, albo ratowaliśmy mającą czym oddychać dziewczinę z tonącego statku, albo napisaliśmy Beethovenowi Dziesiątą Symfonię. Jaki styl ci odpowiada?

–Och... ucieczka – odparł Orr. Naprawdę musiał wziąć się w garść i odpowiedzieć temu człowiekowi, który próbował mu pomóc. – Oddalenie się. Wydostanie się na wierzch.

–Wydostanie się spod presji pracy, spod codziennego kieratu?

Wydawało się, że Haber nie chce uwierzyć, iż Orr jest zadowolony ze swej pracy. Niewątpliwie Haber miał wielkie ambicje i trudno było mu uwierzyć, że można ich nie mieć.

–No, to chodzi raczej o miasto, o zatłoczenie. Wszędzie za dużo ludzi. Nagłówki. Wszystko.

–Morza Południowe? – zapytał Haber ze swoim niedźwiedzim uśmiechem.

–Nie. Tutaj. Nie mam zbyt dużo wyobraźni. Wyobrażam sobie, że mam chatę gdzieś poza miastami, może w Górach Nadbrzeżnych, gdzie zachowało się jeszcze trochę starszych puszczy.

–Zastanawiałaś się kiedyś nad kupieniem takiej chaty?

–Działki rekreacyjne kosztują około stu tysięcy dolarów za hektar na najtańszym terenie, na pustyni w Oregonie południowym. Cena działki z widokiem na plażę dochodzi do miliona.

Haber gwizdnął.

–Widzę, że się nad tym zastanawiałeś... i wróciłeś do swoich marzeń na jawie. Dzięki Bogu, że są bezpłatne, co? No co, masz ochotę na kolejną próbę? Mamy jeszcze prawie pół godziny.

–Czy mógłby pan...

–Co takiego, George?

–Pozwolić mi zapamiętać.

Haber zaczął jedną ze swych rozbudowanych odmów.

–Otóż, jak wiesz, zapamiętywanie na jawie tego, co przeżywamy podczas hipnozy, włączając wszystkie dane wskazówki, jest zwykle blokowane przez mechanizm podobny do tego, który blokuje w dziewięćdziesięciu dziewięciu procentach zapamiętywanie naszych snów. Osłabienie blokady oznaczałoby danie ci zbyt wielu sprzecznych wskazówek w dość delikatnej sprawie treści snu, który ci się jeszcze nie przyśnił. Mogę ci polecić przypomnieć sobie ten sen. Ale nie chcę, żeby ci się poplątały moje sugestie z tym, co ci się faktycznie przyśniło. Chcę, żeby te dwie rzeczy istniały oddzielnie, żebym otrzymał jasne sprawozdanie z twego snu, a nie z tego, co według ciebie powinno ci się przyśnić. Tak? Przecież możesz mi zaufać. Moim zadaniem jest ci pomóc. Nie będę wymagał od ciebie zbyt dużo. Będę cię naciskał, ale nie za mocno i nie za szybko. Nie zadam ci żadnych koszmarów! Uwierz mi, chcę to doprowadzić do końca i zrozumieć tak samo jak ty. Jesteś inteligentny i chętny do współpracy, a to, że tak długo samotnie znosiłeś tak wielki niepokój, świadczy, iż jesteś odważnym człowiekiem. Doprowadzimy to do końca, George. Uwierz mi.

Orr nie wierzył mu całkowicie, ale Haberowi, tak jak ka-44

znodziei, nie można się było przeciwstawić. Poza tym chciał mu wierzyć.

Nic nie powiedział, ale położył się na kozetce i poddał się dotykowi ogromnej dłoni na gardle.

–Świetnie! To już! Co ci się śniło, George? Dawaj, póki gorące!

Zrobiło mu się niedobrze i głupio.

–Coś o Morzu Południowym... Kokosy... Nie pamiętam. – Potarł głowę, podrapał się pod krótką bródką, zaczerpnął głęboko powietrza. Marzył o szklance zimnej wody. – A potem... śniło mi się, że spaceruje pan z Jonhem Kennedym, prezydentem, chyba

po Alder Street. Szedłem jakby z tyłu, chyba miałem coś dla jednego z was. Kennedy otworzył parasol – zobaczyłem go z profilu, jak na starych pięćdziesięciocentówkach – a pan powiedział: "Nie będzie pan już tego więcej potrzebował, panie prezydencie" i wyjął mu parasol z dłoni. Wyglądał na zdenerwowanego tym, mówił coś, czego nie rozumiałem. Ale przestało padać i wyszło słońce, więc powiedział: "Chyba ma pan teraz rację"...Rzeczywiście przestało padać.

–Skąd wiesz? Orr westchnął.

–Zobaczy pan, jak pan wyjdzie na zewnątrz. Czy to wszystko na dzisiaj?

–Ja mogę jeszcze popracować. Wiesz, że rachunek zapłaci rząd!

–Jestem bardzo zmęczony.

–No dobrze, to tyle na dzisiaj. Słuchaj, a może byśmy odbywali sesje w nocy? Dalibyśmy ci zasnąć normalnie, używa45

jąć hipnozy tylko do zasugerowania treści snu. Miałbyś wtedy dni robocze wolne, a mój dzień roboczy to w połowie przypadków i tak noc. Jedno, co badacze snów robią rzadko, to spanie! To ogromnie by przyspieszyło sprawy i zaoszczędziłoby ci zażywania jakichkolwiek leków tłumiących sen. Chcesz spróbować? Co byś powiedział na piątek?

–Mam randkę – odpowiedział Orr i sam się zdziwił tym kłamstwem.

–No to w sobotę.

–Dobrze.

Wyszedł z wilgotnym płaszczem przeciwdeszczowym przewieszonym przez ramię. Nie musiał go wkładać. Sny z Kennedym należały do bardzo efektywnych. Kiedy mu się śniły, był ich pewien. Bez względu na to, jak błaha byłaby ich treść, budził się, pamiętając je z niezwykłą jasnością i czując się załamany i poobcierany jak po straszliwie wyczerpującym opieraniu się przemożnej, niszczącej sile. Sam nie miewał takich snów częściej niż raz na miesiąc czy półtora; prześladował go obcesyjny strach przed nimi. Teraz, gdy Wzmacniacz utrzymywał go w stanie śnienia, a sugestia hipnotyczna nakazywała mu śnić efektywnie, w ciągu dwóch dni miał trzy efektywne sny na cztery lub, pomijając sen o kokosach, który według terminologii Habera był raczej szemraniem obrazów, trzy na trzy. Był wyczerpany.

Nie padało. Kiedy mijał portal Wschodniego Wierzowca Willamette marcowe niebo wisiało wysokie i czyste nad wąwozami ulic. Wiatr odwrócił się na wschodni, suchy wiatr pustynny, który od czasu do czasu ożywiał mokrą, gorącą, smutną i szarą pogodę doliny Willamette.

Czystsze powietrze podniosło go trochę na duchu. Wy-46

prostował ramiona i ruszył przed siebie, usiłując nie zwracać uwagi na lekkie oszołomienie, na które złożyło się zmęczenie, niepokój, dwie krótkie drzemki o niezwyklej porze dnia i sześćdziesięciodwupiętrowy zjazd windą.

Czy doktor kazał mu śnić, że przestało padać? A może zasugerował mu sen o Kennedym (który, przypomniał sobie teraz Orr, miał brodę Abrahama Lincolna)? A może o samym Haberze? Nie potrafił tego stwierdzić w żaden sposób. Zatrzymanie deszczy, zmiana pogody stanowiły efektywną część snu; ale to nie dowodziło niczego. Często elementem efektywnym snu nie był element pozornie uderzający. Podejrzał, że Kennedy, ze względów wiadomych jedynie w jego podświadomości, był jego własnym dodatkiem, ale nie miał pewności.

Zszedł do stacji metra East Broadway razem z niekończącym się tłumem ludzi. Wrzucił pięciodolarówkę do automatu, wziął bilet, złapał pociąg, dostał się w ciemność pod rzeką.

Fizycznie i psychiczne uczucie oszołomienia narastało.

Dostał się pod rzekę: oto dziwne postępowanie, naprawdę niesamowity pomysł.

Przebyć rzekę w poprzek, przejść ją w bród, przepłynąć, wziąć łódź, przejść przez most, posłużyć się promem, samolotem, pójść wzdłuż brzegu w górę, w dół rzeki w nieustającym odnawianiu i zaczynaniu nurtu – wszystko to ma sens. Ale żeby znaleźć się pod rzeką, trzeba czegoś, co jest przewrotne w najgłębszym znaczeniu tego słowa. Istnieją w umyśle i poza nim ścieżki, których sama zawilgość jasno wykazuje, że aby się tam znaleźć, musiało się dawno temu skrócić w złym miejscu.

Pod Willamette biegło dziewięć tuneli kolejowych i dro47

gowych, spinało ją szesnaście mostów i ciągnęły się wzdłuż niej czterdzieści trzy kilometry betonowych brzegów. Ochrona przeciwpowodziowa na Willamette i jej wielkim dopływie, Kolumbii, wpadającym do niej kilka kilometrów poniżej centrum Portland, była tak świetnie rozwinięta, że poziom żadnej z nich nie mógł się podnieść więcej niż o parę centymetrów, nawet po długotrwałych ulewnych deszczach. Willamette stanowiła pożyteczny element środowiska jak duże, łagodne zwierzę pociągowe ujarzmione rzemieniami, łańcuchami, dyszlami, siodłami, popręgami, pętami. Gdyby nie była użyteczna, zostałaby oczywiście przykryta cementem jak setki potoków i strumieni biegnących w ciemności ze wzgórz miasta pod ulicami i budynkami. Ale bez niej Portland nie byłoby portem. Nadal pływały po niej statki, długie sznury barek i drewno powiązane w ogromne tratwy. Tak więc ciężarówki, pociągi i nieliczne samochody prywatne musiały przecinać rzekę górą lub dołem. Ponad głowami ludzi jadących w pociągu Tunelem Broadway znajdowały się tony

skały i żwiru, tony płynącej wody, pole przystani i mile statków pełnomorskich, ogromne betonowe podpory napowietrznych mostów i podjazdów na autostradach, konwój ciężarówek parowych załadowanych mrożonymi kurczętami wyprodukowanymi na bateriach, jeden samolot odrzutowy na wysokości jedenastu kilometrów, gwiazdy na wysokości ponad cztery i trzy dziesiąte lat świetlnych. George Orr, błądzący w migającym blasku światełek wagonika w podziemnej ciemności, chwiał się między tysiącami innych dusz, uwieszony huśtającego się stalowego uchwytu na rzemieniu. Czuł ucisk, niekończący się, wgniatający ciężar. Pomyślał: "Żyję w koszmarze, z którego od czasu do czasu budzę się w sen". 48

Gwałtowna fala tłumy wysiadającego na stacji Union Station wybiła mu z głowy tę sentencjonalną myśl; skoncentrował się na niewypuszczeniu z dłoni uchwytu na pasku. Czując jeszcze zawroty głowy, bał się, że jeśli wypuści uchwyt i będzie musiał zupełnie poddać się sile (z), może wymiotować.

Pociąg znów ruszył z hałasem złożonym w równym stopniu z głębokiego zgrzytliwego ryku i wysokich przeszywających pisków. Cały system GPRT miał dopiero piętnaście lat, ale budowano go późno i w pośpiechu, używając gorszych materiałów, podczas załamania produkcji samochodów prywatnych, a nie przed nim. W gruncie rzeczy wagony wyprodukowano w Detroit, a przynajmniej miały taką trwałość i tak hałasowały, jakby stamtąd pochodziły. Jako mieszczuch i użytkownik metra Orr nawet nie słyszał tego przerażającego hałasu. Wrażliwość jego nerwów słuchowych była znacznie przytępiona, a w każdym razie hałas stanowił jedynie zwykłe tło koszmaru. Znowu myślał, ustaliwszy swoje prawo do uchwytu na pasku.

Od czasu, kiedy z konieczności zainteresował się tą sprawą, dziwiło go, że mózg nie potrafi zapamiętać większości snów. Myślenie nieświadome, czy to w okresie niemowlęctwa, czy podczas śnienia, najwyraźniej nie podlega świadomemu zapamiętywaniu. Ale czy hipnoza pogrążyła go w nieświadomości? Wcale nie: był całkowicie przytomny aż do momentu uśpienia. Dlaczego więc nie pamiętał? Marwiło go to. Chciał wiedzieć, co robi Haber. Na przykład pierwszy sen po południu: czy doktor kazał mu tylko jeszcze raz śnić o koniu? A on sam dodał to gównu, co było krępujące. Albo jeśli doktor wymienił gówno, było to krępujące w inny sposób. I może Haber miał szczęście, że nie skończyło się na

wielkiej brązowej parującej kupie nawozu na dywanie gabinetu. Oczywiście, w pewnym sensie tak było: zdjęcie góry.

Orr wyprostował się nagle, jakby ktoś wbił mu szpilkę w siedzenie. Pociąg wjeżdżał z hałasem na stację Alder Street Ta góra! – pomyślał, a sześćdziesiąt osiem osób pchało się, popychało go i obijało się o niego w drodze do wyjścia. – Ta góra! Kazał mi z powrotem umieścić we śnie górę. Więc kazałem koniowi z powrotem umieścić górę. Ale jeśli kazał mi to zrobić, to wiedział, że była tam jeszcze przed koniem. Wiedział. Naprawdę widział, jak pierwszy sen zmienia rzeczywistość. Widział tę zmianę. Wierzył mi. Nie jestem pomyłony!"

Tak wielka radość nappełniła Orra, że z czterdziestu dwóch osób, które wpychały się do wagonu, gdy o tym myślał, siedem czy osiem stłoczonych najbliższej niego odczuło delikatne, ale wyraźne promieniowanie życzliwości lub ulgi. Kobieta, której nie udało się zabrać mu jego uchwytu, odczuła błogosławione zelżenie ostrego bólu w odcisku, mężczyzna wciśnięty w niego po lewej pomyślał nagle o blasku słonecznym; skulony staruszek siedzący dokładnie naprzeciw niego zapomniał na chwilę, że jest głodny.

Orr nie należał do ludzi szybko myślących. Właściwie w ogóle nie był myślicielem. Do pomysłów dochodził powoli, nigdy nie ślizgając się po przejrzystym, twardym lodzie logiki ani nie wzbijając się na skrzydłach wyobraźni, ale mozolnie przedzierając się przez wyboje istnienia. Nie widział połączeń, co ma być znamiem intelektu. On je wyczuwał – jak hydraulik. Tak naprawdę nie był głupi, ale nie wykorzystywał swego umysłu ani w połowie tak wiele i tak szybko, jak by mógł. Dopiero gdy wyszedł z metra na Ross Island Bridge West, minął po drodze pod górę kilka kwartałów, wjechał 50

windą na osiemnaste piętro do swego jednopokojowego mieszkania 3x3,5 w dwudziestopiętrowym mieszkadle Cor-bett (Oszczędne Mieszkanie na Wielkiej Stopie w Śródmieściu!) ze stałi i marnego betonu dla niezależnych finansowo, włożył kromkę chleba sojowego do piekarnika na podczerwień, wyjął piwo z lodówki ściennej i postął chwilę przy oknie – płacił podwójnie za pokój zewnętrzny – patrząc na Zachodnie Wzgórza Portland z gęsto upakowanymi ogromnymi, lśniącoymi wieżowcami, ciężkie od światła i życia, dopiero wtedy w końcu pomyślał: "Dlaczego doktor Haber nie powiedział mi, że wie, że śnię efektywnie?"

Przez chwilę się nad tym zastanawiał. Obchodził problem mozolnie ze wszystkich stron, spróbował go umieścić i stwierdził, że jest bardzo nieporęczny.

Pomyślał: "Haber teraz wie, że zdjęcie zmieniło się dwa razy. Dlaczego nic nie powiedział? Musiał wiedzieć, że boję się obłądu. Mówi, że mi pomaga. Bardzo by mi

pomógł, gdyby powiedział, że widzi to, co ja, że to nie jest tylko złudzenie".

"Wie teraz – pomyślał Orr po długim, powolnym łyku piwa – że przestało padać. Jednak nie poszedł sprawdzić, kiedy mu o tym powiedziałem. Może się bał. Pewnie tak. Jest przerażony tym wszystkim i chce się dowiedzieć więcej, zanim mi powie, co naprawdę o tym sądzi. Nie mogę mu mieć tego za złe. Byłoby dziwne, gdyby to go nie przeraziło. Ale zastanawiam się, co robi, kiedy już się z tym pogodzi... Zastanawiam się, jak zahamuje moje sny, jak powstrzyma mnie przed zmienianiem rzeczywistości. Muszę przestać; tego już za wiele, za wiele..."

Potrząsnął głową i odwrócił się od jasnych wzgórz otoczonych skorupką życia.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Nic nie jest trwałe, nic nie jest dokładne i pewne (z wyjątkiem umysłu pedanta), perfekcja to jedynie odrzucenie tej nieuniknionej drobnej nieśmiałości, która stanowi tajemniczą cechę Istnienia.

H.G.Wells, Współczesna Utopia

Biuro firmy adwokackiej "Forman, Esserbeck, Goodhue i Rutti" mieściło się w wielopiętrowym garażu z 1990 roku, zaadaptowanym na potrzeby ludzi. Wiele starszych budynków w centrum Portland miało takie pochodzenie. Kiedyś rzeczywiście większa część centrum Portland składała się z parkingów. Z początku były to głównie równiny asfaltu, przerywane gdzieniegdzie budkami strażników albo automatami parkingowymi, ale wraz ze wzrostem populacji rosła i wysokość parkingów. Właściwie garaż z automatycznymi windami został wynaleziony dawno, dawno temu właśnie w Portland i zanim samochód prywatny udusił się własnymi spalinami, garaże z rampami wyrosły na piętnaście i dwadzieścia pięter. Nie wszystkie wyburzono w latach osiemdziesiątych, aby zrobić miejsce dla wieżowców biurowych i mieszkalnych. Niektóre z nich zaadaptowano. Ten, przy S.W. Burnside nr 209, ciągle załatywał upiornymi oparami benzyny. Jego betonowe podłogi nosiły ślady odchodów niezliczonych silników, a przedpotopowe odciski kół skamieniały w kurzu jego rozbrzmiewających echem hal. Wszystkie podłogi były dziwnie pochylone, ukośne, a to z powodu konstrukcji budynku na zasadzie ślimaka; w biurach firmy "For-52

mań, Esserbeck, Goodhue i Rutti" nigdy nie miało się pewności, czy stoi się zupełnie prosto.

Panna Lelache siedziała za ekranem z regałów i dokumentów na wpół oddzielających jej pół-biuro od pół-biura pana Pearl'a i uważała się za Czarną Wdowę.

Siedziała, jadowita; twarda, lśniąca i jadowita. Czekwała, wciąż czekała.

I ofiara zjawiała się.

Urodzona ofiara. Włosy jak u małej dziewczynki, brązowe i delikatne, bródka blond, miękka blada skóra jak brzuch ryby; potulny, łagodny jąkała. Cholera! Gdyby na niego nadepnęła, nawet by nie chrupnęło.

–No więc myślę, że... że to sprawa, sprawa jakby prawa do prywatności – mówił. – To znaczy naruszenie prywatności. Ale nie jestem pewien. Dlatego potrzebuję porady.

–Dobra, niech pan wali – rzekła panna Lelache. Ofiara nie mogła walić. Zabrakło jej

śliny do dalszego jąkania się.

–Jest pan na Dobrowolnej Terapii – powiedziała panna Lelache, mając na uwadze notatkę, jaką posłał jej pan Esserbeck – za naruszenie przepisów federalnych regulujących wydzielanie leków przez automaty.

–Tak. Jeśli zgodzę się na leczenie psychiatryczne, nie zostanę oskarżony.

–Tak, to o to chodzi – rzekła sucho prawniczka. Ten człowiek uderzył ją właściwie nie jako niedorozwinięty umysłowo, ale jako obrzydliwie prosty. Odchrząknęła.

Mężczyzna również odchrząknął. Małpa widzi, małpa robi.

Stopniowo, ciągle cofając się i wypełniając luki, wyjaśnił, że przechodzi terapię składającą się zasadniczo z hipnotycz53

nego śnienia. Czuł, że zadając mu treść snów, psychiatra może naruszać jego prawa do prywatności, zdefiniowane w Nowej Konstytucji Federalnej z 2001 roku.

–No cóż. Coś podobnego wynikło zeszłego roku w Arizonie – powiedziała panna Lelache. – Mężczyzna ma DT próbował zaskarżyć swego lekarza za wszczęcie mu skłonności homoseksualnych. Oczywiście psychiatra stosował po prostu standardowe techniki warunkujące, a powód był ukrytym homoseksualistą; aresztowano go za próbę gwałtu na dwunastoletnim chłopcu w biały dzień w Parku Phoenbt, zanim sprawa w ogóle dotarła do sądu. Skończył na Przymusowej Terapii w Tehachapi. No. A zmierzam do tego, że trzeba być ostrożnym, stawiając taki zarzut. Większość psychiatrów, którzy dostają pacjentów rządowych, to ludzie ostrożni poważani lekarze. Gdyby mógł pan dostarczyć jakikolwiek przykład, jakiegokolwiek zdarzenie, które mogłoby posłużyć jako prawdziwy dowód; bo same podejrzenia nie wystarczają. W gruncie rzeczy mógłby pan przez nie wylądować na Przymusowej, to znaczy w szpitalu dla umysłowo chorych w Linnton albo w pudle.

–A czy nie mogliby... może dać mi po prostu innego psychiatry?

–Hmm. Gdyby istniała rzeczywista przyczyna. Szkoła medyczna posłała pana do tego Habera, a oni są tam dobrzy. Gdyby wniósł pan skargę przeciw Haberowi, najprawdopodobniej rozpatrującymi ją specjalistami byłiby ludzie Szkoły, pewnie ci sami, którzy rozmawiali z panem przedtem. Nie uznają słowa pacjenta przeciw słowu lekarza bez dowodu. Nie w takim przypadku. 54

–Przypadku choroby umysłowej – powiedział klient ze smutkiem.

–Właśnie.

Przez chwilę nic nie mówił. W końcu podniósł na nią wzrok, swe przejrzyste, jasne

oczy, spojrzenie bez gniewu i nadziei, uśmiechnął się i powiedział:

–Bardzo pani dziękuję, panno Lelache. Przepraszam, że straciła pani przeze mnie tyle czasu.

–Hej, proszę zaczekać! – powiedziała. Mógł być prosty, ale z pewnością nie wyglądał na szaleńca; nie wyglądał nawet na nerwowo chorego. Wyglądał po prostu na zrozpaczonego. – Nie musi się pan tak łatwo poddawać. Nie powiedziałam, że nie ma powodu do oskarżenia. Mówi pan, że naprawdę chce pan przestać zażywać lekarstwa i że doktor Haber stosuje teraz większą dawkę fenobarbów niż sam pan przedtem zażywał, a to mogłoby uzasadnić dochodzenie. Chociaż bardzo w to wątpię. Ale ja specjalizuję się w ochronie praw do prywatności i chcę wiedzieć, czy zaszło tu jej naruszenie. Powiedziałam tylko, że nie opisał mi pan jeszcze sprawy, jeśli taka istnieje. Co dokładnie zrobił ten lekarz?

–Jeśli pani powiem – odparł klient z ponurą bezstronnością – pomyśli pani, że oszalałem.

–Skąd ta pewność?

Panna Lelache bardzo trudno poddawała się wszelkim sugestiom, co stanowiło wspaniałą cechę u prawnika, ale wiedziała, że tym razem posunęła się trochę za daleko.

–Gdybym pani powiedział – odezwał się klient tym samym tonem – że niektóre z moich snów wywierają wpływ na rze-chywistość i że doktor Haber to odkrył i wykorzystuje ten...

tę moją zdolność do własnych celów, bez mojej zgody... pomyślałaby pani, że jestem szalony. Prawda?

Panna Lelache patrzyła na niego przez chwilę z brodą opartą na dłoniach.

–No tak. Proszę mówić dalej – powiedziała w końcu ostrym tonem. Miał zupełną rację co do tej myśli, ale niech ją diabli, jeśli się do tego przyzna. A nawet jeśli, to co z tego, że jest szalony? Kto normalny mógł żyć w tym świecie i nie oszaleć?

Przez minutę wpatrywał się w swe dłonie, najwyraźniej próbując zebrać myśli.

–Widzi pani – rzekł – on ma taką maszynę. Urządzenie jak rejestrator EEG, ale robi ono jakby analizę sprzężenia zwrotnego z falami mózgu.

–Myśli pan, że to Szalony Naukowiec z Piekielną Maszyną? Klient uśmiechnął się słabo.

–Tak to brzmi w moim wykonaniu. Nie, uważam, że ma doskonałą reputację jako badacz i że naprawdę poświęca się niesieniu pomocy innym. Jestem pewien, że nikogo nie chce skrzywdzić. Ma bardzo chwalebne motywy. – Napotkał rozczarowane spojrzenie Czarnej Wdowy i zająknął się. – Ta, ta maszyna. Nie potrafię pani powiedzieć, jak działa, ale tak czy owak używa jej, aby utrzymać mój umysł w stanie M, jak go nazywa. To termin na specjalny rodzaj snu podczas śnienia. Jest zupełnie różny podczas normalnego snu. Haber hipnotyzuje mnie, każe zasnąć i włącza tę maszynę, tak że natychmiast zaczynam śnić, a zwykle tak się nie dzieje. A przynajmniej tak to rozumiem. Maszyna sprawia, że śnię, a ja uważam, że pogłębia ten stan snu. A potem śni mi się to, co mi kazał w hipnozie. 56

–No tak. Brzmi to jak żelazna metoda staromodnego psychoanalityka uzyskiwania snów do analizy. Ale zamiast tego zadaje panu treść snu podczas hipnozy? Więc zakładam, że dla jakiś powodów warunkuje pana za pomocą snów. Otóż ustalono ponad wszelką wątpliwość, że człowiek w hipnozie może zrobić prawie wszystko, niezależnie od tego, czy jego sumienie pozwoliłoby mu na to w normalnym stanie. Wiadomo o tym od połowy ubiegłego wieku, a prawnie ustalono od sprawy Somerville'a i Projansky'ego w 2005. No tak. Czy ma pan jakiegokolwiek podstawy, aby sądzić, że ten lekarz używa hipnozy w celu zasugerowania panu wykonywania czynności niebezpiecznych lub moralnie odrażających?

Klient zawahał się.

–Niebezpiecznych, owszem. Jeśli przyjmie się, że sen może być niebezpieczny. Ale on nie każe mi niczego robić. Tylko śnić.

–No to czy sny, jakie on sugeruje, są dla pana moralnie odrażające?

–On nie jest... nie jest złym człowiekiem. Ma dobre intencje. Ale protestuję przeciwko wykorzystywaniu mnie jako narzędzia, jako środka, nawet jeśli jego cele są szczytne. Nie mogę go osądzić, moje własne sny miały niemoralne skutki, i dlatego próbowałem stłumić je lekami i wpadłem w to wszystko. I chcę się z tego wydostać, przestać zażywać leki, wyleczyć się. Ale on mnie nie leczy. On mnie zachęca.

Po chwili panna Lelache powiedziała:

–Do czego?

–Do zmiany rzeczywistości przez śnienie, że jest inna -odparł klient uparcie, bez nadziei.

Panna Lelache znów oparła brodę na rozłożonych dłoń

niach i przez chwilę patrzyła na niebieskie pudełko na spinacze, stojące na biurku w samym centrum jej pola widzenia. Spojrzała ukradkiem na klienta. Siedział sobie, jak zwykle łagodny, ale teraz pomyślała, że gdyby na niego nadepnęła, na pewno nie rozpaćkałby się ani nie chrupnął, ani nawet nie pękł. Był dziwnie mocny.

Ludzie przychodząc do prawnika przyjmują zazwyczaj postawę defensywną, jeśli nie ofensywną, bo naturalnie chcą coś uzyskać: spadek, własność, nakaz, rozwód, powiernictwo – cokolwiek. Nie potrafiła określić, co chciał uzyskać ten facet, taki nieszkodliwy i bezbronny. To, co mówił, w ogóle nie miało sensu, a jednak nie brzmiało jak coś bez sensu.

–Dobrze – odezwała się ostrożnie. – Więc co jest złego w tym, do czego wykorzystuje pańskie sny?

–Nie mam prawa zmieniać rzeczywistości. Ani on kazać mi to robić.

"Boże, on naprawdę w to wierzy; zupełnie zwariował!" A jednak złapała się na haczyk jego moralnej pewności, jakby była rybą.

–Jak zmieniać rzeczywistość? Jaką rzeczywistość? Proszę podać jakiś przykład! – Nie miała dla niego litości, a powinna, mając do czynienia z chorym człowiekiem, schizofrenikiem czy paranoikiem mającym złudzenia, że manipuluje rzeczywistością. Oto "jeszcze jedna ofiara naszych czasów, które wystawiają na próbę dusze ludzi", jak ze swoją beztroską umiejętnością plątania cytatów powiedział prezydent Merdle w orędziu o stanie państwa, a ona jest podła dla biednej, cholernej, krwawiącej ofiary z dziurami w mózgu. Ale nie miała ochoty być dla niego uprzejma. Wytrzyma to.

–Chata – powiedział po chwili zastanowienia. – Podczas 58

drugiej wizyty u niego pytał mnie o marzenia i powiedziałem mu, że czasami wyobrażam sobie teren w Dzikich Rejonach, wie pani, także miejsce, dokąd można uciec. Oczywiście, nic takiego nie miałem. Kto ma? Ale w zeszłym tygodniu chyba kazał mi śnić, że mam. Bo teraz mam. Chatę dzierżawioną na trzydzieści trzy lata, na ziemi rządowej w Lesie Narodowym Siuslaw, w pobliżu Neskowin. Wynająłem w niedzielę latacza i pojechałem ją zobaczyć. Jest bardzo ładna. Ale...

–Dlaczego nie miałby pan mieć chaty? Czy to niemoralne? Wiele osób gra w loterię o te dzierżawy, od kiedy otworzyli część Dzikich Rejonów w zeszłym roku. Ma pan po prostu piekielne szczęście.

–Ale ja nie miałem chaty. Nikt nie miał. Park i Lasy byty rezerwatami ścisłymi, to znaczy to, co z nich zostało, z campingami tylko na obrzeżach. Nie było chat dzierżawionych od rządu. Aż do zeszłego piątku. Kiedy je wyśniłem.

–Ale niech pan posłucha, panie Orr, ja wiem...

–Wiem, że pani wie – powiedział łagodnie. – Ja też wiem. O tym, jak zeszłej wiosny zdecydowali się wydzierżawić część Lasów Narodowych. Ja złożyłem podanie, wygrałem szczęśliwy numer na loterii i tak dalej. Tylko że jednocześnie wiem, że nie było to prawdą aż do zeszłego piątku. I doktor Haber też to wie.

–A więc ten sen w zeszły piątek – rzekła drwiąco – zmienił retrospektywnie rzeczywistość dla całego stanu Oregon i wpłynął na zeszłoroczną decyzję w Waszyngtonie, i wymazał wszystkim pamięć oprócz pana i pańskiego doktora? Ale sen! Pamięta go pan?

–Tak – odparł ponuro, ale stanowczo. – Był o chacie i strumieniu, który przez nią płynie. Wcale się nie spodziewam, że

pani w to uwierzy, panno Lelache. Nie sądzę, żeby nawet doktor Haber się w tym orientował. On nie chce czekać i wczu-wać się w sytuację. W przeciwnym wypadku byłby trochę ostrożniejszy. Widzi pani, to jest tak: gdyby kazał mi pod hipnozą wyśnić różowego psa w pokoju, zrobiłbym to, ale pies nie mógłby się pojawić, bo w naturze nie istnieją różowe psy, nie są częścią rzeczywistości. W rezultacie albo otrzymałbym białego pudła ufarbowanego na różowo i jakąś wiarygodną przyczynę jego obecności, albo, gdyby upierał się, że ma to być prawdziwy różowy pies, mój sen musiałby zmienić naturę, żeby obejmowała także różowe psy. Wszędzie. Od plejstocenu czy kiedykolwiek pojawiły się psy. Zawsze byłyby czarne, brązowe, płowe, białe i różowe. I jeden z tych różowych wszedłby z holu: albo byłby to jego collie, albo pekińczyk jego recepcjonistki, albo coś takiego. Nic cudownego. Nic nienaturalnego. Każdy sen całkowicie zaciera za sobą ślady. I kiedy obudziłbym się, znajdowałby się tam zwykły różowy pies z absolutnie zwykłego powodu. I nikt nie zdawałby sobie sprawy, że pojawiło się coś nowego, oprócz mnie – i jego. Ja przechowuję pamięć obu rzeczywistości. Doktor Haber też. On jest na miejscu w chwili zmiany i wie, o czym jest sen. Nie przyznaje się, że wie, ale ja wiem, że tak jest. Dla wszystkich innych różowe psy istniałyby zawsze. Dla mnie i dla niego istniałyby – i nie istniały.

–Podwójne tory czasu, przemienne wszechświaty – powiedziała panna Lelache. – Dużo pan ogląda starych seriali telewizyjnych?

–Nie – odparł klient prawie tak sucho jak ona. – Nie proszę, żeby pani w to uwierzyła. Z pewnością nie na słowo.

–No tak. Dzięki Bogu! 60

Uśmiechnął się, prawie roześmiał. Miał miłą twarz i z jakiegoś powodu wyglądał, jakby mu się spodobała.

–Niech pan posłucha, panie Orr, jak do diabła mogę zdobyć jakiś dowód pańskich snów? Szczególnie, jeśli za każdym snem niszczy pan wszystkie dowody, zmieniając wszystko aż od plejstocenu?

–Może pani – rzekł, nagle śpiący, jakby doznał przyływu nadziei. – Czy może pani jako adwokat poprosić o uczestniczenie w jednej z moich sesji z doktorem Haberem, jeśli się pani zgodzi?

–No tak. Może. Można to załatwić, jeśli jest dobry powód. Ale niech pan posłucha, wezwanie adwokata na świadka w przypadku domniemanego naruszenia prywatności kompletnie niszczy wasze stosunki terapeuta – pacjent. Co prawda nie wygląda to na pewną sprawę, ale trudno osądzić z zewnątrz. Chodzi o to, że musi mu pan ufać,

a on, rozumie pan, musi w jakiś sposób ufać panu. Jeżeli rzuci pan w niego adwokatem, bo chce go pan wypędzić ze swego umysłu, to co on może zrobić? Prawdopodobnie usiłuje panu pomóc.

–Tak. Ale wykorzystuje mnie do eksperymentalnych... -tu Orr przerwał; panna Lelache zeszywniała, pajak dojrzał w końcu swą ofiarę.

–Do celów eksperymentalnych? Tak? Co? To urządzenie, o którym pan mówił, jest eksperymentalne? Czy ma zgodę ZOOS? Co pan podpisywał, jakieś zezwolenia, coś poza formularzami DT i zgodą na hipnozę? Nic? Wygląda na to, że mógłby mieć pan powód do złożenia skargi, panie Orr.

–Mogłaby pani przyjść na obserwację sesji?

–Może. Oczywiście, trzeba by pójść po linii praw obywatelskich, a nie prywatności.

–Ale rozumie pani, że nie usiłuję wpakować doktora Ha-bera w kłopoty? – powiedział, wyglądając na zmartwionego. – Nie chcę tego. Wiem, że ma dobre intencje. Tylko że ja chcę być wyleczony, a nie wykorzystywany.

–Jeśli jego motywy są słuszne i jeśli stosuje na człowieku urządzenie eksperymentalne, powinien przyjąć to jako rzecz naturalną, bez oburzenia; jeśli jest w porządku, nie będzie miał żadnych kłopotów. Robiłam coś takiego już dwa razy. ZOOS mnie wynajęło. W Szkole Medycznej obserwowałam zastosowanie nowego hipnotyzera, który nie działał, a w Instytucie w Forest Grove obserwowałam pokaz sugerowania agorafobii, żeby ludzie czuli się szczęśliwi w tłumie. To się udało, ale nie dostało zezwolenia, bo zdecydowaliśmy, że kwalifikuje się do przepisów o praniu mózgow. Otóż prawdopodobnie mogę dostać nakaz ZOOS zbadania urządzenia, które stosuje pański lekarz. To ustawia pana poza obrazem. Wcale nie pojawiam się jako pański adwokat. Właściwie może nawet pana nie znam. Jestem oficjalnym obserwatorem prawniczym akredytowanym przy ZOOS. A jeśli nigdzie z tym nie dojdziemy, stosunki między wami nie zmienią się. Jedyne kłopot w tym, że muszę dostać zaproszenie na jedną z pańskich sesji.

–Jestem jedynym pacjentem, przy którym stosuje Wzmacniacz, sam mi to powiedział. Powiedział, że ciągle nad nim pracuje, ulepsza go.

–No to rzeczywiście jest to urządzenie eksperymentalne, jakkolwiek by je stosował. Dobra. Świetnie. Zobaczę, co się da zrobić. Przepchnięcie formularzy zajmie tydzień albo więcej.

Wyglądał na zmartwionego. 62

–Nie pozbawi mnie pan istnienia swoimi snami w tym tygodniu, panie Orr – rzekła, słysząc swój chitynowy głos, trzaskając szczęką.

–Nie umyślnie – odparł z wdzięcznością. Nie na Boga, to niewdzięczność, to sympatia. Podobała mu się. Był biednym, cholernym, stukniętym świrem na prochach, musiała mu się podobać. A on spodobał się jej. Wyciągnęła brązową rękę, a on swoją białą, zupełnie jak ta cholerna odznaka, która jej matka zawsze trzymała na dnie pudełka z biżuterią. SCNN czy SNCC, czy coś takiego, do czego należała dawno temu w połowie zeszłego wieku, Czarna dłoń połączona z Białą dłonią. Jezu!

ROZDZIAŁ PIĄTY

Gdy odrzucono zasady Wielkiego Tao, wówczas powstał humanitaryzm i sprawiedliwość.

Laozi: XVIII

William Haber z uśmiechem wkroczył na schody Oregoń-skiego Instytutu Oniologicznego i przez wysokie drzwi ze spolaryzowanego szkła wszedł do suchego chłodu klimatyzowanego wnętrza. Dopiero dwudziestego czwartego marca, a na zewnątrz już jak w saunie. W środku panował jednak chłód, czystość, spokój. Marmurowa posadzka, eleganckie meble, za kontuarem z polerowanego chromu wylakierowa-na recepcjonistka.

–Dzień dobry, panie doktorze!

W holu minął go Atwood, wychodzący z oddziałów badawczych, rozczochrany, z oczami czerwonymi po nocy śledzenia wykresów EEG pacjentów. Wiele z tego robiły teraz komputery, ale ciągle jeszcze czasami potrzebny był nieza-programowany umysł.

–Dzień dobry, szefie – wymamrotał.

A w jego dawnym gabinecie panna Crouch:

–Dzień dobry, panie doktorze! – Był zadowolony, że wziął ze sobą pannę Crouch, gdy przeprowadzał się w zeszłym roku do gabinetu dyrektora Instytutu. Była lojalna i bystra, a człowiek stojący na czele dużej i złożonej instytucji badawczej potrzebuje w sekretariacie lojalnych i bystrych kobiet.

Wmaszerował do swojego sanktuarium.

Rzucając aktówkę i teczkę z dokumentami na kozetkę, przeciągnął się i, jak zwykle po wejściu z rana do gabinetu,

64

podszedł do okna. Dużego, narożnego okna z widokiem na wschód i na północ, na szeroki świat: zakole Willamette z licznymi mostami u stóp wzgórza, niezliczone wieżowce miasta wylaniającego się z mlecznej wiosennej mgły po obu stronach rzeki, przedmieścia cofające się przed wzrokiem aż do miejsca, gdzie z ich odległych krańców wyrastały wzgórza i góry. Hood, ogromna, jednak odległa, rozmnażająca wokół szczytu chmury, na pomocy daleki Adams jak ząb trzonowy, a dalej szlachetny stożek St. Helen, z której długiego, szerokiego, rozległego stoku wystawała jeszcze

bardziej na północ łysa kopuła jakby główka dziecka wyglądającego zza matczynej spódnicy – to góra Rainier.

Imponujący widok. Zawsze wywierał na Haberze ogromne wrażenie. Poza tym po tygodniu ciągłego deszczu ciśnienie wzrosło i znów nad rzeczną mgłą pokazało się słońce. W pełni świadom – z tysięcznych wykresów EEG – związków między ciśnieniem atmosferycznym i ociążałością umysłu, prawie czuł, jak serce mu rośnie od tego świeżego, osuszającego wiatru. 'Trzeba tak dalej, trzeba ulepszać klimat' – pomyślał szybko, prawie ukradkiem. Powstawało mu w głowie obok już istniejących kilku ciągów myślowych równocześnie, a to spostrzeżenie nie należało do żadnego z nich. Zostało szybko zrobione i równie szybko zapisane w pamięci jednocześnie z włączeniem biurowego magnetofonu, do którego zaczął dyktować jeden z wielu listów, jakich wysłanie łączyło się z prowadzeniem instytutu naukowego związanego z rządem. To oczywiście odrabianie pańszczyzny, ale konieczne, i on był tym, który musi ją odwalić. Nie czuł się tym urażony, choć wykradało mu to mnóstwo czasu z badań naukowych. Teraz spędzał w laboratoriach zwykle tylko

pięć, sześć godzin tygodniowo i miał tylko jednego pacjenta, choć oczywiście czuwał nad terapią kilku innych.

Jednego pacjenta jednak zatrzymał. Był przecież psychiatrą. Zajął się badaniami snu i oniologią przede wszystkim po to, aby znaleźć jej zastosowanie terapeutyczne. Nie interesowała go oderwana wiedza, jeśli nie przynosi to pożytku. Jego probierzem był związek danego zagadnienia z rzeczywistością. Zawsze miał jednego pacjenta, żeby ten przypominał mu o tej podstawowej zasadzie, żeby utrzymywał go w kontakcie z ludzką rzeczywistością jego badań rozpatrywaną z punktu widzenia zaburzonej struktury osobowości poszczególnych ludzi. Bo nic oprócz ludzi nie jest ważne. Jednostkę określa jedynie zakres jej wpływu na innych, sfera jej wzajemnych relacji. Moralność to termin całkowicie pozbawiony znaczenia, chyba że określa się ją jako dobro czynione innym, wypełnianie swej funkcji w socjologicznej całości.

Jego aktualny pacjent, Orr, przychodził dziś o czwartej po południu, bo zarzucili próby sesji nocnych. Dzisiejszą sesję, co przypomniała mu panna Crouch w przerwie obiadowej, miał obserwować inspektor z ZOOS, sprawdzając, czy w działaniu Wzmacniacza nie ma nic nielegalnego, niemoralnego, niebezpiecznego, nieuprzejmego, nie... itd. Do cholery z wtrącaniem się rządu.

Takie są problemy związane z sukcesem i towarzyszącymi mu: rozgłosowi, publicznej ciekawości, zawodowej zazdrości, współzawodnictwie wśród kolegów. Gdyby ciągle był prywatnym badaczem harującym w uniwersyteckim laboratorium snu i w drugorzędnym gabinecie we Wschodniej Wieży Willamette, istniała szansa, że nikt nie zauważyłby jego Wzmacniacza, póki sam by nie zdecydował, że może go

wypuścić na rynek, i pozwolono by mu w spokoju ulepszać samo urządzenie i jego zastosowanie. A teraz zajmował się najbardziej osobistą i najdelikatniejszą częścią swej roboty – psychoterapią pacjenta z zaburzeniami – więc rząd musiał wpakować mu prawnika, który nie zrozumie połowy z tego, co się będzie działo, a resztę zrozumie opacznie.

Prawnik zjawił się o 14.45 i Haber wmaszerowało sekretariatu, żeby go – jak się okazało, ją – przywitać i od razu sprawić ciepłe, przyjazne wrażenie. Lepiej szło, gdy wiedzieli, że człowiek się nie boi, chce współpracować i jest serdeczny. Mnóstwo lekarzy okazywało niechęć inspektorom ZOOS. Nie dostawali potem dotacji rządowych.

W sumie serdeczność i ciepło względem tej prawniczki nie przychodziły łatwo. Chrząściła i podzwaniała. Ciężki mosiężny zamek u torebki, ciężka brzęcząca

biżuteria z miedzi i mosiądzu, grubo podzielowane buty, sfebrny pierścień w straszliwie brzydkie wzory jak na afrykańskiej masce, zmarszczone brwi, ostry głos: trzask, brzęk, chrzęst... Przez kolejne dziesięć sekund Haber podejrzewał, że wszystko to, jak sugerował pierścień, istotnie jest maską: głośną, wrzaskliwą, a znaczącą nieśmiałość. To jednak nie jego sprawa. Nigdy nie pozna kobiety kryjącej się pod tą maską; nie liczyła się, o ile potrafił zrobić właściwe wrażenie na pannie Lelache, prawnicze.

Nawet jeśli nie odbyło się to w atmosferze serdeczności, to przynajmniej nie poszło źle; była kompetentna, robiła coś takiego już przedtem i przygotowała się do tego właśnie zadania. Wiedziała o co pytać i jak słuchać.

–Ten pacjent, George Orr – powiedziała – nie jest nałob7

gowcem, prawda? Po trzech tygodniach terapii diagnoza mówi o psychozie czy o zaburzeniach?

–O zaburzeniach, według definicji Urzędu Zdrowia. O głębokich zaburzeniach z orientacją na rzeczywistość wyimaginowaną. Obecna terapia przynosi pozytywne rezultaty.

Miała dyktafon i wszystko nagrywała; zgodnie z wymaganiami prawa urządzenie co pięć sekund pikało.

–Zechce pan opisać stosowaną terapię – pik – i wyjaśnić rolę, jaką w niej odgrywa to urządzenie? Proszę mi nie mówić, jak to – pik – działa, bo umieścił to pan w raporcie, ale co robi – pik, – Na przykład czym jego zastosowanie różni się od elektrosonu lub hipnohełmu?

–No cóż, jak pani wie, urządzenia te wytwarzają różne vibracje niskich częstotliwości, które pobudzają komórki nerwowe w korze mózgowej. Sygnały te można by określić jako zgeneralizowane; działają na mózg w sposób zasadniczo podobny do działania światła stroboskopowego w krytycznym rytmie lub bodźca słuchowego jak bicie w bęben. Wzmacniacz generuje określony sygnał odbierany przez określony obszar. Na przykład, jak pani wie, można nauczyć pacjenta, aby wchodził w rytm alfa na zawołanie; Wzmacniacz zaś może go weń wprowadzić bez żadnego warunkowania i nawet wtedy, gdy pacjent znajduje się w stanie zwykle nie sprzyjającym wytworzeniu tego rytmu. Urządzenie za pośrednictwem odpowiednio umieszczonych elektrod przesyła dziesięciookresowy rytm do mózgu, który przyjmuje go w ciągu paru sekund i zaczyna wytwarzać fale tak miarowo jak buddysta zeń w transie. Podobnie, co bardziej przydatne, można wprowadzić każde stadium snu z właściwymi mu cyklami i aktywnością danych okolic mózgu. 68

–Czy pobudza ono ośrodek przyjemności lub mowy?

Ach, ten moralistyczny btysk w prawniczym oku, ilekroć wyłaził ten kawałek o ośrodku przyjemności! Haber ukrył całą ironię i rozdrażnienie i odpowiedział z przyjemną serdecznością:

–Nie. Widzi pani, to nie tak jak z EEG. Nie ma to nic wspólnego z elektrycznym czy chemicznym pobudzeniem jakiegokolwiek ośrodka; nie pociąga to za sobą ingerencji w żadne obszary specjalne mózgu. Urządzenie po prostu pobudza całą aktywność mózgu do zmian, do wejścia w inny, naturalny stan. To trochę jak chwytliwa melodia, do której nogi same wybijają rytm. Tak więc mózg wchodzi w stan pożądany do badań lub leczenia i pozostaje w nim tak długo, jak długo potrzeba. Nazwałem to urządzenie Wzmacniaczem dla podkreślenia jego nietwórczego działania. Nic nie jest narzucone z zewnątrz. Wzmacniacz wywołuje sen o rodzaju i jakości dokładnie i dosłownie normalnej dla danego mózgu. Różnica między tym urządzeniem a elektrycznymi induktorami snu jest taka, jak między osobistym krawcem a masową produkcją garniturów. Różnica między nim a wszczepieniem elektrod to jak różnica między, cholera, skalpelem a młotem kowalskim!

–Ale jak wytwarza pan potrzebne bodźce? Czy – pik – nagrywa pan na przykład rytm alfa jednego pacjenta do wykorzystania go na innym? – pik.

Unikał tej kwestii. Oczywiście, nie zamierzał kłamać, ale mówienie o badaniach przed ich ukończeniem i sprawdzeniem po prostu nie miało sensu; na laiku mogłoby to wyrzucić zupełnie niewłaściwe wrażenie. Rozpoczął odpowiedź ze swadą, zadowolony, że słyszy własny głos zamiast tego jej

chrzęstu, podzwaniań bransoletkami i pikania; dziwne, że słyszy ten denerwujący cichy dźwięk tylko wtedy, gdy mówiła ona.

–Z początku stosowałem uogólniony zestaw bodźców, wyprowadzony z wykresów wielu pacjentów. W ten sposób wyleczyłem pacjenta z depresją, wymienionego w raporcie. Ale miałem wrażenie, że rezultaty są bardziej przypadkowe i nierówne, niż by mi to odpowiadało. Zaczęłem eksperymentować. Oczywiście na zwierzętach. Na kotach. Musi pani wiedzieć, że my, badacze snu, lubimy koty; one tyle śpią! Otóż odkryłem, że u zwierząt najbardziej obiecującym podejściem jest stosowanie rytmów poprzednio zapisanych z własnego mózgu obiektu. Coś jakby samostymulacja za pomocą zapisów. Bo widzi pani, mnie chodzi o specyficzność. Mózg reaguje na własny rytm alfa natychmiast i to spontanicznie. Oczywiście istnieją perspektywy terapeutyczne stworzone przez inne metody badawcze. Prawdopodobnie można stopniowo nałożyć nieco odmienny, zdrowy lub pełniejszy rytm na własny rytm pacjenta. Można by go zapisać wcześniej u tego samego pacjenta lub od kogoś innego. Mogłoby się to okazać niezwykle pomocne w przypadkach uszkodzenia mózgu, zmian chorobowych, urazów; z jego pomocą uszkodzony mózg mógłby na nowo skanalizować stare nawyki – coś, co we własnym zakresie osiąga po długiej i ciężkiej walce. Dysponując takim narzędziem można by "nauczyć" nienormalnie funkcjonujący mózg nowych nawyków i tak dalej. Jednakże w tej chwili wszystko to są rozważania teoretyczne i jeśli w ogóle powrócę do badań pod tym kątem, oczywiście ponownie zarejestruję się w ZOOS. – To była zupełna prawda. Nie było potrzeby wspominać, że już pro-70

wadzi badania pod tym kątem, bo jak dotąd niczego nie dowiodły i spotkałyby się jedynie z niezrozumieniem. – Formę samostymulacji zapisami, którą stosuję w tym leczeniu, można określić jako nie mającą wpływu na pacjenta poza okresem działania urządzenia, co zajmuje pięć do dziesięciu minut – Wiedział więcej o specjalności jakiegokolwiek prawnika ZOOS niż ona o jego; zauważył, że lekko potakuje przy ostatnim zdaniu, nawiązującym ściśle do jej zainteresowań.

Wtedy jednak zapytała:

–Co więc dokładnie to urządzenie robi?

–Właśnie do tego zmierzałem – odparł Haber i szybko zmienił ton, bo zdradzał oznaki zdenerwowania. – W tym przypadku mamy do czynienia z pacjentem, który obawia się śnić: z onirofobem. Moje leczenie polega zasadniczo na prostym uwarunkowaniu w klasycznej tradycji psychologii współczesnej. Wprowadza się pacjenta w stan snienia w warunkach kontrolowanych; treść snu i oddziaływanie emocjonalne są regulowane sugestią hipnotyczną. Uczy się pacjenta, że może śnić

bezpiecznie, przyjemnie et cetera; jest to uwarunkowanie pozytywne, które uwolni go od fobii. Wzmacniacz to idealne urządzenie do tego celu. Zapewnia sny przez wywołanie, a następnie wzmacnianie własnej typowej aktywności pacjenta w stanie M. Przejście przez różne stany snu i osiągnięcie stanu M o własnych siłach mogłoby zająć pacjentowi do półtorej godziny, co jest dość niepraktyczne podczas dziennych sesji terapeutycznych; co więcej, w fazie snu głębokiego mogłaby zmaleć siła sugestii hipnotycznych dotyczących treści snu. Jest to niepożądane; zasadnicza sprawa podczas uwarunkowania polega na tym, aby pacjent

nie miał złych snów, nie miał koszmarów. Zatem Wzmacniacz stanowi zarówno urządzenie oszczędzające czas, jak i czynnik bezpieczeństwa. Można by przeprowadzić terapię bez niego, ale trwałoby to prawdopodobnie miesiącami; spodziewam się, że z jego pomocą zajmie ona kilka tygodni. W odpowiednich przypadkach może okazać tak wielkim czynnikiem oszczędzającym czas, jak sama hipnoza w psychoanalizie i terapii warunkującej.

–Pik – odezwał się magnetofon prawniczki.

–Bong – odparł miękkiem, głębokim, rozkazującym głosem jego własny komunikator na biurku. Dzięki Bogu.

–A oto i nasz pacjent. Proponuję, aby się pani z nim przywitała i jeśli pani chce, możemy chwilę porozmawiać, a potem może zechce się pani wycofać na ten skórzany fotel w rogu, dobrze? Obecność pani nie powinna sprawiać pacjentowi właściwie żadnych różnic, ale jeśli będzie mu się stale o niej przypominało, może to poważnie wszystko opóźnić. Widzi pani, to osobnik w stanie dość poważnego niepokoju, z tendencją do interpretowania wydarzeń jako osobiście mu zagrażających i wytworzonych zestawem urojeń ochronnych – zresztą sama pani zobaczy. Aha, i proszę wyłączyć magnetofon, sesja terapeutyczna nie jest przeznaczona do nagrywania. Tak? Świetnie, dobrze. Tak, witaj, George, wejdź! To jest panna Lelache z ZOOS. Ma przyjrzeć się zastosowaniu Wzmacniacza. – Tych dwoje ścisnęło sobie ręce w prześmiesznie sztywny sposób. Trzask, brzęk! dzwoniły bransoletki prawniczki. Kontrast między nimi ubawił Habera: szorstka gwałtowna kobieta i potulny, nieciekawym mężczyzna. Nie mieli żadnych wspólnych cech.

–Dobrze – powiedział zadowolony, że dyryguje spotka-72

niem. – Proponuję, żebyśmy się zabrali do roboty, chyba że jest coś specjalnego, George, o czym chciałbyś najpierw porozmawiać? – Z pomocą własnych, pozornie nieśmiały ruchów rozdzielił ich i posłał tę Lelache na fotel w przeciwległym rogu, a Orra na kozetkę – Świetnie więc, dobrze. Puśćmy jakiś sen. Którego zapis będzie notabene stanowił dowód dla ZOOS, że Wzmacniacz nie wrywa paznokci, nie powoduje stwardnienia tętnic, nie niszczy szarych komórek ani nie wywołuje żadnych skutków ubocznych z wyjątkiem może niewielkiego wyrównującego spadku śnienia tej dzisiejszej nocy. – Kończąc to zdanie wyciągnął prawą rękę i położył ją prawie mimochodem na gardle Orra.

Orr wzdrygnął się na ten dotyk, jak gdyby nigdy nie poddawał się hipnozie.

–Przepraszam. Podszedł pan tak nagle.

Okazało się, że trzeba go zahipnotyzować całkowicie od nowa, stosując metodę indukcji v-c, która była oczywiście zupełnie legalna, ale nieco zbyt spektakularna jak na prezentację przed obserwatorem z ZOOS; Haber był wściekły na Orra, w którym przez ostatnie pięć czy sześć spotkań wyczuwał rosnący opór. Kiedy już wprowadził go w trans, założył taśmę, którą sam przygotował, ze wszystkimi nudnymi powtórzeniami prowadzącymi do pogłębionego transu i posthipnotycznymi poleceniami w celu ponownej hipnozy:

"Jest ci teraz wygodnie, leżysz odprężony. Pogrzeżysz się w trans coraz głębiej" – i tak dalej, i tak dalej. W czasie odtwarzania wrócił do biurka i przebierał w papierach ze spokojną, poważną twarzą, nie zwracając uwagi na Lelache. Siedziała cicho, wiedząc, że nie wolno przerywać procesu hipnotyzowania; wyglądała przez okno na wieżowce miasta.

W końcu Haber zatrzymał taśmę i włożył Orrowi hipno-hełm.

–No dobrze, zanim cię podłączę, porozmawiamy o tym, co ci się przyśni, George. Chcesz o tym porozmawiać, prawda? Powolne skiniecie głową.

–Ostatnim razem, kiedy tu byłeś, rozmawialiśmy o pewnych trapiących cię sprawach. Powiedziałeś, że podoba ci się twoja praca, ale nie lubisz dojeżdżać do niej metrem. Powiedziałeś, że czujesz się zgniatany przez tłum, ściskany. Że czujesz się, jakbyś nie miał gdzie się obracać, jakbyś nie był wolny.

Przerwał, a pacjent, który pod hipnozą zawsze był małomówny, w końcu powiedział:

–Przeludnienie.

–Tak, takiego słowa użyłeś. To twoje słowo, twoja metafora na to poczucie braku wolności. Zajmijmy się więc tym słowem. Wiesz, że w XVIII wieku Malthus alarmował w kwestii wzrostu zaludnienia; jakieś 30 – 40 lat temu przeżyliśmy kolejny atak paniki w tej sprawie. No i oczywiście zaludnienie wzrosło, ale wszystkie przewidywane potworności jakoś nie nastąpiły. Po prostu nie jest tak źle, jak się spodziewano. Wszyscy sobie jakoś tu w Ameryce radzimy, ale jeśli poziom życia musiał w niektórych dziedzinach się obniżyć, to w innych jest nawet wyższy niż w poprzednim pokoleniu. A więc może nadmierny strach przed przeludnieniem – zatłoczeniem – nie oddaje zewnętrznej rzeczywistości, ale wewnętrzny stan umysłu. Jeśli czujesz zatłoczenie, gdy to zjawisko nie ma miejsca, to co to oznacza? Może twoją obawę przed kontaktem z ludźmi – przed byciem blisko nich, przed dotykiem. Więc znalazłeś sobie wymówkę, żeby odsunąć rzeczywistość od siebie. – EEG już działał i ciągle mówiąc, Ha-74

ber podłączał pacjenta do Wzmacniacza. – Porozmawiamy sobie jeszcze trochę, George, a kiedy wypowiem kluczowe słowo "Antwerpia", zapadniesz w sen; po przebudzeniu będziesz się czuł wypoczęty i rażny. Nie będziesz pamiętał tego, co teraz mówię, ale zapamiętasz swój sen. Będzie to wyraźny sen, wyraźny i przyjemny, sen efektywny. Będziesz śnił o tym, co cię martwi, o przeludnieniu: przyśni ci się, że tak naprawdę nie to cię martwi. Ludzie przecież nie mogą żyć w samotności; skazanie na samotność jest najgorszą karą! Potrzebujemy ludzi wokół nas. Do dawania i przyjmowania pomocy, do współzawodnictwa, do wyostrzania naszych zmysłów. – I tak dalej, i tak dalej. Obecność prawniczki fatalnie wpływała na jego styl; musiał wszystko formułować w kategoriach abstrakcyjnych, zamiast po prostu powiedzieć Orrowi, o czym ma śnić. Nie fałszował oczywiście swojej metody, aby oszukać obserwatora; jego metoda po prostu nie była jeszcze niezmienna. Zmieniał ją ze spotkania na spotkanie, poszukując pewnego sposobu zasugerowania

dokładnie takiego snu, jaki chciał, i zawsze napotykał opór, który czasami wydawał mu się przerostem dosłowności w myśleniu na poziomie pierwotnym, a czasami zdecydowanym sprzeciwem ze strony umysłu Orra. Cokolwiek było przeszkodą, sen prawie nigdy nie wychodził tak, jak chciał tego Haber; a taka niejasna, abstrakcyjna sugestia mogła zadziałać jak każda inna. Może wywołał mniejszy nieświadomy opór u Orra.

Gestem poprosił prawniczkę, żeby podeszła i spojrzała na ekran EEG, na który zerkiała ze swego kąta, i ciągnął:

–Przyśni ci się, że nie czujesz tłoku, ścisku. Przyśni ci się cały luz, jaki jest na świecie, cała twoja wolność poruszania się. – W końcu powiedział: – Antwerpia! – i pokazał palcem

na wykresy EEG, żeby ta Lelache zauważyła prawie natychmiastową zmianę. – Proszę się przyjrzeć spowolnieniu całego wykresu – mruknął. – Tu jest szczyt wysokiego napięcia, widzi pani, a tu następny... To wrzeczona senne. Już wchodzi w drugie stadium snu klasycznego, w sen stanu S, w rodzaj snu bez wyraźnych marzeń sennych, który występuje w ciągu nocy pomiędzy stanami M. Ale nie pozwolę mu wejść w głębokie stadium czwarte, bo on jest tutaj po to, aby śnić. Włączam Wzmacniacz. Proszę obserwować wykres. Widzi pani?

–Wygląda jakby się budził – mruknęła z powątpieniem.

–Właśnie! Ale wcale tak nie jest. Proszę na niego spojrzeć.

Orr leżał na wznak z głową odrzuconą lekko do tyłu, tak że jego krótka, jasna broda sterczała do góry, spał głęboko, ale usta miał napięte. Westchnął.

–Widzi pani, jak gałki oczne poruszają mu się pod powiekami? W ten sposób odkryto całe zjawisko snu z marzeniami sennymi jeszcze w latach trzydziestych; nazwano to snem REM, czyli fazą szybkich ruchów oczu we śnie. Ale chodzi w tym o cholernie wiele więcej. To trzeci stan istnienia. Jego cały system automatyczny jest w pełni zmobilizowany, tak jak w jakimś ekscytującym momencie na jawie; jednak napięcie mięśniowe nie istnieje, a duże mięśnie znajdują się w stanie głębszego spoczynku niż w normalnym śnie. Strefy: korowa, podkorowa, hipokampa i śródmózgowa są tak aktywne jak na jawie, podczas gdy w normalnym śnie są nieaktywne. Jego oddychanie i ciśnienie krwi dochodzi do poziomów jawy lub wyżej. Proszę, niech pani wyczuje puls. – Przyłożył palce do bezwładnego przegubu Orra. – osiemdzie-76

siat albo osiemdziesiąt pięć. Świetnie się bawi, cokolwiek to jest...

–To znaczy, że mu się coś śni? – Wyglądała na przerażoną.

–Właśnie.

–Czy te wszystkie reakcje są normalne?

–Absolutnie. Wszyscy przechodzimy to co noc, cztery lub pięć razy, przynajmniej po dziesięć minut za każdym razem. Na ekranie to całkiem normalny wykres EEG stanu M. Jediną anomalią albo rzeczą szczególną, którą mogłaby pani tu wychwycić, jest sporadyczne zaostrzenie wykresu, coś jakby efekt gwałtownego zaburzenia mózgowego, jakiego na wykresie EEG stanu M nigdy przedtem nie widziałem. Zdaje się to przypominać efekt obserwowany na elektroen-cefalogramach ludzi mocno zaangażowanych w pewnego rodzaju pracę: pracę twórczą albo artystyczną,

malowanie, pisanie poezji, nawet czytanie Szekspira. Co w takich chwilach robi jego mózg, jeszcze nie wiem. Ale Wzmacniacz stwarza możliwość systematycznej obserwacji, a w końcu analizy.

–Nie istnieje możliwość, że efekt ten wywołuje sama maszyna?

–Nie. – Właściwie próbował już pobudzić mózg Orra, odtwarzając jeden z takich szczególnych wykresów, ale sen otrzymany w wyniku tego eksperymentu był niespójną mieszaniną poprzedniego snu, podczas którego Wzmacniacz sporządził wykres, i obecnego. Nie ma potrzeby wspominać o nie rozstrzygających eksperymentach. – Teraz, gdy w gruncie rzeczy pogrążył się głęboko w sen, wyłączę Wzmacniacz. Proszę obserwować i przekonać się, czy może pani powiedzieć, kiedy odetnę dopływ informacji. – Nie potrafiła. – W każdej chwili może nam wytworzyć gwałtowne zaburzenie

mózgowe; proszę mieć oko na te wykresy. Najwcześniej można je złapać w rytmie theta, tutaj, z hipokampa. Niewątpliwie zachodzi to też w innych mózгах. To nic nowego. Jeśli uda mi się dowiedzieć, w jakich mózгах i w jakim stanie, to może będę mógł znacznie dokładniej określić zaburzenie tego pacjenta; być może istnieje typ psychologiczny lub neurofizyczny, do jakiego należy. Widzi pani możliwości badawcze Wzmacniacza? Żadnego działania na pacjenta poza przejściowym wprowadzeniem jego mózgu w któryś z jego normalnych stanów, aby umożliwić lekarzowi jego obserwację. Proszę tu spojrzeć! – Oczywiście przepuściła moment szczytowy; odczytywanie ruchomego wykresu EEG wymaga praktyki. – Wysadziło mu korki. Ciągle śni... Zaraz nam o tym opowie. – Nie mógł dalej mówić. Zaszło mu w ustach. Poczłł to: przesunięcie, przybycie, zmianę.

Tą kobieta też ją wyczuła. Wyglądała na przestraszoną. Trzymając ciężki mosiężny naszyjnik blisko przy szyi jak talizman, wyglądała przez okno, skonsternowana, wstrząśnięta, przerażona.

Nie spodziewał się tego. Myślał, że tylko on zdaje sobie sprawę ze zmiany.

Ale ona słyszała, jak mówi Orrowi, o czym ma śnić; stała obok śniącego, znajdowała się w samym środku, jak on. I tak jak on odwróciła się do okna, aby wyrzeć na wieżowce znikające jak sen, nie zostawiające za sobą żadnych ruin, na niematerialne całe kilometry przedmieść, rozwiewające się jak dym na wietrze, na miasto Portland, które przed Zarazą miało ponad milion mieszkańców, ale teraz w czasach Zdrowienia tylko sto tysięcy, jak wszystkie amerykańskie miasta zaśmiecone i paskudne, ale zjednoczone przez swe wzgórza 78

i zamgloną rzekę o siedmiu mostach, ze starym czterdzie-stopiętrowym budynkiem First National Bank górującym nad linią horyzontu śródmieścia, a dalej, ponad tym wszystkim, na pogodne i blade góry...

Widziała, jak to się stawało. A Haber zdał sobie sprawę, że nigdy przedtem nie myślał, iż może to zobaczyć jakiś obserwator z ZOOS. Nie istniała taka możliwość, nie poświęcił jej ani jednej myśli. A to oznaczało, że sam nigdy nie wierzył w zmianę, w to, czego dokonywały sny Orra. Chociaż czuł ją i widział ze zdumieniem, strachem i uniesieniem już jakieś dziesięć razy, choć widział, jak koń staje się górą (jeśli w ogóle można widzieć nakładanie się dwóch rzeczywistości), choć już prawie od miesiąca badał i używał efektywnej mocy snów Orra, jednak nie wierzył w to, co zachodziło.

Przez cały dzień od przyjscia do pracy nie poświęcił ani jednej myśli faktowi, że jeszcze tydzień temu nie był dyrektorem Oregońskiego Instytutu Oniologicznego,

ponieważ Instytut nie istniał. Od zeszłego piątku istniał Instytut o półtorarocznej przeszłości. A on był jego założycielem i dyrektorem. A ponieważ tak właśnie było – dla niego, dla całego personelu, dla kolegów w Szkole Medycznej i dla rządu, który finansował Instytut – przyjął go całkowicie tak jak oni, jako jedyną rzeczywistość. Stłumił w sobie pamięć faktu, że aż do zeszłego piątku było zupełnie inaczej.

To był zdecydowanie najbardziej udany sen Orra. Zaczął się w starym gabinecie za rzeką, pod tym cholernym zdjęciem góry Hood na całą ścianę, a skończył się w tym gabinecie... a on tu był, widział, jak zmieniają się wokół niego ściany, wiedział, że świat jest przerabiany, i zapomniał o tym. Zapomniał o tym tak dokładnie, że nigdy się nawet nie za79

stanawiał, czy ktoś obcy, osoba trzecia, może mieć te same przeżycia.

Jak się to odbije na tej kobiecie? Czy zrozumie, a może oszaleje; co zrobi? Czy zachowa obie pamięci tak jak on, tę prawdziwą i tę nową, tę starą i tę prawdziwą?

Nie wolno jej tego zrobić. Wtrąci się, sprowadzi innych obserwatorów, kompletnie zepsuje eksperyment, zniszczy mu plany.

Powstrzyma ją za każdą cenę. Odwrócił się do niej, gotowy do jakichś gwałtownych czynów, zaciskając pięści.

Po prostu stała. Jej brązowa skóra posiniała, usta miała otwarte. Była oszołomiona. Nie mogła uwierzyć w to, co zobaczyła za oknem. Nie mogła i nie wierzyła.

Krańcowe napięcie fizyczne Habera nieco zelżało. Patrząc na nią był prawie pewien, że jest tak wstrząśnięta i straciła orientację od tego stopnia, iż jest nieszkodliwa. Ale i tak musi działać szybko.

–Przez jakiś czas będzie jeszcze spał – odezwał się; głos brzmiał mu prawie normalnie, choć chrapliwie od ściśniętych mięśni gardła. Nie miał pojęcia, co powie, ale brnął dalej; musiał zrobić cokolwiek, aby przełamać urok. – Pozwolę mu teraz na krótki sen normalny. Nie za długo, bo słabo będzie pamiętał sen. Ładny widok, prawda? Te wschodnie wiatry, jakie ostatnio mieliśmy, to dobrodziejstwo. W jesieni i w zimie całymi miesiącami nie widzę gór. Ale kiedy znikają chmury, szczyty stoją w całej okazałości. Wspaniałe miejsce ten Oregon. Najmniej zanieczyszczony stan w Unii. Nie wykorzystywano go wiele przed Załamaniem. Portland dopiero w końcu lat siedemdziesiątych zaczęło robić karierę. Czy pochodzi pani z Oregonu? 80

Po minucie skinęła niepewnie głową. Trzeźwy ton jego głosu jednak do niej nie docierał.

–Jestem z New Jersey. Kiedy byłem dzieckiem, było tam strasznie. Degradacja środowiska. Zasięg burzenia i sprzątnia, jakie musiało przeprowadzić i dalej

przeprowadza Wschodnie Wybrzeże po Załamaniu, jest niewiarygodny. Tutaj nie powstały jeszcze prawdziwe szkody spowodowane przeludnieniem i niewłaściwym podejściem do środowiska, chyba że w Kalifornii. Ekosystem Oregonu był jeszcze nietknięty. – Rozmowa na sam temat krytyczny była niebezpieczna, ale nie potrafił wymyślić nic innego, jakby coś go do tego zmuszało. Głowę miał zbyt przepelnioną dwoma zestawami pamięci, dwoma pełnymi systemami informacji: jednym – o prawdziwym (już nie) świecie zaludnionym prawie siedmioma miliardami ludzi, których przybywa w postępie geometrycznym, i drugie – o prawdziwym (teraz) świecie o zaludnieniu nie przekraczającym miliarda i jeszcze nieustabilizowanym.

Pomyślał: "O Boże, co Orr zrobił?"

Sześć miliardów ludzi. Gdzie oni są?

Ale prawniczka nie może sobie z tego zdać sprawy. Nie może.

–Czy była pani kiedyś na Wschodzie, panno Lelache? Spojrzała na niego niepewnie i odrzekła:

–Nie.

–Nie ma właściwie po co. Nowy Jork i Boston i tak są skazane na zagładę; a w każdym razie przyszłość tego kraju leży tutaj. Tu jest rozwijający się front. Tu jest to, jak się mówiło, kiedy byłem dzieckiem; a tak nawiasem mówiąc, czy zna pani Deweya Furtha z tutejszego biura ZOOS?

–Tak – odparła, nadal oszołomiona, ale już zaczynając reagować, zachowywać się, jakby nic się nie stało. Ciałem Ha-bera wstrząsnął dreszcz ulgi. Zachciało mu się nagle usiąść, głęboko odetchnąć. Niebezpieczeństwo minęło. Odrzucała niewiarygodne przeżycie. Zadawała sobie teraz pytanie, co jest z nią nie w porządku? Dlaczego do diabła wyrzalam przez okno, spodziewając się ujrzeć trzymilionowe miasto? Czy ogarnęło mnie jakieś czasowe szaleństwo?

Haber pomyślał, że oczywiście człowiek, który ujrział cud, odrzuciłby świadectwo swych oczu, gdyby ludzie obok niego nie zobaczyli nic.

–Duszno tu – powiedział z lekką troską w głosie i podszedł do termostatu w ścianie. – Utrzymuję ciepło, to stare przyzwyczajenie badacza snów; temperatura ciała obniża się podczas snu, a nie chcemy mieć mnóstwa pacjentów z katarem. Ale to elektryczne ogrzewanie jest zbyt wydajne, robi się tu za gorąco i jestem od tego trochę oszołomiony... Wkrótce powinien się obudzić. – Ale nie chciał, żeby Orr wyraźnie pamiętał swój sen, żeby go opowiedział, potwierdził cud. – Chyba pozwolę mu jeszcze pospać, nieważne, czy będzie dobrze pamiętał sen, a znajduje się już w trzeciej fazie snu. Niech tak zostanie, póki nie skończymy rozmowy. Czy chciała pani jeszcze o coś zapytać?

–Nie. Nie, chyba nie. – Jej bransoletki zadzwoniły niepewnie. Zamrugowała oczyma, usiłując wziąć się w garść. – Jeżeli prześle pan pełny opis tego urządzenia, jego działania i sposobu, w jaki je pan obecnie wykorzystuje, oraz wyniki, to wszystko, wie pan, do biura pana Furtha, to powinno zamknąć sprawę... Czy opatentował je pan?

–Zgłosiłem je. 82

Skinęła głową.

–Mogłoby się opłacić. – Podeszła klekocząc i podzwaniając do śpiącego mężczyzny i stała, przyglądając się mu z osobliwym wyrazem na szczupłej brązowej twarzy.

–Ma pan dziwny zawód – odezwała się w nagle. – Sny, obserwowanie, jak pracuje ludzki mózg; mówienie im, o czym mają śnić... Przypuszczam, że wiele badań prowadzi pan w nocy?

–Kiedyś tak. Wzmacniacz może nam tego zaoszczędzić; stosując go, będziemy mogli wywołać sen, kiedy tylko będziemy chcieli, i takiego rodzaju, jaki chcemy badać. Ale przed kilku laty przez trzynaście miesięcy nigdy nie kładłem się spać przed szóstą rano. – Roześmiał się. – Teraz się tym chwalę. To mój rekord. Teraz większość ciężaru psych wacht ponosi mój personel. Przywilej średniego wieku!

–Śpiący ludzie są tacy odlegli... – powiedziała, ciągle patrząc na Orra. – Gdzie oni są...?

–Tutaj – odparł Haber i postukał w ekran EEG. – Dokładnie tutaj, ale bez możliwości skontaktowania się. To właśnie uderza ludzi jako niesamowite we śnie. Jego absolutna prywatność. Śpiący odwraca się plecami do każdego. Pewien autor z mojej dziedziny powiedział: "Tajemnica jednostki jest najsilniejsza we śnie". Ale oczywiście tajemnica to tylko jeszcze nie rozwiązany problem! Powinien się teraz obudzić. George... George... Zbudź się, George.

I obudził się tak jak zwykle, szybko, przechodząc z jednego stanu w drugi bez westchnień, wytrzeszczonych oczu, ponownego zapadania w sen. Usiadł i spojrzał najpierw na pannę Lelache, potem na Habera, który właśnie zdjął mu hipnohelm. Wstał, przeciągając się lekko, i podszedł do okna. Stał, patrząc na zewnątrz.

W postawie tej drobnej sylwetki było szczególne napięcie, coś prawie monumentalnego: stał zupełnie nieruchomo, nieruchomo, jakby stanowił środek czegoś. Zaskoczeni, ani Haber, ani kobieta nic nie mówili.

Orr odwrócił się i spojrzał na Habera.

–Gdzie oni są? – odezwał się. – Co się ze wszystkimi stało?

Haber zobaczył, jak oczy kobiety otwierają się szeroko, zobaczył, jak wzrasta w niej napięcie, i spostrzegł niebezpieczeństwo. Mówić, musi mówić!

–Na podstawie EEG stwierdziłbym – rzekł i usłyszał, że głos ma głęboki i ciepły, dokładnie taki, jak chciał – że właśnie miałeś bardzo intensywny sen, George. Był nieprzyjemny; w gruncie rzeczy prawie koszmar. Pierwszy "zły" sen, jaki ci się tu przyśnił. Prawda?

–Śniła mi się Zaraza – odparł Orr i zadrżał od stóp do głów, jakby miał wymiotować.

Haber skinął głową. Usiadł za biurkiem. Orr podszedł ze swą szczególną potulnością, z tym samym sposobem robienia zwyczajowej i mile widzianej rzeczy, i usiadł naprzeciw Habera w dużym skórzanym fotelu ustawionym dla pacjentów.

–Musiałeś pokonać niezłą przeszkodę i nie było to łatwe. Tak? Po raz pierwszy doprowadziłem do tego, George, że musiałeś dać sobie radę we śnie z prawdziwym niepokojem. Tym razem zbliżyłeś się, pod moim kierownictwem zasugerowanym ci podczas hipnozy, do jednego z głębszych elementów swej choroby psychicznej. Zbliżenie to nie było ani łatwe, ani przyjemne. W gruncie rzeczy ten sen był potworny, prawda?

–Czy pamięta pan Lata Zarazy? – spytał Orr, bez agresji, 84

ale z jakąś niezwykłą – ironiczną? – nutką w głosie. I obejrzał się na Lelache, która wycofała się na swój fotel w kącie.

–Owszem, pamiętam. Byłem już dorosły, gdy zaatakowała pierwsza epidemia. Miałem 22 lata, kiedy w Rosji ogłoszono ten pierwszy komunikat, że zanieczyszczenia chemiczne w atmosferze łączą się w zjadliwe czynniki rakotwórcze. Następnej nocy ogłoszono dane szpitalne z Meksyku. A potem wyliczono okres wylegania i wszyscy zaczęli liczyć. Czekali. A później były rozruchy, publiczne pieprzenie, Orkiestra Dnia Sądu Ostatecznego i Straż Obywatelska. Moi rodzice umarli w tamtym roku. Moja żona w następnym. Potem dwie siostry i ich dzieci. Wszyscy, kogo znałem. – Haber rozłożył ręce. – Tak, pamiętam tamte lata – rzekł

ciężko. – Kiedy muszę.

–Złatwiły problem przeludnienia, prawda? – powiedział Orr i tym. razem ironia była wyraźna. – Naprawdę nam się udało.

–Tak. Udało się wtedy. Przeludnienie teraz nie istnieje. Czy poza wojną nuklearną było jakieś inne rozwiązanie? Nie ma wiecznego głodu w Ameryce Południowej, Afryce i Azji. Gdy zostanie w pełni odbudowana sieć transportowa, znikną nawet jeszcze istniejące siedliska głodu. Mówi się, że ciągle jeszcze jedna trzecia ludzkości kładzie się do łóżka głodna, ale w 1998 liczba ta wynosiła 92%. Ganges teraz już nie wylewa z powodu zatorów z ciał ludzi umarłych z głodu. Nie mamy kłopotów z niedoborem protein ani krzywicą wśród dzieci robotników w Portland. A wszystko to istniało przed Załamaniem.

–Zarazą – rzekł Orr.

Haber pochylił się nad biurkiem.

–George. Powiedz mi, czy świat jest przeludniony?

–Nie – padła odpowiedź. Haber pomyślał, że Orr się śmieje, i odchylił się z lekką obawą, ale po chwili zdał sobie sprawę, że to łzy nadawały spojrzeniu Orra ten dziwny blask. Był na granicy załamania. Tym lepiej. Jeśli pęknie, prawniczka będzie jeszcze mniej skłonna uwierzyć w jego słowa, które mogłyby pasować do jej ewentualnych wspomnień.

–Ale George, pół godziny temu byłeś głęboko zmartwiony i zaniepokojony, z powodu przekonania, że przeludnienie jest zagrożeniem dla cywilizacji, dla całego ekosystemu Ziemi. Otóż bynajmniej nie spodziewam się, że ten niepokój zniknie. Ale twierdzę, że od kiedy przeżyłeś go we śnie, zmienia się jego jakość. Zdajesz sobie teraz sprawę, że nie miał podstaw w rzeczywistości. Niepokój nadal istnieje, ale z tą różnicą, że teraz wiesz, iż jest irracjonalny, że dostosował się raczej do wewnętrznego pragnienia niż do zewnętrznej rzeczywistości. To dopiero początek. Dobry początek. Cholernie duże osiągnięcie jak na jedną sesję, jeden sen. Czy zdajesz sobie z tego sprawę? Masz teraz w ręku atut do rozegrania tej partii. Teraz ty jesteś górą nad czymś, co było górą nad tobą, co cię miażdżyło, przygniatało i ścisnęło. Od tej chwili walka będzie uczciwsza, bo jesteś bardziej wolnym człowiekiem. Nie czujesz tego? Nie czujesz już, w tej chwili, ciut mniejszego tłoku?

Orr spojrział na niego, a potem znów na prawniczkę. Nic nie powiedział.

Nastąpiła długa przerwa.

–Wyglądasz na pokonanego – odezwał się Haber, poklepując go jakby tymi słowami po plecach. Chciał uspokoić Orra, doprowadzić go z powrotem do jego normalnego, nienarzucającego się stanu, w którym zabrakłoby mu odwagi 86

do powiedzenia czegokolwiek o mocy jego snów w obecności osoby trzeciej, albo doprowadzić go do kompletnego załamania, do zachowania wyraźnie nienormalnego. Ale Orr nie zrobił żadnej z tych rzeczy. – Gdyby w kącie nie czał się obserwator z ZOOS, zaproponowałbym ci łyk whisky. Ale nie zmieniajmy lepiej sesji terapeutycznej w pijacką orgię, co?

–Nie chce pan usłyszeć, co mi się śniło?

–Jeśli sobie tego życzysz...

–Grzebałem ich. W jednym z tych głębokich rowów... Po tym, jak dopadło moich rodziców, pracowałem w Korpusie Internowanych; miałem wtedy szesnaście lat... Tylko we śnie wszyscy byli nadzy i wyglądali, jakby umarli z głodu. Stosy trupów. Musiałem ich wszystkich pochować. Szukałem pana, ale bez skutku.

–Nie – powiedział Haber uspokajająco. – Jeszcze nie pojawiłem się w twoich snach, George.

–Ależ tak. Z Kennedym. I jako koń.

–Tak, na samym początku leczenia – rzekł Haber lekceważąco. – A zatem pojawił się w tym śnie autentyczny materiał oparty na twoich przeżyciach...

–Nie. Nigdy nikogo nie grzebałem. Nikt nie umarł od zarazy. Nie było żadnej zarazy. To wszystko to moja wyobraźnia. Wyśniłem to.

Niech szlag trafi tego cholernego kretyna! Wymknął się spod kontroli. Haber przekrzywił głowę i zachowywał pełne tolerancji, obojętne milczenie; mógł zrobić tylko tyle, bo jakieś wyraźniejsze zachowanie mogłoby wzbudzić podejrzenia prawniczki.

–Powiedział pan, że pamięta pan Zarazę; ale czy nie pamięta pan jednocześnie, że nie było żadnej Zarazy, że nikt

nie zmarł na raka spowodowanego skażeniem środowiska, że populacja po prostu ciągle rosła? Nie? Nie pamięta pan tego? A pani, panno Lelache, czy pamięta pani obie wersje? Przy tym jednak Haber wstał.

–Przepraszam, George, ale nie mogę pozwolić na wciąganie w to panny Lelache. Nie ma odpowiednich kwalifikacji. Odpowiadając ci, postąpiłaby niewłaściwie. To wizyta u psychiatry. Ona jest wyłącznie po to, aby obserwować Wzmacniacz. Nie ustąpię.

Twarz Orra zrobiła się kredowobiała, uwydatniły mu się kości policzkowe. Siedział ze wzrokiem utkwionym w Habe-ra. Milczał.

–Mamy tu problem i obawiam się, że istnieje tylko jeden sposób rozwiązania go: przecięcie tego węzła gordyjskiego. Bez obrazy, panno Lelache, ale jak pani widzi, tym problemem jest pani. Po prostu znaleźliśmy się w stadium, w którym do naszego dialogu nie może wejść trzecia osoba, nawet nie biorąca udziału w sesji. Najlepszą rzeczą jest po prostu jej zakończenie. Natychmiast. Zaczynamy jutro o czwartej. O. K., George?

Orr wstał, ale nie skierował się do drzwi.

–Czy nigdy nie przyszło panu na myśl, doktorze Haber -powiedział spokojnie, ale nieco jękając się – że, że mogliby istnieć ludzie, którzy śnią w ten sam sposób, co ja? Że tuż pod naszym nosem rzeczywistość jest cały czas zmieniana, zastępowana, odnawiana, tylko że my nic o tym nie wiemy? Wie tylko śniący i ci, którzy znają jego sen. Jeśli to prawda, to chyba mamy szczęście, że o tym nie wiemy. Dość trudno się w tym połapać. 88

Haber zagadał go i odprowadził do drzwi, jowialny, dyplomatyczny, uspokajający.

–Trafiła pani na kryzys – powiedział do Lelache, zamykając drzwi za Orrem. Otarł czoło, żeby na twarzy i w głosie nie pojawiło mu się zmęczenie i troska. – Uff! Ależ dzień na przyjęcie obserwatora!

–To było niezwykle interesujące – rzekła, a jej bransoletki coś tam zagrzechotały.

–Nie jest to beznadziejny przypadek – powiedział Haber. – Taka sesja robi nawet na mnie dość zniechęcające wrażenie. Ale on ma szansę, realną szansę na wyrwanie się z tej plątaniny urojeń, w jaką wpadł, z tego potwornego strachu przed śnieniem. Problem w tym, że to skomplikowana plątanina, a umysł w nią uwikłany nie jest nieinteligentny, niezwykle szybko wiąże sieci na siebie samego... Gdyby posłano go na leczenie dziesięć lat temu, kiedy był jeszcze nastolatkiem... Ale oczywiście dziesięć lat temu Program Uzdrawiania dopiero ruszał. Albo nawet rok temu, nim

zaczął niszczyć swe poczucie rzeczywistości lekami. Jednak bez ustanku próbuje i jeszcze może mu się uda przystosować do rzeczywistości.

–Ale powiedział pan, że nie jest chory umysłowo – wtrąciła Lelache trochę powątpiewająco.

–Słusznie. Powiedziałem, że cierpi na zaburzenia. Oczywiście, jeśli się załamie, załamie się całkowicie, prawdopodobnie w kierunku schizofrenii katatonicznej. Osoba z zaburzeniami nie jest mniej podatna na choroby psychiczne niż osoba normalna. – Nie potrafił powiedzieć już nic więcej, słowa zamierały mu w ustach, zmieniając się w suche strzępy nonsensu. Wydawało mu się, że całymi godzinami wylewał z

siebie potoki nic nie znaczących stów i że przestał już nad nimi panować. Na szczęście najwyraźniej panna Lelache też już miała dosyć; zabrzączała, trzasnęła, uściśnęła mu rękę i wyszła.

Haber podszedł napierw do magnetofonu ukrytego w ścianie przy kozetce, na którym nagrywał wszystkie sesje terapeutyczne; magnetofony nie sygnalizujące swej obecności stanowiły specjalny przywilej psychoterapeutów i Urzędu Wywiadu. Skasował nagranie ostatniej godziny.

Usiadł w fotelu za dużym dębowym biurkiem, otworzył dolną szufladę, wyjął szklaneczkę i butelkę i nalał sobie solidną porcję whisky. Boże, przecież pół godziny temu nie było tam żadnej whisky – nie było jej przez dwadzieścia lat! Przy siedmiu miliardach ludzi do wyżywienia ziarno było o wiele za cenne, aby wyrabiać z niego alkohol. Było tylko pseudo-piwo albo (dla lekarzy) czysty alkohol; to właśnie zawierała butelka w jego biurku pół godziny temu.

Jednym haustem wypił pół szklaneczki. Wyrzwał przez okno. Po chwili wstał i stanął przed oknem, patrząc na dachy i drzewa pod nim. Sto tysięcy dusz. Spokojna rzeka ciemniała już w wieczornym zmierzchu, ale wyżej, w poziomych promieniach słońca odległe góry widać było wyraźnie w całym ich ogromie.

–Za lepszy świat! – rzekł doktor Haber, wznosząc szklaneczkę w toaście swemu dziełu i skończył whisky, delektując się nią w długim łyku.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Być może będziemy musieli się nauczyć... że to dopiero początek naszego zadania i że nigdy nie otrzymamy ani cieniapomocy oprócz tej, jaką może nam dać niewysłowiony i niepomyślany Czas. Być może będziemy musieli się dowiedzieć, że nieskończony krąg śmierci i narodzin, z którego nie możemy się wyrwać, jest naszym dziełem, że sami go poszukujemy, że siły wiążące światy ze sobą są błędami Przeszłości, wieczny smutek jest jedynie wielkim grodem nienasyconego pożądania, i że wygasłe słońca mogą ponownie zapłonąć jedynie od nie dających się ugasić namiętności zaginionych istnień.

Lafcadio Hearn, Ze Wschodu

Mieszkanie George'a Orra znajdowało się na ostatnim piętrze starego budynku o drewnianej konstrukcji, leżącego kilka kwartałów w górę wzgórza przy Corbett Avenue, w zaniedbanej dzielnicy miasta, gdzie większość domów dobiegała setki albo jeszcze dalej. Miał trzy duże pokoje, łazienkę z głęboką wanną stojącą na

żeliwnych nóżkach, widok między dachami na rzekę, wzdłuż której przepływały w górę i w dół statki handlowe, wycieczkowe, kłody drewna. Nad rzeką krążyły mewy i wielkie, zawracające stada gołębi.

Oczywiście doskonale pamiętał swoje inne mieszkanie, jednopokojowe, 3 na 3,5 z wysuwaną kuchenką, nadmuchiwanym łóżkiem i wspólną łazienką na końcu korytarza wyłożonego linoleum, na osiemnastym piętrze mieszkała Corbett, które nigdy nie zostało wybudowane.

Wsiadł z trolejbusu na Whiteaker Street i ruszył pod górę, wszedł po szerokich, ciemnych schodach, otworzył drzwi,

upuścił teczkę na podłogę, rzucił się na łóżko i przestał myśleć. Był przerażony, nieszczęśliwy, wyczerpany, oszołomiony.

–Muszę coś zrobić, muszę coś zrobić – powtarzał gorączkowo, ale nie wiedział, co. Nigdy nie wiedział, co robić. Zawsze robił to, co czekało na zrobienie, kolejną rzecz do zrobienia, nie zadając pytań, nie zmuszając się, nie martwiąc się. Ale ta pewność postępowania opuściła go, od kiedy zaczął brać lekarstwa, i teraz całkiem się zgubił. Musi działać, musi coś zrobić. Musi nie pozwolić Haberowi, aby ten używał go jak narzędzia. Musi wziąć swe przeznaczenie we własne ręce.

Rozłożył ręce i popatrzył na nie, a potem ukrył w nich twarz; była mokra od łez. "Do diabła, do diabła – pomyślał z goryczą – co ze mnie za mężczyzna? Łzy na brodzie? Nic dziwnego, że Haber mnie wykorzystuje. Jak mógł się temu oprzeć? Nie mam wcale siły, żadnego charakteru, jestem urodzonym narzędziem. Nie mam żadnego przeznaczenia. Mam tylko sny. A teraz dyrygują nimi inni".

"Muszę odejść do Habera" – usiłował być twardy i stanowczy, ale od razu wiedział, że nic z tego. Haber złapał go na haczyk, i to niejeden.

Powiedział, że tak niezwykła, a właściwie jedyna konfiguracja snu jest dla nauki bezcenna: wkład Orra do wiedzy ludzkiej okaże się ogromny. Orr wierzył, że Haber mówi poważnie i wie, o czym mówi. Aspekt naukowy tego wszystkiego był w gruncie rzeczy jedynym niosącym jakąś nadzieję; wydawało mu się, że może nauka wycisnie z jego szczególnego i straszliwego daru coś dobrego, wykorzysta go w jakimś dobrym celu, aby nieco zrekompensować ogromną krzywdę, jaką wyrządził. 92

Zamordowanie sześciu miliardów nieistniejących ludzi.

Głowa pękała Orrowi z bólu. Nalał zimnej wody do głębokiej, popękanej umywalki i zanurzył w niej całą twarz na pół minuty. Kiedy ją uniósł, był czerwony, oślepiiony i mokry jak noworodek.

Tak więc Haber miał na niego moralnego haka, ale tak naprawdę podszedł go od strony prawnej. Gdyby Orr zrezygnował z Dobrowolnej Terapii, można by go oskarżyć o nielegalne uzyskanie leków i wylądowałby w więzieniu albo u czubków. Stamtąd nie ma wyjścia. A gdyby nie zrezygnował, a tylko nie przychodził na sesje i przestał współpracować, Haber miał skuteczny środek przymusu: leki tłumiące sny, które Orr mógł otrzymać tylko na jego receptę. Teraz jak nigdy przedtem niepokoiła go myśl o śnieniu spontanicznym, niekontrolowanym. W stanie, w jakim się znajdował, uwarunkowany do śnienia efektywnego za każdym razem, kiedy znalazł się w laboratorium, nie chciał myśleć, co mogłoby się stać, gdyby miał efektywny sen bez racjonalnych ram nałożonych przez hipnozę. Byłby to koszmar, koszmar

gorszy od tego, jaki właśnie miał w gabinecie Habera. Tego był pewien i nie miał odwagi na to pozwolić. Musi zażywać leki tłumiące śnienie. To jedyna rzecz, jakiej jest pewien, jaka musi być zrobiona. Ale może tego dokonać tylko wtedy, gdy pozwoli mu na to Haber, i dlatego musi z nim współpracować. Był w potrzasku. Jak szczur w pułapce. Bieganie po labiryncie szalonego naukowca bez najmniejszej możliwości wydostania się. Najmniejszej.

"Ale on nie jest szalonym naukowcem – pomyślał Orr ponuro. – Jest zupełnie normalny, albo przynajmniej był. To tylko szansa władzy, jaką dają mu moje sny, tak go skrzywiła.

Ciągle odgrywa jakąś rolę, a to daje mu taką straszliwie dużą rolę do odegrania. Tak że teraz posługuje się nawet swoją nauką jako środkiem, a nie celem... Ale jego cele są słuszne, prawda? Chce poprawić ludzkości życie. Czy to źle?"

Znów rozboleła go głowa. Gdy zadzwonił telefon, był pod wodą. Pośpiesznie usiłował wytrzeć twarz i włosy i po omacku wrócił do ciemnej sypialni.

–Słucham, On* przy telefonie.

–Mówi Heather Lelache – odezwał się miękki, podejrzliwy alt.

Doznał uczucia irracjonalnej i dojmującej przyjemności, jakby w jednej chwili wyrosło i zakwitło w nim drzewo tkwiące korzeniami w jego lędźwiach, a kwiatami w mózgu.

–Słucham – powtórzył.

–Chce się pan ze mną kiedyś spotkać, żeby o tym porozmawiać?

–Tak. Oczywiście.

–Dobrze. Nie chcę, by pan myślał, że można zrobić sprawę z tego urządzenia, tego Wzmacniacza. Wygląda na absolutnie zgodne z przepisami. Przeszedł dokładne testy laboratoryjne, Haber zrobił mu wszystkie właściwe próby i przepuścił przez właściwe kanały, a teraz jest zarejestrowany przez ZOOS. To oczywiście prawdziwy zawodowiec. Kiedy rozmawiał pan ze mną po raz pierwszy, nie zdawałam sobie sprawy, kim jest. Nie dostaje się takiego stanowiska, jeśli się nie jest niesamowicie dobrym.

–Jakiego stanowiska?

–No cóż. Dyrektora instytutu naukowego finansowanego przez rząd.

Podobało mu się, że tak często zaczynała swe gwałtowne, 94

pogardliwe zdania słabym, pojednawczym "no cóż". Usuwała im ziemię spod nóg, zanim się rozwinęły, zawieszała je bez żadnego podparcia w próżni. Była odważna, bardzo odważna.

–Ach tak, rozumiem – powiedział wymijająco. Doktor Haber został dyrektorem w dzień potem, jak Orr dostał swą chatę. Sen z chatą przyśnił mu się podczas jedynej całonocnej sesji, jaką odbyli; nigdy już więcej tego nie próbowali. Hipnotyczna sugestia treści snu nie wystarczała na całonocny sen i o trzeciej nad ranem Haber

wreszcie się poddał i podłączywszy Orra do Wzmacniacza, dostarczał mu przez resztę nocy zapisy snu głębokiego, żeby obaj mogli odpocząć. Ale następnego popołudnia odbyli sesję i sen, jaki w czasie jej trwania przyśnił się Orrowi, był taki długi, tak pogmatwany i skomplikowany, że właściwie Orr nigdy nie był pewien, co wtedy zmienił, jakich dobrych dzieł dokonywał Haber. Zasnął w starym gabinecie, a obudził się w gabinecie OIO: Haber dał sobie awans. Ale było w tym coś jeszcze - wydawało się, że pogoda od czasu tego snu zrobiła się nieco mniej deszczowa; może inne rzeczy też się zmieniły. Nie miał pewności. Zaprotestował przeciw takiej dawce śnienia efektywnego w tak krótkim czasie. Haber natychmiast zgodził się nie przynaglać go tak bardzo i nie zrobił mu żadnej sesji przez pięć dni. W końcu Haber był człowiekiem łaskawym. A poza tym nie chciał zabić gęsi znoszącej złote jaja.

"Gęś. Właśnie. Znakomicie to do mnie pasuje – pomyślał Orr. – Cholerna, biała, nudna, głupia gęś". Umknęło mu nieco z tego, co mówiła panna Lelache.

–Przepraszam – powiedział – trochę się zgubiłem. Chyba nie jestem w tej chwili najlotniejszy.

–Dobrze się pan czuje?

–Tak, nic mi nie jest. Trochę tylko jakbym był zmęczony.

–Miał pan niedobry sen o Zarazie, prawda? Strasznie pan po nim wyglądał. Czy te sesje zawsze tak się kończą?

–Nie, nie zawsze. Ta była ciężka. Chyba to pani zauważyła. Czy mamy się spotkać?

–Tak. Mówiłam, że w poniedziałek na lunchu. Pracuje pan w śródmieściu, w Zakładach Bradforda, tak?

Ku swemu lekkiemu zdziwieniu zdał sobie sprawę, że to prawda. Wielkie zakłady wodne Bonneville-Umatila zaopatrujące w wodę ogromne miasta John Day i French Glen nie istniały, bo nie istniały takie miasta. Poza Portland nie było w Oregonie dużych miast. Nie był kreślarzem dla Okręgu, ale dla prywatnej firmy narzędziowej w centrum miasta; pracował w biurze przy Stark Street. Oczywiście.

–Tak – powiedział. – Mam przerwę od pierwszej do drugiej. Moglibyśmy się spotkać "U Dave'a" przy Ankeny.

–Od pierwszej do drugiej mi odpowiada. "U Dave'aw też. No to do zobaczenia w poniedziałek.

–Chwileczkę – powiedział. – Niech pani posłucha. Czy... czy mogłaby mi pani powiedzieć, co powiedział doktor Ha-ber, to znaczy, o czym kazał mi śnić, kiedy byłem w hipnozie? Słyszała pani to wszystko, prawda?

–Tak, ale nie mogłabym tego zrobić, bo byłaby to ingerencja w terapię. Gdyby chciał, żeby pan wiedział, sam by powiedział. To byłoby nieetyczne, nie mogę.

–Chyba ma pani rację.

–Tak. Przykro mi. A więc poniedziałek?

–Do widzenia – odparł, ogarnięty nagle depresją i złymi przeczuciami, i odłożył słuchawkę nie czekając na jej "do widzenia". Nie potrafiła mu pomóc. Była odważna i silna, ale 96

nie aż tak. Może widziała albo wyczuła zmianę, ale ją odrzuciła. Czemu nie? Taka podwójna pamięć to ciężkie brzemię do udźwignięcia, a ona nie miała żadnych powodów, aby je podjąć, żadnego motywu, aby choć przez chwilę uwierzyć plotącemu bzdury psychopacie, twierdzącemu, że jego sny się urzeczywistniają.

Jutro sobota. Długa sesja z Haberem, od czwartej do szóstej albo dłużej. Żadnego

wyjścia.

Nadszedł czas posiłku, ale Orr nie był głodny. Nie zapalił światła w wysokiej, pogrążonej w wieczornym zmierzchu sypialni ani w salonie, którego nigdy jakoś nie umeblował przez te trzy lata, kiedy tu mieszkał. Wszedł tam. Okna wychodziły na światła i rzekę, w powietrzu unosił się zapach kurzu i przedwiośnia. W pokoju był kominek z drewnianą obudową, stare pianino bez ośmiu klawiszy, chodnik ze strzyżonej wełny przy kominku i zniszczony niski japoński stolik z bambusa. Ciemność leżała miękko na podłodze z sosnowych desek, nie wypastowanej, nie zamiecionej.

George Orr wyciągnął się jak długi w tej łagodnej ciemności, twarzą do dołu; w nozdrzach miał zapach zakurzonej drewnianej podłogi, której twardość podtrzymywała jego ciało. Leżał spokojnie, nie śpiąc, był gdzieś indziej niż we śnie, dalej, gdzieś poza nim, w miejscu, gdzie nie ma snów. I był tam nie pierwszy raz.

Wstał po to, aby zażyć tabletkę chloropromazyny i pójść do łóżka. W tym tygodniu Haber wypróbował na nim fe-notiazyny; działały chyba nieźle, wprowadzając go w razie potrzeby w sen głęboki, ale osłabiały intensywność snów, tak że nie osiągały poziomu efektywności. W porządku, ale Ha97

ber powiedział, że ten efekt będzie się zmniejszał jak przy wszystkich innych lekach, aż całkowicie zaniknie. Powiedział, że nic prócz śmierci nie powstrzyma człowieka od snienia.

Tej nocy przynajmniej spał głęboko, a jeśli coś mu się śniło, to przelotnie, bez znaczenia. Obudził się dopiero przed samym południem w sobotę. Podeszedł do lodówki i zajrzał do niej; przez chwilę stał, kontemplując jej zawartość. Było w niej więcej jedzenia, niż kiedykolwiek widział w prywatnej lodówce przez całe życie. To znaczy w tym innym życiu. W życiu prowadzonym wśród siedmiu miliardów ludzi, gdzie nigdy nie starczyło jedzenia, jakiegokolwiek ono było. Gdzie jajko stanowiło luksus miesiąca. "Dzisiaj mamy owulację" -mawiała jego póżona, gdy kupiła ich rację jajek... To dziwne, ale w tym życiu on i Donna nie zawarli próbnego małżeństwa. W latach po Zarazie nie było, z punktu widzenia prawa, czegoś takiego. Istniało jedynie pełne małżeństwo. W stanie Utah, gdzie współczynnik urodzeń ciągle był niższy od współczynnika zgonów, próbowano nawet przywrócić z przyczyn religijnych i patriotycznych małżeństwo poligamiczne. Ale tym razem on i Donna nie zawarli żadnego małżeństwa, lecz po prostu razem mieszkali. Ale i tak nie trwało to długo. Znow się skupił na jedzeniu w lodówce.

Nie był już tym szczupłym, ostrokościstym mężczyzną, jakim był w świecie siedmiu miliardów; w gruncie rzeczy miał całkiem solidną budowę. Zjadł jednak ogromny posiłek, godny umierającego z głodu: jajka na twardo, grzankę z masłem, koreczki z sardeli, suszone mięso, seler, żółty ser, orzechy włoskie, kawałek zimnego halibuta z

majonezem, sałatę, marynowane buraki, ciasteczka czekoladowe – wszystko, co znalazł na półkach lodówki. Po tej orgii poczuł się fizycznie 98

o wiele lepiej. Pijąc prawdziwą kawę, a nie ersatz, nawet się uśmiechnął, gdy pomyślał, że w tamtym życiu, wczoraj, przyśnił mu się efektywny sen, który unicestwił sześć miliardów istnień i zmienił całą historię ludzkości na przestrzeni ostatniego ćwierćwiecza. Ale w tym życiu, które potem stworzył, nie przyśnił mu się efektywny sen. Był w gabinecie Habera, owszem, i śniło mu się coś, ale niczego nie zmienił. Tak zawsze było, a Lata Zarazy to po prostu zły sen. Pomyślał, że nic mu nie jest i że nie wymaga leczenia.

Nigdy na to nie patrzył w ten sposób i tak go to rozbawiło, że aż się uśmiechnął, ale bynajmniej nie radośnie.

Wiedział, że znów będzie śnił.

Było już po drugiej. Umył się, znalazł płaszcz przeciwdeszczowy (z prawdziwej bawełny, luksus w tamtym życiu) i ruszył piechotą pod górę do odległego o dwie mile Instytutu, mijając po drodze Szkołę Medyczną i przecinając Park Waszyngtona. Oczywiście, mógł pojechać trolejbusem, ale one jeździły sporadycznie i naokoło, a przecież nie śpieszyło mu się. Przyjemnie było iść w ciepłym, marcowym deszczu nie-zatłoczonymi ulicami; na drzewach rozwijały się liście, a kasztany lada chwila miały zapalić swoje świece.

Załamanie, czyli rakotwórcza zaraza, która w ciągu pięciu lat zmniejszyła populację ludzi o pięć miliardów, a w ciągu następnych dziesięciu o kolejny miliard, wstrząsnęła podstawami cywilizacji świata, a jednak w końcu pozostawiła je nietkniętymi. Nie była to zmiana radykalna, jedynie ilościowa.

Powietrze nadal było całkowicie i nieodwracalnie zanieczyszczone. To zanieczyszczenie wyprzedziło Załamanie o całe dziesięciolecia i właściwie stanowiło jego bezpośrednią

przyczynę. Teraz już prawie nikomu nie szkodziło, oprócz noworodków.

Białaczkowata odmiana Zarazy w dalszym ciągu jakby z rozważą wybierała co czwarte niemowlę i zabijała je w ciągu pół roku. Ci, którzy przeżyli, byli praktycznie odporni na raka. Istnieją jednak inne nieszczęścia.

Żadna fabryka nad rzeką nie buchała dymem. Nie jeździły żadne samochody zanieczyszczające powietrze spalinami; te nieliczne, jakie jeszcze istniały, były napędzane parą albo prądem z baterii.

Nie było też żadnych śpiewających ptaków.

Wszędzie widziało się skutki Zarazy. Choć sama była endemiczna, nie zapobiegło to wybuchowi wojny. W gruncie rzeczy walki na Bliskim Wschodzie toczyły się o wiele gwałtowniej niż w rejonach bardziej przeludnionych. Stany Zjednoczone mocno zaangażowały się po stronie egipsko-izraelskiej w zakresie dostaw broni, amunicji, samolotów i całych zastępów "doradców wojskowych". Chiny równie poważnie wspierały stronę iracko-iranską, choć nie wysłały jeszcze swoich żołnierzy, a jedynie Tybetańczyków, Północnokoreańczyków, Wietnamczyków i Mongołów. Indie i Rosja trzymały się z niepokojem na uboczu, ale skoro ostatnio Afganistan i Brazylia popierały Irańczyków, do Izraelu mógł doszłusować Pakistan. Wtedy Indie w panice poparłyby Chiny, co mogłoby wystraszyć ZSRR na tyle, że popchnęłyby go na stronę USA. Razem dawało to po sześć mocarstw nuklearnych ustawionych w sztyku bojowym naprzeciw siebie. Tak przynajmniej spekulowano. Tymczasem Jerozolima leżała w gruzach, a ludność cywilna w Arabii Saudyjskiej i Iraku żyła w norach wygrzebanych w ziemi, bo samoloty i czołgi zionęły 100

ogniem w powietrzu i zakażały wodę zarazkami cholery, a dzieci wypełzały z nor, oślepię napalmem.

W Johannesburgu nadal masakrowano białych, jak dowiedział się Orr z nagłówka dostrzeżonego w narożnym stoisku z gazetami. Tyle lat po Powstaniu, a jeszcze istnieli w Afryce Południowej biali, których można było masakrować! Ludzie są wytrzymali...

Gdy wspinał się na szare wzgórza Portland, na osłoniętą głowę padał mu ciepły, zanieczyszczony, łagodny deszcz.

W gabinecie mającym w rogu wielkie okno wychodzące na deszcz, powiedział:

–Doktorze Haber, proszę przestać posługiwać się moimi snami do poprawiania rzeczywistości. To się nie uda. To niewłaściwe. Chcę zostać wyleczony.

–Twoja chęć to podstawowy warunek wyleczenia, George!

–Nie odpowiedział mi pan.

Ale ten wielki mężczyzna był jak cebula, którą obierało się warstwa za warstwą z osobowości, wiary, reakcji; warstwy bez końca, człowiek bez środka. Nie ma miejsca, gdzie kiedykolwiek by się zatrzymał, gdzie musiałby się zatrzymać, gdzie musiałby powiedzieć: "Tutaj zostanę!" Żadnej istoty, same warstwy.

–Posługuje się pan moimi snami efektywnymi, aby zmieniać świat. Nie chce pan przyznać, że pan to robi. Dlaczego?

–George, musisz zdać sobie sprawę, że zadajesz pytania, które z twojego punktu widzenia mogą wydawać się rozsądne, ale z mojego punktu widzenia dosłownie nie można na nie odpowiedzieć. Nie postrzegamy rzeczywistości w ten sam sposób.

–W wystarczająco podobny, aby móc rozmawiać.

–Tak. Na szczęście. Ale nie na tyle, aby zawsze móc zadawać pytania i na nie odpowiadać. Jeszcze nie.

–Ja mogę odpowiadać na pańskie pytania i robię to... No dobrze, niech pan posłucha. Nie może pan zmieniać rzeczywistości, usiłować wszystkim kierować.

–Mówisz, jakby stanowiło to jakiś ogólny imperatyw moralny. – Spojrzał na Orra ze swym dobrotliwym, refleksyjnym uśmiechem i pogłaskał się po brodzie. – Ale czy w gruncie rzeczy nie to jest ostatecznym celem człowieka na ziemi -robić coś, zmieniać, kierować, tworzyć lepszy świat?

–Nie!

–Co więc jest jego celem?

–Nie wiem. Nie wszystko ma cel, jakby wszechświat był maszyną, w której każda część spełnia pożyteczną funkcję. Jaką funkcję ma galaktyka? Nie wiem, czy nasze życie ma cel, i nie uważam, że ma to znaczenie. Ważne jest natomiast to, że stanowimy jakąś część. Jak nitka w materiale czy źdźbło trawy na łące. One, jak i my, istnieją. A nasze działanie jest jak podmuch wiatru w trawie.

Nastąpiła chwila milczenia, a kiedy Haber odpowiedział, jego ton nie był już ani dobrotliwy, ani uspokajający, ani zachęcający. Był całkiem neutralny i ledwo zauważalnie ocierał się o pogardę.

–Jak na człowieka wychowanego na judeo-chrześcijańsko-racjonalistycznym Zachodzie masz dziwnie bierne poglądy. Coś jakby samorodny buddysta. Czy zgłębiałeś kiedykolwiek mistycyzm Wschodu, George? – To ostatnie pytanie i oczywista na nie odpowiedź było wyraźnym szyderstwem.

–Nie. Nic o nim nie wiem. Wiem natomiast, że niesłusznym jest wymuszanie struktury rzeczywistości. To się nie

uda. To nasz błąd ostatnich stu lat. Czy pan nie widzi, co się wczoraj stało?

Nieprzejrzyste, ciemne oczy patrzyły prosto na niego.

–Co się stało wczoraj, George?

Nic z tego. Nie ma wyjścia.

Haber podawał mu teraz pentatal sodowy, aby obniżyć jego odporność na hipnozę. Orr dał zrobić sobie zastrzyk, obserwując, jak igła wsuwa mu się w żyłę ręki,

powodując tylko chwilowy ból. Musiał tak postąpić; nie miał wyboru. Nigdy nie miał żadnego wyboru. Był tylko tym, któremu się śni.

Zanim lek zadziałał, Haber poszedł gdzieś, żeby czymś pokierować, wrócił jednak po piętnastu minutach, tryskający energią, jowialny i obojętny.

–Dobrze! Bierzmy się do roboty, George!

Orr wiedział z ponurą jasnością, do czego się dzisiaj weźmie: do wojny. Gazety były jej pełne, a po przyjsciu tutaj był jej pełen nawet odporny na wiadomości umysł Orra. Rozwijająca się wojna na Bliskim Wschodzie. Haber ją zakończy. Niewątpliwie tak samo postąpi z zabójstwami w Afryce. Bo Haber to dobroczyńca. Chce uczynić świat lepszym dla ludzkości.

Cel uświęca środki. Ale co, jeśli nie istnieje cel? Dysponujemy tylko środkami. Orr położył się na kozetce i zamknął oczy. Poczul rękę na gardle.

–Pograżysz się teraz w hipnozie, George – odezwał się Haber głębokim głosem. – Jesteś...

Ciemno.

W ciemności.

Jeszcze nie jest zupełnie ciemno: późny zmierzch na polach. Kępy drzew wyglądały na czarne i wilgotne. Droga, którą szedł,

odbijała słabe, ostatnie światło padające z nieba. Biegła prosto i daleko; była to stara szosa z popękany asfaltem. Jakies pięć metrów przed nim szła gęś, widoczna tylko jako biała, podskakująca plama. Co pewien czas z lekka posykiwała.

Wychodziły gwiazdy, białe jak stokrotki. Jedna z nich wykwitła drżącą bielą tuż po prawej stronie drogi, nisko nad ciemną okolicą. Kiedy znów podniósł na nią oczy, stała się już większa i jaśniejsza. Pomyślał: "Dużeje". Wydawało się, że w miarę, jak jaśnieje, robi się czerwona. Zczerwiedużyła. Zawirowało mu przed oczyma. Naokoło niej śmigły zygzakami ruchami Brownami błękitno-zielone smużki. Ogromne halo pulsowało wokół dużej gwiazdy i cieniutkich błyskawic, to słabiej, to wyraźniej, pulsujące. "Och nie, nie, nie!" -wykrzyknął, gdy wielka gwiazda rozjaśniła się dużejaco BŁYSK oślepiając. Padł na ziemię, zakrywając głowę rękoma, a niebo wybuchnęło smugami jaskrawej śmierci, ale nie potrafił obrócić się twarzą w dół, musiał patrzeć, być świadkiem. Grunt zakołysał się w górę i w dół, jakby wielkie drżące zmarszczki przebiegły po skórze Ziemi. – "Zostawcie nas, zostawcie!" – krzyknął z twarzą przyciśniętą do nieba i obudził się na skórzanej kozetce.

Usiadł i ukrył twarz w spoconych, trzęsących się dłoniach.

Po chwili poczuł ciężką rękę Habera na ramieniu.

–Znowu koszmar? Cholera, myślałem, że pójdzie gładko. Kazałem ci śnić o pokoju.

–1 tak było.

–Ale sen cię zdenerwował?

–Oglądałem bitwę kosmiczną.

–Oglądałeś? Skąd?

–Z Ziemi. – Pokrótce opowiedział swój sen, pomijając 104

gęś. – Nie wiem, czy trafili kogoś z naszych, czy my trafiliśmy któregoś z nich.

Haber roześmiał się.

–Chciałbym zobaczyć, co się tam dzieje! Człowiek czułby się bardziej zaangażowany. Ale oczywiście takie spotkania następują z taką szybkością i w takiej odległości, że wzrok ludzki nie jest po prostu w stanie ich zarejestrować. Niewątpliwie twoja wersja jest o wiele bardziej malownicza niż rzeczywistość. Brzmi to jak dobry film science-fiction z lat siedemdziesiątych. Chodziłem na nie, kiedy

byłem dzieckiem... Ale jak myślisz, czemu wyśniłeś scenę bitewną, skoro zasugerowałem ci pokój?

–Tak po prostu pokój? Miałem śnić o pokoju, tak pan powiedział?

Haber nie odpowiedział od razu. Zajął się przełącznikami Wzmacniacza.

–No dobrze – odezwał się w końcu. – Tym razem pozwolę ci porównać sugestię ze snem. Potraktujmy to jako eksperyment. Może dowiemy się, dlaczego nie wyszło. Powiedziałem... nie, puśćmy taśmę. Podeszedł do konsoli w ścianie.

–Nagrywa pan całą sesję?

–Jasne. To zwykła praktyka psychiatryczna. Nie wiedziałeś?

"Skąd mogłem wiedzieć, skoro magnetofon jest schowany, nie emituje sygnałów, a pan mi nie powiedział – pomyślał Orr, ale nic nie rzekł. Może to zwykła praktyka, a może osobista arogancja Habera; w każdym razie niewiele mógł na to poradzić.**

–O, to powinno być gdzieś tutaj. Stan hipnozy, George. Jesteś tutaj! Nie poddawaj się hipnozie, George! – Taśma

zasyczała. Orr potrząsnął głową i zamrugnął oczyma. Ostatnie fragmenty zdań to był oczywiście głos Habera na taśmie, a on ciągle znajdował się pod działaniem leku ułatwiającego hipnozę. – Będę musiał trochę przelecieć. Dobrze. – Teraz znów było słyhać nagranie jego głosu: "... pokój. Żadnego masowego zabijania ludzi przez ludzi. Żadnych walk w Iranie, Izraelu i Arabii. Żadnego ludobójstwa w Afryce. Żadnych zapasów broni nuklearnej i biologicznej gotowej do użycia przeciw innym narodom. Żadnych badań nad sposobami i środkami zabijania ludzi. Świat żyjący w pokoju. Pokój jako powszechny styl życia na Ziemi. Przyśni ci się ten świat żyjący w pokoju. Teraz zaśniesz. Kiedy powiem..." – Zatrzymał gwałtownie taśmę, żeby nie uścić Orra kluczowym słowem. Orr potarł czoło.

–No cóż – powiedział. – Zastosowałem się do instrukcji.

–Niezupełnie. Żeby wyśnić bitwę w przestrzeni cislunarnej... – Haber żarniki równie gwałtownie jak taśma.

–Cislunarnej – powiedział Orr, nieco żalując Habera. – Kiedy zapadałem w sen, nie używaliśmy tego słowa. A jak się mają sprawy w Izragipcie?

Wymyślone słowo ze starej rzeczywistości wypowiedziane w obecnej miało dziwnie wstrząsający skutek. Jak w surrealizmie: wydawało się, że ma sens, a go nie miało albo wydawało się, że nie ma sensu, a jednocześnie go miało.

Haber chodził po długim, przyjemnym pokoju. Raz przeciągnął ręką po mdobrazowej, kędzierzawej brodzie. Gest ten był rozmyślny i znajomy Orrowi, ale gdy Haber się odezwał, Orr wyczuł, że starannie wyszukuje i dobiera słowa, choć raz nie dowierzając swemu niewyczerpanemu źródłu improwizacji. 106

–Ciekawe, że użyłeś Obrony Ziemi jako symbolu czy metafory pokoju, końca wojny. Choć nie jest to niestosowne. Jedynie bardzo wyrafinowane. Sny są nieskończenie wyrafinowane. Nieskończenie. Bo w gruncie rzeczy właśnie to zagrożenie, to bezpośrednie niebezpieczeństwo inwazji niekomunikatywnych, bezrozumnie wrogich Obcych zmusiło nas do zaprzestania walk między sobą, do zwrócenia naszej agresywnej aktywności na zewnątrz, do objęcia popędem terytorialnym całej ludzkości, do połączenia naszej broni przeciw wspólnemu wrogowi. Gdyby Obcy nie uderzyli, to kto wie? Właściwie nadal moglibyśmy walczyć na Bliskim Wschodzie.

–Z deszczu pod rynnę – powiedział Orr. – Czy pan nie widzi, doktorze Haber, że nic więcej pan ze mnie nie wydobydzie? Niech pan posłucha, ja nie chcę pana zablokować ani zepsuć panu planów. Zakończenie wojny było dobrym pomysłem, całkowicie się z tym zgadzam. Podczas ostatnich wyborów głosowałem nawet na Izolacjonistów, bo Harris obiecał wyciągnąć nas z Bliskiego Wschodu. Ale

przypuszczam, że nie potrafię albo moja podświadomość nie potrafi nawet wyobrazić sobie świata bez wojen. Najlepsza rzecz, na jaką ją stać, to zastąpienie jednej wojny inną. Powiedział pan: żadnego zabijania ludzi przez ludzi. Więc wyśniłem Obcych. Pańskie własne pomysły są prawidłowe i rozsądne, ale próbuje pan posługiwać się moją podświadomością, a nie racjonalnym umysłem. Być może racjonalnie mógłbym wyobrazić sobie rodzaj ludzki nie usiłujący się wytłuc naród po narodzie; tak naprawdę to łatwiej sobie wyobrazić to niż pobudki wojny. Ale pan ma do czynienia z czymś pozaracjonalnym. Usiłuje pan osiągnąć postępowe, humanitarne cele za

pomocą narzędzia, które do tego się nie nadaje. No bo kto ma humanitarne sny?

Haber milczał i nie reagował, więc Orr mówił dalej:

–Albo może to wcale nie mój nieświadomy, irracjonalny umysł, może to cała moja osobowość, moja istota po prostu się do tego nie nadaje. Może, jak pan powiedział, jestem zbyt wielkim defetystą albo jestem zbyt bierny. Nie mam odpowiednich pragnień. Może ma to coś wspólnego z tą moją... z tą zdolnością efektywnego śnienia; ale jeśli nie, może istnieją inni, którzy to potrafią, ludzie o umysłach bardziej podobnych do pańskiego, z którymi mógłby pan lepiej pracować. Mógłby pan przeprowadzać na to testy. Niemożliwe, żebym był jedyny, może tylko przypadkiem zdałem sobie z tego sprawę. Ale ja nie chcę tego robić. Chcę zostać zdjęty z haczyka. Nie wytrzymam tego dłużej. Niech pan posłucha, chodzi mi o to, że... no dobrze, wojna na Bliskim Wschodzie zakończyła się sześć lat temu, świetnie, ale teraz mamy na Księżycu Obcych. A co będzie, jak wylądują? Jakie potwory wywłókt pan z mego nieświadomego umysłu w imię pokoju? Nawet tego nie wiem!

–Nikt nie wie, jak wyglądają Obcy, George – powiedział Haber rozsądnym, uspokajającym tonem. – Bóg jeden wie, że wszystkim nam śnią się na ich temat koszmary. Ale jak powiedziałaś, wylądowali na Księżycu ponad sześć lat temu i ciągle nie udało im się dotrzeć na Ziemię. Obecnie nasze systemy obrony rakietowej są całkowicie skuteczne. Nie ma powodu sądzić, że przedrą się teraz, skoro nie uczynili tego do tej pory. Niebezpieczny okres był podczas tych kilku pierwszych miesięcy, zanim zmobilizowano Obronę na zasadach międzynarodowej współpracy.

108

Orr siedział przez chwilę, zgarbiony. Chciał wrzasnąć na Habera: "Kłamca! Dlaczego kłamiesz?" – Ale pragnienie to nie było przemożne. Prowadziło donikąd. Z tego, co wiedział, Haber był niezdolny do szczerości, bo kłamał sam sobie. Możliwe, że podzielił swój umysł na dwie hermetyczne połówki. W jednej wiedział, że sny Orra zmieniają rzeczywistość, i wykorzystywał je do tego celu, a w drugiej wiedział, że stosuje hipnoterapię i odreagowanie snem w leczeniu schizofrenika przekonanego, że jego sny zmieniają rzeczywistość.

Orrowi trudno było sobie wyobrazić, że Haber do tego stopnia stracił kontakt z samym sobą. Jego własny umysł był tak odporny na takie podziały, że ledwo je zauważał u innych. Ale już się nauczył, że istnieją. Wyrósł w kraju rządzonego przez polityków, którzy wysyłali pilotów w bombowcach, aby zabijali niemowlęta, żeby dzieci mogły rosnać w bezpiecznym świecie.

Ale teraz było to w starym świecie. Nie w tym nowym i wspaniałym.

–Ja się załamuję – rzekł. – Musiał pan to zauważyć. Jest pan psychiatrą. Nie widzi pan, że rozsypuję się na kawałki? Obcy z Kosmosu atakujący Ziemię! Niech pan posłucha: Jaki będzie rezultat, jeśli znów pan mi każe śnić? Może zupełnie oszalały świat, wytwór szalonego umysłu. Potwory, duchy, czarownice, smoki, przeróbki – wszystko to, co nosimy w sobie, wszystkie zmyły dzieciństwa, nocne strachy, koszmary. Jak pan powstrzyma wszystko to przed wyrwaniem się na wolność? Ja nie potrafię. Ja nad tym nie panuję!

–Nie martw się o panowanie! Pracujesz na wolność – odparł Haber energicznie. – Wolność! Twoja podświadomość

to nie bagno potworności i deprawacji. To pojęcie wiktoriańskie i straszliwie zgubne. Sparaliżowało większość najlepszych umysłów dziewiętnastego wieku i podcięło skrzydła psychologii w pierwszej połowie dwudziestego. Nie obawiaj się swej podświadomości! To nie czarne piekło koszmarów. Nic podobnego! To źródło zdrowia, wyobraźni, twórczości. To, co nazywamy "złem", to wytwór cywilizacji, jej przymusów i zakazów deformujących spontaniczne, nieskrępowane wyrażenie własnej osobowości. Celem psychiatrii jest właśnie usuwanie tych bezpodstawnych lęków i koszmarów, wyciąganie na światło racjonalnej świadomości tego, co nieświadome, obiektywne badanie go i stwierdzenie, że nie ma się czego bać.

–Ale jest – powiedział Orr bardzo cicho.

Haber wreszcie go puścił. Orr wyszedł w wiosenny zmierzch i postąpił chwilę na stopniach Instytutu z rękoma w kieszeniach, patrząc na światła uliczne miasta leżącego poniżej, tak rozmyte we mgle i zmroku, że wydawało się, iż mrugają i poruszają się jak maleńkie, srebrzyste kształty tropikalnych ryb w ciemnym akwarium. Wagon naziemnej kolei linowej posuwał się z brzękiem w górę stromego wzgórza do pętli u szczytu Parku Waszyngtona, przed Instytutem. Orr wyszedł na ulicę i wszedł do wagonu, gdy ten skręcał. Siedział, jakby chciał coś wyminąć, a jednocześnie jakby nie miał żadnego celu. Poruszał się jak lunatyk, jak ktoś kierowany.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Dumanie, będące niejako stanem mgławicowym myśli, graniczy ze snem i dlatego się nim interesuje. Powietrze zamieszkałe przez istoty przezroczyście byłoby początkiem tego, co nieznanne; dalej otwierają się szerokie horyzonty tego, co możliwe. A tam inne istoty i inne zjawiska. Nic nadprzyrodzonego, lecz tajemnicze przedłużenie nieskończonej natury... Sen jest zetknięciem się z możliwym, które nazywamy także nieprawdopodobnym. Świat nocy jest również światem... Rzeczy tajemnicze nieznanego świata stają się człowiekowi bliskie; zbliżają się doń naprawdę lub wyłaniają się z otchłani w niezwykłym powiększeniu wizji... Wstanie na wpół somnambulicznym, a na wpół świadomym człowiek pogrążony we śnie dostrzega ową przedziwną faunę i florę, owe sinoblade postacie, straszliwe lub uśmiechnięte, larwy, maski i twarze, hydry, kłębowiska, bezksiężycową poświatę księżyca, tajemniczo zniekształcone niesamowite zjawy, wyłaniające się i znikające w mglistej głębi; jakieś kształty unoszące się w ciemnościach, cały tajemniczy świat, który nazywamy snem, a który nie jest niczym innym, jak zbliżeniem się do niewidzialnej rzeczywistości Sen to akwarium nocy.

Wiktor Hugo, Pracownicy morza

O czternastej dziesiąt dwudziestego marca widziano, jak Heather Lelache wyszła ze "Świątyni dań u Dave'a" przy Ankeny Street i skierowała się na południe Czwartą Aleją. W rękę miała dużą czarną torebkę z mosiężnym zamkiem, ubrana była w czerwony płaszcz przeciwdeszczowy z winylu. Uwaga na tę kobietę. Jest niebezpieczna.

nie chodziło o to, że w jakikolwiek sposób zależało jej na

111

spotkaniu w tym biedakiem psychopata, ale, do cholery, nie znosiła wychodzić na idiotkę przed kelnerami. Trzyma stolik przez pół godziny w samym środku przerwy na lunch – "Czekam na kogoś". – A tu nikt nie przychodzi, więc w końcu musiała coś zamówić i połknąć to w dzikim pośpiechu, tak że teraz na pewno dostanie zgagi. Jakby mało jej było rozgoryczenia, urazy i nudy. Ach, te francuskie choroby duszy.

Skręciła na lewo w Mormona i nagle zatrzymała się. Co ona tu robi? To nie jest droga do firmy "Forman, Esserbeck i Rutti". Pośpiesznie zawróciła na północ, przeszła kilka kwartałów, minęła Ankeny, dotarła do Burnside i znów stanęła. Co ona, u diabła, robi?

Idzie do przerobionego budynku parkingowego przy S. W. Burnside 209. Jakiego przerobionego budynku parkingowego? Jej biuro znajduje się na Morrison w Budynku Pendletona, pierwszym biurowcu wybudowanym w Portland po Załamaniu. Piętnaście pięter, neokaski wystrój. Jaki przerobiony budynek parkingowy, kto u diabła pracuje w przerobionym budynku parkingowym?

Poszła wzdłuż Burnside, rozglądając się. Jasne, jest. Cały oklejony napisami "Do rozbiórki".

Jej biuro mieściło się na trzecim poziomie.

Stojąc tak na chodniku z zadartą głową i przyglądając się opuszczonemu budynkowi, jego dziwnym, lekko pochyłym stropom i wąskim szparom okien, czuła się naprawdę dziwnie. Co się wydarzyło zeszłego piątku podczas tej sesji u psychiatry?

Musi się spotkać z tym małym cholernikiem. Z panem Matadorrem Orrem. No więc wystawił ją do wiatru z lunchem, no to co, ona i tak chce mu zadać kilka pytań.
Ruszyła 112

na południe, brzęk, trzask, z klekotem kleszczy, do Budynku Pendletona i zadzwoniła z biura. Najpierw do Zakładów Bradforda (Nie, pan Orr dzisiaj nie przyszedł do pracy, nie, nie dzwonił), potem do jego mieszkania (drryń, drryó, drryn).

Może powinna znów odwiedzić doktora Habera. Ale to taka gruba ryba, ma przecież ten swój Pałac Snów na wzgórzu w parku. A w ogóle, o czym ona myśli: Haber nie może wiedzieć, że ona ma jakiegokolwiek powiązania z Orrem. Kłamca buduje pułapki, w które sam wpada. Pająk złapany we własną sieć.

Tego wieczora Orr nie odebrał telefonu ani o siódmej, ani o dziewiątej, ani o jedenastej. Nie było go w pracy we wtorek rano ani o dziewiątej, ani o jedenastej. O czwartej trzydzieści we wtorek po południu Heather Lelache wyszła z biur Formana, Esserbecka i Ruttego, wsiadła do trolejbusu jadącego na Whiteaker Street, poszła pod górę do Cor-bett Avenue, znalazła dom, zadzwoniła: jeden z sześciu naciskanych w nieskończoność przycisków tkwiących w brudnym rządku na obłożonej framudze drzwi ozdobionych taflami rżniętego szkła, prowadzących do domu będącego czyjąś dumą i radością w 1905 czy 1892 roku, domu, który zaznał złych czasów, ale chylił się ku ruinie ze spokojem i pewną chłodną wspaniałością. Żadnej reakcji na przyciśnięcie dzwonka Orra. Nacisnęła "M. Ahrens, Dozorca". Dwa razy. Przyszedł dozorca i z początku nie przejawiał chęci współpracy. Ale Czarna Wdowa potrafi przynajmniej jedno: zastraszyć pomniejszych owady. Dozorca zaprowadził ją na górę i nacisnął klamkę u drzwi Orra. Otworzyły się. Nie były zamknięte na klucz.

Cofnęła się. Nagle pomyślała, że w środku może zastać śmierć. A to nie było jej mieszkanie.

Dozorca, obojętny na własność prywatną, wtargnął do środka, a ona niechętnie weszła za nim.

Wielkie, stare, nieumeblowane pokoje były mroczne i puste. Myśl o śmierci wydawała się głupotą. Orr nie posiadał wiele, nie było widać kawalerskiego niechlujstwa i bałaganu ani kawalerskiego pedantycznego porządku. Jego osobowość nie odcisnęła się na tych pokojach wyraźnie, ale Heather dostrzegła, że spokojnie tu mieszka spokojny człowiek. Na stoliku w sypialni stała szklanka wody z gałązką białego wrzосу. Woda wyparowała i opadła o jakieś pół centymetra.

–Nie wiem, gdzie poszedł – odezwał się dozorca gniewnie i spojrzał na nią, jakby mogła mu pomóc. – Myśli pani, że miał wypadek? Albo co? – Dozorca miał na sobie długą kurtkę z koziej skóry z frędzlami, grzywę włosów jak Buffalo Bili i naszyjnik ze znakiem Wodnika z czasów młodości: najwyraźniej nie zmieniał ubrania od trzydziestu lat. Mówił jak Dylan z oskarżycielskim pojęciem. Nawet pachniał marihuaną. Starzy hippisi nigdy nie umierają.

Heather spojrzała na niego łaskawie, bo jego zapach przypominał jej matkę. Powiedziała:

–Może pojechał do tej swojej chaty na Wybrzeżu. Rzecz w tym, zewie pan, on nie czuje się najlepiej, jest na Leczeniu Rządowym. Będzie miał kłopoty, jeśli nie wróci. Czy wie pan, gdzie jest ta chata albo czy ma tam telefon?

–Nie wiem.

–Mogę skorzystać z pańskiego?

–Lepiej z jego – odparł dozorca wzruszając ramionami. Zadzwoiła do znajomego w Parkach Stanu Oregon i po114

prosiła o przejście trzydziestu czterech chat w Lesie Narodowym Siuslaw, które wygrano na loterii, i o podanie ich lokalizacji. Dozorca kręcił się w pobliżu, żeby wszystko słyszeć i kiedy skończyła, rzekł:

–Przyjaciele na wysokich stanowiskach, co?

–To pomaga – wysyczała Czarna Wdowa.

–Mam nadzieję, że odkopie pani George'a. Lubię tego typu. Pożycza moją Kartę Leków – powiedział dozorca i natychmiast parsknął krótkim śmiechem. Heather zostawiła go opierającego się posępnie o oblażącą framugę drzwi frontowych; on i stary dom dawali sobie nawzajem oparcie.

Heather pojechała trolejbusem z powrotem do śródmieścia, wynajęła u Hertza parowego Forda i ruszyła szosą 99W. Świetnie się bawiła. Czarna Wdowa ściga swą ofiarę. Dlaczego zamiast cholerną głupią trzeciorzędną specjalistką od praw obywatelskich nie została detektywem? Nienawidziła prawa. Wymagało agresywnej, stanowczej osobowości. Taką nie dysponowała. Miała osobowość podstępna, przebiegłą, nieśmiałą. Cierpiała na francuskie choroby duszy.

Mały samochód znalazł się wkrótce poza miastem, bo smuga przedmieść, które niegdyś rozciągały się całymi kilometrami wzdłuż zachodnich autostrad, zniknęła. Podczas Zarazy w latach osiemdziesiątych, gdy na niektórych obszarach nie pozostała przy życiu nawet jedna osoba na dwadzieścia, przedmieścia nie były dobrym miejscem. Odległe od supermarketów, bez paliwa do samochodów, a wszystkie okoliczne dwupoziomowe rancza pełne zmarłych. Żadnej pomocy, żadnej żywności. Zdziaczałe stada dużych psów stanowiących niegdyś symbol statusu – chartów afgańskich, owczarków alzackich, dogów – biegające po trawnikach zaroś115

niętych łopianem i babką. Pęknięte okno na całą ścianę. Kto przyjdzie i wstawi szybę? Ludzie schronili się do starego centrum miasta, a kiedy już ograbiono przedmieścia, spalono je. Jak Moskwa w 1912 roku: nie były już potrzebne, więc spłonęły. Wyrastające na pogorzeliśkach rośliny, z których pszczoły robią najlepszy miód, całymi hektarami pokryty tereny Kensington Homes West, Sylvan Oak Manor Estates i Valley Yista Park.

Słońce właśnie zachodziło, kiedy przejeżdżała przez rzekę Tualatin, nieruchomą jak jedwab, między stromymi, zalesionymi brzegami. Po chwili z lewej strony wzeszedł żółty księżyc prawie w pełni. Droga prowadziła na południe i na zakrętach księżyc zaglądał jej przez ramię, co ją trochę martwiło. Wymiana spojrzeń z księżycem przestała być przyjemna. Nie symbolizował już ani Nieosiągalnego, jak przez tysiące lat do tej pory, ani Osiągniętego, jak przez kilka dziesięcioleci, ale Utracone. Ukradzona moneta, lufa własnej broni skierowana przeciw sobie, okrążyła dziura w tkaninie nieba. Księżyc był w rękach Obcych. Ich pierwszym aktem agresji – pierwszą oznaką ich obecności w Układzie Słonecznym, jaką otrzymała ludzkość – był atak na Bazę Księżycową, potworne morderstwo przez uduszenie czterdziestu ludzi pod bańką kopuły. W tym samym czasie, tego samego dnia zniszczyli rosyjską stację kosmiczną, osobliwy, piękny obiekt jak wielki dmuchawiec orbitujący wokół Ziemi, z którego Rosjanie mieli wyruszyć na Marsa. Zaledwie w dziesięć lat po przejściu Zarazy zdruzgotana cywilizacja ludzkości podniosła się jak feniks na orbitę, do Księżyca, na Marsa, i spotkała się z czymś takim. Z bezkształtną, niemą, bezro-

Drogi nie były utrzymane tak jak w czasach, gdy panowała Autostrada; wszędzie były nierównie odcinki i dziury. Ale Heather często osiągała najwyższą dozwoloną prędkość -osiemdziesiąt kilometrów na godzinę – jadąc szeroką, oświetloną księżycem doliną, przycinając rzekę Yamhill cztery albo pięć razy, przejeżdżając przez Dundee i Grand Ronde, z których pierwsze było żyjącą wioską, a drugie opuszczoną, martwą jak Karnak, i wjeżdżając w końcu w lasy i wzgórza. Stary znak drogowy: Korytarz Leśny Van Duzera, teren dawno temu ocalony od wyrębu. Niezupełnie wszystkie lasy Ameryki poszły na papierowe torebki do sklepów, dwupoziomowe domy i Dicka Trący w niedzielę rano. Kilka pozostało. Skręt w prawo: Las Narodowy Siuslaw. I wcale nie jest to cholerne Gospodarstwo Drzewne składające się wyłącznie z pniaków i wątlých sadzonek, ale dziewiczy las. Wielkie świerki poczerniały na zalanym światłem księżycowym niebie.

Znak, którego szukała, prawie zniknął w rozgałęzionej i paprocistej ciemności pochłaniającej blade światło reflektorów. Znów skręciła i przez jakąś milę powoli poskakiwała na koleinach i wybojach, aż ujrzała pierwszą chatę. Jej gonty odbijały światło księżyca. Było trochę po ósmej.

Chaty stały na działkach co dziesięć, dwanaście metrów. Ścięto niewiele drzew, ale oczyszczono teren z poszycia, i kiedy już dostrzegła zasadę, zobaczyła małe dachy chwytające blask księżyca, a po drugiej stronie strumienia taki sam zestaw. Z tych wszystkich okien świeciło się tylko w jednym. Wtorkowy wieczór wczesną wiosną: niewielu urlopowiczów. Kiedy otworzyła drzwiczki samochodu, zaskoczył ją hałas strumienia, jego rześki i nieprzerwany pomruk. Wieczna,

bezkompromisowa pochwała! Podeszła do oświetlonej chaty, potykając się w ciemności tylko dwa razy, i spojrzała na zaparkowany obok samochód elektryczny od Hertz. Jasne. A co, jeśli nie? To może być ktoś obcy. Och, przecież jej do cholery nie zjedzą, prawda?

Zapukała.

Po chwili, klnąc w milczeniu, zapukała ponownie.

Strumień coś pokrzykiwał, las stał bez ruchu.

Orr otworzył drzwi. Włosy wisiały mu w skołtunionych lokach, oczy miał zaczerwienione, usta suche. Patrzył na nią mrugając. Wyglądał na ponizonego i wykończonego. Była nim przerażona.

–Jest pan chory? – zapytała ostro.

–Nie, ja... Proszę wejść...

Musiała posłuchać. Zauważyła pogrzebacz od piecyka, którym mogła się bronić. Oczywiście, mógł ją nim zaatakować, gdyby dotarł do niego pierwszy.

Na litość boską, jest prawie tak duża jak on i w o wiele lepszej formie. Tchórz, tchórz.

–Jest pan naćpany?

–Nie, ja...

–Co takiego? Co się stało?

–Nie mogę spać.

Chatka pachniała cudownie dymem drzewnym i świeżym drewnem. Na jej umeblowanie składała się koza z płytą na dwa garnki, skrzynia pełna gałęzi olchowych, komoda, stół, krzesło, łóżko polowe.

–Proszę usiąść – powiedziała Heather. – Wygląda pan okropnie. Chce się pan napić albo potrzebuje może lekarza? 118

Mam w samochodzie trochę whisky. Lepiej niech pan pojedzie ze mną, to poszukamy jakiegoś lekarza w Lincoln City.

–Nic mi nie jest. Po prostu – mamrotanie – się spać.

–Powiedział pan, że nie może spać.

Spojrzał na nią zaczerwienionymi, zaropiałymi oczyma.

–Że nie mogę sobie na to pozwolić. Boję się.

–O Jezu! Jak długo się to już ciągnie? Mamrotanie -...niedzieli.

–Nie spał pan od niedzieli?

–Od soboty? – powiedział pytająco.

–Zażywał pan coś? Jakies tabletki na pobudzenie? Potrząsnął głową.

–Trochę zasypiałem – powiedział zupełnie wyraźnie i na chwilę jakby zasnął, jak gdyby miał dziewięćdziesiąt lat. Ale kiedy patrzyła na niego z niedowierzaniem, ocknął się i powiedział przytomnie: – Przyjechała tu pani za mną?

–A jak pan myśli? Po choinki na Boże Narodzenie, jak rany? Wystawił mnie pan wczoraj do wiatru z lunchem.

–Hm. – Wytrzeszczył oczy, najwyraźniej usiłując ją zobaczyć. – Przepraszam. Nie panowałem wtedy nad swoim umysłem.

Mówiąc to stał się znów nagle sobą, mimo obłąkanego wzroku i rozwichrzonych włosów, człowiekiem, którego godność osobista tkwiła tak głęboko, że była prawie niewidoczna.

–Nic nie szkodzi. Nieważne! Ale opuszcza pan leczenie, prawda?

Kiwnął głową.

–Kawy? – zapytał. To coś więcej niż godność. Prawość? Zupełność? Jak nieobrobiony kawał drewna.

Ta nieskończoność możliwości, nieograniczona i nie119

sprecyzowana zupełność bycia niezaangażowanym, nie działającym, nieobrobionym: istota, która będąc jedynie sobą, jest wszystkim.

Widziała go takim przez moment i najbardziej ją w tym przeblysku uderzyła jego siła. Był najsilniejszym człowiekiem, jakiego знаła, ponieważ nie można go było ruszyć od środka. I dlatego jej się podobał. Siła ją przyciągała jak ćmę do światła. Jako dziecko była otoczona miłością, ale nie siłą, nigdy nie miała nikogo, na kim mogłaby się

oprzeć; to inni opierali się na niej. Trzydzieści lat tęskniła za kimś, kto by się na niej nie opierał, kto nigdy by tego nie zrobił, nie potrafił...

I oto on: niski, z przekrwionymi oczyma, chory psychicznie, ukrywający się, ta jej opoka.

Heather pomyślała, że życie to niewiarygodny bałagan. Nigdy nie można zgadnąć, co będzie potem. Zdjęła płaszcz, a Orr zdjął filiżankę z półki w komodzie i mleko w puszcze. Podał jej filiżankę mocnej kawy: 97% kofeiny, 3% wolne.

–Pan nie?

–Za dużo już wypilem. Mam od tego zgagę. Ogarnęła ją fala współczucia dla niego.

–A co pan powie na whisky? Wyglądał na zasmuconego.

–Nie uśpi; trochę tylko podkreśli. Pójdę po nią.

Oświetlił jej drogę do samochodu latarką. Strumień krzyczał, drzewa tkwiły w milczeniu, księżyc groźnie spoglądał z góry, księżyc Obcych.

Z powrotem w chacie Orr nalał skromną porcję whisky i sporóbował jej. Wstrząsnął się.

–Dobre – rzekł i dokończył szklaneczkę. Parzyła na niego z aprobatą.

–Zawsze mam przy sobie półlitrową butelkę – powiedziała.

–Włożyłam ją do schowka w desce rozdzielczej, bo gdy zatrzymuje mnie glina i muszę mu pokazać prawo jazdy, w torebce trochę dziwnie wygląda. Ale zwykle mam ją zawsze przy sobie. Śmieszne, jak co roku zawsze się przydaje kilka razy.

–To dlatego ma pani taką dużą torebkę – powiedział Orr głosem, w którym było słycać whisky.

–Jasne, do cholery! Chyba naleję sobie trochę do kawy. Może to ją trochę osłabi. – Jemu też dołała. – Jak się panu udało nie zasnąć przez sześćdziesiąt czy siedemdziesiąt godzin?

–No, niezupełnie, po prostu się nie kładłem. Można trochę pospać na siedząco, ale nie można śnić. Żeby zapaść w sen śniący, trzeba leżeć, aby odpoczęły duże mięśnie. Czytałem o tym. Nieźle działa. Jeszcze nic mi się naprawdę nie przyśniło. Ale to, że nie można odpocząć, budzi. A później miałem jakby halucynacje. Jakieś takie wijące się na ścianie.

–Nie można tak dalej!

–Nie. Wiem. Po prostu musiałem się wyrwać. Od Habera.

–Chwila przerwy. Wydawało się, że wszedł w kolejny okres zaćmienia. Roześmiał się głupkowato. – Jedyne rozwiązanie widzę w samobójstwie. Ale nie chcę tego zrobić. To po prostu nie wydaje się słuszne.

–Oczywiście, że to nie jest słuszne!

–Ale muszę jakoś to zatrzymać. Mnie trzeba zatrzymać. Nie nadała za nim i nie chciała tego.

–Ładne miejsce – powiedziała. – Dwadzieścia lat nie czułam zapachu dymu.

–Zanieczyszczona powietrze – odparł ze słabym uśmiechem.

Wyglądał na zupełnie wykończonego, ale zauważyła, że siedzi na łóżku wyprostowany, nie opierając się nawet o ścianę. – Kiedy pani zapukała – odezwał się – pomyślałem, że to sen. Dlatego – mamrotanie – od razu.

–Powiedział pan, że sam sobie wyśnił tę chatę. Dosyć skromna jak na sen. Dlaczego nie dał pan sobie domku na plaży w Salisham albo zamku na Cape Perpetua?

Potrząsnął głową, zmarszczył brwi.

–Wystarczy. – Trochę jeszcze pomrukał i dodał: – Co się stało? Z panią. Piątek. W gabinecie Habera. Sesja.

–Właśnie o to przyjechałam zapytać! To go obudziło.

–A więc zdawała sobie pani sprawę...

–Chyba tak. To znaczy, wiem, że coś się wydarzyło. I od tego czasu usiłowałam jechać po dwóch torach z jedną parą kół. W sobotę weszłam prosto w ścianę we własnym mieszkaniu! Proszę! – Pokazała siniak na czole ciemniejący pod śniadą skórą. – Ściana jest tam teraz, ale nie było jej wtedy... Jak można żyć, kiedy wszystko się tak dzieje cały czas? Skąd pan wie, gdzie wszystko się znajduje?

–Nie wiem – rzekł Orr. – Ciągłe mi się miesza. Jeśli to się w ogóle ma zdarzać, to nie ma się zdarzać zbyt często. To za wiele. Nie mogę już stwierdzić, czy zwariowałem, czy po prostu nie potrafię poradzić sobie z tymi wszystkimi sprzecznymi informacjami. Ja... To... To znaczy, że naprawdę mi pani wierzy?

–A co innego mogę zrobić? Widziałam, co się stało z miastem! Wyglądałam przez okno! Nie musiał pan myśleć, że chcę w to wierzyć. Nie chcę, próbuję nie wierzyć. Jezu, to okropne. Ale ten doktor Haber też nie chciał, żebym w to

uwierzyła, prawda? Bardzo sprytnie mnie zagadał. No, ale to, co pan powiedział po przebudzeniu, potem to wchodzenie na ściany i pójście nie do tego biura... A potem ciągle się zastanawiałam, co się zmieniło i czy cokolwiek jest jeszcze prawdziwe. Cholera, to straszne.

–No właśnie. Niech pani posłucha, wie pani o wojnie, o tej wojnie na Bliskim Wschodzie?

–Jasne. Zginął w niej mój mąż.

–Mąż? – Wyglądał na wstrząśniętego. – Kiedy?

–Na trzy dni przed jej odwołaniem. Na dwa dni przed Konferencją Teherańską i Paktem USA – Chiny. W dzień potem, jak Obcy wysadzili Bazę Księżycową.

Parzył na nią, jakby był przerażony.

–O co chodzi? To stara blizna, do diabła. Sześć lat temu, prawie siedem. A gdyby

żył, do tego czasu byśmy się już rozwiedli, to było parszywe małżeństwo. To nie była pańska wina!

–Ja już nie wiem, co jest moją winą.

–W każdym razie nie Jim. Był po prostu wielkim, przystojnym czarnym draniem, ważnym kapitanem lotnictwa wojskowego w wieku 26 lat, zestrzelonym w wieku 27 lat, chyba nie sądzi pan, że pan to wymyślił, to się zdarza od tysięcy lat. A stało się to akurat dokładnie tak samo w tym innym, przypadku na długo przed piątkiem, kiedy świat był tak przeludniony. Akurat dokładnie. Tylko że to było na początku wojny... prawda? – Ściszyła głos; zrobił się bardziej miękki. – O Boże! Na początku wojny zamiast przed samym zawieszeniem broni. Tamta wojna ciągnęła się i ciągnęła. Teraz też toczyła się dalej. I nie było... nie było żadnych Obcych, prawda?

Orr potrząsnął głową.

–Czy ich też pan wyśnił?

–Kazał mi śnić o pokoju. O pokoju na Ziemi, o dobrej woli pomiędzy ludźmi. No więc stworzyłem Obcych. Żeby dać nam jakiegoś przeciwnika.

–To nie pan. To ta jego maszyna.

–Nie. Daję sobie radę bez maszyny, panno Lelache. Ona tylko oszczędza mu czas, wprowadzając mnie od razu w stan snienia. Chociaż ostatnio pracował nad jej ulepszeniem. Jest świetny w ulepszaniu.

–Mam na imię Heather.

–Ładnie.

–Ty jesteś George. W czasie tej sesji ciągle tak się do ciebie zwracał. Jakbyś był niezwykle mądrym pudlem albo rezu-sem. Połóż się, George. Wyśnij to, George.

Roześmiał się. Miał białe zęby i przyjemny śmiech, przedzierający się poprzez zaniedbanie i chaos.

–To nie ja. Widzisz, on przemawia do mojej podświadomości, a nie do mnie. Dla jego celów ona jest rzeczywiście jakby psem albo małpą. Nie jest racjonalna, ale można ją wytresować.

Nigdy nie mówił z goryczą, bez względu na to, jak straszne by to były rzeczy. Zastawiała się, czy rzeczywiście istnieją ludzie pozbawieni urazy, pozbawieni nienawiści. Ludzie, którzy nigdy nie stają wszechświatowi okoniem? Którzy rozpoznają zło i opierają się mu i na których nie pozostawia ono najmniejszego śladu?

Oczywiście, że istnieją. Niezliczeni żywi i umarli. Ci, którzy wrócili do kieratu z czystego współczucia, ci, co idą drogą, którą nie można iść, nie wiedząc, że nią idą: żona drobnego dzierżawcy z Alabamy i tybetański lama, entomolog z 124

Peru i robotnik z Odessy, sprzedawca warzyw z Londynu i pasterz kóz z Nigerii, i stary, stary mężczyzna ostrzący patyk nad wyschniętym łożyskiem strumienia gdzieś w Australii, i tylu innych. Nie ma ani jednej osoby wśród nas, która by ich nie знаła. Wystarczy ich, abyśmy mogli żyć. Może.

–Posłuchaj teraz. Musisz mi powiedzieć, czy dopiero po wizycie u Habera zacząłeś mieć...

–Sny efektywne? Nie, przedtem. Dlatego poszedłem do niego. Bałem się tych snów, więc zdobywałem nielegalnie środki uspokajające, żeby stłumić śnienie. Nie wiedziałem, co robić.

–No to dlaczego zamiast usiłować nie zasnąć nie brałeś niczego przez te ostatnie dwie noce?

–Zużyłem wszystko, co miałem, w piątek wieczorem. Nie mogę tu zrealizować recepty. Ale musiałem się wyrwać. Musiałem uciec od doktora Habera. Sprawa jest o wiele bardziej skomplikowana niż on chce przyznać. Myśli, że można tak zrobić, by wszystko wyszło dobrze. I usiłuje mnie wykorzystać, żeby wszystko wyszło dobrze, ale nie chce się do tego przyznać. Kłamie, bo nie chce spojrzeć prawdzie w oczy, nie interesuje go to, co prawdziwe, co istnieje. Nie potrafi dojrzeć niczego poza swym umysłem, swoimi wyobrażeniami, jak powinno być.

–No dobrze. Jako prawnik nic nie mogę dla ciebie zrobić – powiedziała Heather, nie bardzo nadążając za tym wszystkim. Sączyła kawę i whisky, od której chihuahua pokryłby się sierścią. – Nie widziałam nic podejrzanego w jego sugestiach hipnotycznych. Powiedział ci po prostu, żebyś nie martwił się o przeludnienie i w ogóle. A jeśli chce ukryć fakt, że wykorzystuje twoje sny dla określonych celów, wolno mu.

Za pomocą hipnozy mógł po prostu sprawić, że nie będziesz miał snu efektywnego w obecności obserwatora. Zastanawiałam się, dlaczego pozwolił na moją obecność? Jesteś pewien, że sam wierzy w twoje sny? Nie rozumiem go. W każdym razie trudno prawnikowi wchodzić między psychiatrę a jego pacjenta, szczególnie, jeśli ten od czubków to gruba ryba, a pacjent to wariat, który myśli, że jego sny się urzeczywistniają, nie, nie chciałabym czegoś takiego na sali sądowej! Ale posłuchaj. Czy nie ma sposobu, żebyś mógł nie śnić dla niego? Może jakieś środki uspokajające?

–Nie dostaje się Karty Leków na DT. Musiałby mi je zapisać. A i tak Wzmacniacz mógłby narzucić mi śnienie.

–To jest naruszenie prywatności, ale na sprawę to za mało... Posłuchaj. A co, gdyby ci się przyśnił zmieniony Haber? Orr wpatrzył się w nią przez mgłę snu i whisky.

–Bardziej życzliwy, bo mówisz, że jest życzliwy, że ma dobre intencje. Ale jest spragniony władzy. Znalazł wspaniały sposób rządzenia światem, nie podejmując za to odpowiedzialności. No więc dobrze. Spraw, że będzie mniej spragniony władzy. Niech ci się przyśni, że jest naprawdę dobrym człowiekiem. Niech ci się przyśni, że próbuje cię wyleczyć, a nie wykorzystać!

–Ale nie mogę wybierać własnych snów. Nikt nie może. Oklapła.

–Zapomniałam. Skoro tylko przyjąłam to za prawdę, ciągle myślę, że da się to kontrolować. Ale nic z tego. Ty po prostu to robisz.

–Ja nic nie robię – odparł Orr za smutkiem. – Nigdy niczego nie zrobiłem. Po prostu mi się śni. A potem jest.

–Zahipnotyzuję cię – rzekła nagle Heather.

Przyjęcie niewiarygodnego faktu za prawdę trochę ją oszołomiło: skoro wychodziły sny Orra, co jeszcze innego mogło wychodzić? Poza tym nic nie jadła od południa, a kawa i whisky szły jej do głowy.

Powpatrywał się jeszcze trochę.

–Robiłam już to. Miałam zajęcia z psychologii, jeszcze przed prawem. Wszyscy ćwiczyliśmy jako hipnotyzujący i hipnotyzowani. Łatwo się dawałam wprowadzić w trans, ale jeszcze lepiej wprowadzałam innych. Zahipnotyzuję cię i zasugeruję ci sen.

O tym, że doktor Haber jest nieszkodliwy. Każę ci śnić tylko o tym, o niczym więcej. Rozumiesz? Czy to nie będzie bezpieczne, bezpieczniejsze niż cokolwiek innego, co moglibyśmy w tej chwili wypróbować?

–Ale ja jestem odporny na hipnozę. Kiedyś nie byłem, ale on mówi, że teraz się zrobiłem.

–To dlatego stosuje indukcję za pośrednictwem nerwu błędnego i tętnicy szyjnej? Nie cierpię na to patrzeć, wygląda jak morderstwo. Nie potrafiłabym tego zrobić, a w ogóle nie jestem lekarzem.

–Mój dentysta używał po prostu hipnotaśmy. Skutkowało. Przynajmniej tak mi się wydaje. – Mówił zupełnie przez sen i mógł tak głądzić w nieskończoność.

Powiedziała miękko:

–Wygląda na to, że opierasz się hipnotyzerowi, a nie hipnozie... Tak czy owak moglibyśmy spróbować. A gdyby się udało, mogłabym ci poddać sugestię hipnotyczną, żeby ci się przyśnił jeden malutki, jak ty to nazywasz, sen efektywny o Haberze. Żeby grał z tobą czysto i próbował ci pomóc. Myślisz, że mogłoby się udać? Zaryzykowałbyś?

–W każdym razie mógłbym się trochę przespać. Kiedyś

będę musiał zasnąć. Chyba nie przetrzymam nocy. Skoro uważasz, że dasz sobie radę z hipnozą...

–Chyba tak. Ale posłuchaj, czy masz coś tutaj do jedzenia?

–Tak – powiedział sennym głosem. Po chwili oprzytomniał. – Ach, tak. Przepraszam, Ty przecież nie jadłaś. Po drodze. Jest bochenek chleba... – Pogrzebał w kredensie, wyjął chleb, margarynę, pięć jajek na twardo, puszkę tuńczyka i trochę przywędłej sałaty. Heather znalazła dwa talerze po półgotowych daniach, trzy różne widelce i nóż do obierania.

–A ty jadłeś? – spytała. Nie był pewien. Razem przygotowali jedzenie. Ona siedząc na krześle przy stole, on na stojąco. Stanie jakby go otrzeźwiało i okazało się, że jest głodny. Musieli dzielić wszystko na pół, nawet piąte jajko.

–Jesteś bardzo uprzejma – powiedział.

–Ja? Dlaczego? Że tu przyjechałam? Do cholery, byłam przerażona. Tym zmienianiem świata w piątek! Musiałam to jakoś wyprostować. Posłuchaj, kiedy śniłeś, patrzyłam prosto na szpital po drugiej stronie rzeki, w którym się urodziłam, a potem nagle nigdy go tam nie było!

–Myślałem, że jesteś ze wschodu – powiedział. Sensowność wypowiedzi nie była w tej chwili jego mocną stroną.

–Nie. – Wyczyściła starannie puszkę po tuńczyku i oblizała nóż. – Z Portland. Teraz podwójnie. Dwa różne szpitale. Jezu! Ale urodzona tam i wychowana. Tak jak rodzice. Ojciec był czarny, a matka biała. Dosyć ciekawe. W latach siedemdziesiątych on był prawdziwym wojującym typem Black Power, a ona hippiską. On pochodził z rodziny utrzymującej się z opieki społecznej, bez ojca, a ona była córką prawnika z Portland Heights. Nie skończyła szkoły, zaczęła brać narkotyki i robić to wszystko, co się wtedy robiło. Spotkali się 128

na jakimś wiecu politycznym. To było w czasach, gdy demonstracje były jeszcze legalne. I się pobrali. Ale on nie potrafił długo tego wytrzymać, to znaczy całej sytuacji, nie małżeństwa. Kiedy miałam osiem lat, pojechał do Afryki. Chyba do Ghany. Myślał, że jego rodzina pochodzi stamtąd, ale tak naprawdę to tego nie wiedział. Od niepamiętnych czasów mieszkali w Luizjanie, a Lelache to pewnie nazwisko właściciela niewolników i jest francuskie. Znaczy "Tchórz". W szkole średniej uczyłam się francuskiego, bo mam francuskie nazwisko. – Prychnęła. – W każdym razie tak po prostu sobie pojechał. A biedna Eva jakby się rozpadła na kawałki. To moja matka. Nie chciała, żebym mówiła do niej matko czy mamó, czy

jakoś tak, bo to typowe dla chęci posiadania przejawianej przez rodziny klas średnich. Więc nazywałam ją Evą. Przez jakiś czas mieszkaliśmy w takiej komunie na górze Hood, Jezu! Ależ tam było zimno w zimie! Ale policja nas rozgoniła, twierdzili, że to spisek antyamerykański. Potem zarabiała na życie z dnia na dzień. Robiła niezłą ceramikę, gdy miała dostęp do jakiegoś koła garncarskiego i pieca do wypalania, ale głównie pomagała w sklepikach i restauracjach, i takich innych. Ci ludzie dużo sobie nawzajem pomagali. Naprawdę dużo. Ale nie potrafiła rzucić narkotyków, wpadła w nałóg. Potrafiła nie brać rok, a potem trzask. Przeżyła Zarazę, ale gdy miała trzydzieści osiem lat dostała brudną igłę i to ją zabiło. I niech mnie diabli, jeśli nie pojawiła się jej rodzina i się mną nie zajęła. Nigdy ich przedtem nawet nie widziałam! No i opłacili mi uniwersytet i studia prawnicze. Co roku jeżdżę do nich na wigilię. Jestem ich murzyńską maskotką. Ale coś ci powiem: nie potrafię się zdecydować, jakiego koloru mam skórę, i to mnie naprawdę złości. Mój

ojciec był Murzynem, prawdziwym Murzynem – och, miał jakąś domieszkę białej krwi, ale był czarny – matka była biała, a ja jestem ani jak jedno, ani jak drugie. Widzisz, ojciec naprawdę nienawidził matki, bo była biała. Ale jednocześnie ją kochał. Ale ja myślę, że ona bardziej go kochała, bo był Murzynem, niż dla niego samego. No i gdzie w tym wszystkim miejsce dla mnie? Nigdy go nie znalazłam.

–A brąz? – powiedział łagodnie, stając za jej krzesłem.

–Gówniany kolor.

–Kolor ziemi.

–Pochodzisz z Portland? Zmiana stron.

–Tak.

–Nie słyszę cię przez ten cholerny strumień. Myślałam, że na łonie przyrody ma być cicho. Mów dalej!

–Ale teraz mam już tyle dzieciństw – powiedział. – O którym mam ci opowiedzieć? Raz oboje rodzice umarli w pierwszym roku Zarazy. Kiedy indziej żadnej Zarazy w ogóle nie było. Nie wiem... Żadne z nich nie było zbyt interesujące. Nie ma nic do opowiadania. Jedynym moim wyczynem jest to, że udało mi się przeżyć.

–No, to przecież najważniejsze.

–Ale robi się coraz trudniejsze. Zaraza, a teraz Obcy... -Roześmiał się niemrawo, ale kiedy obejrzała się na niego, twarz miał zmęczoną i nieszczęśliwą.

–Nie potrafię uwierzyć, że ich wyśniłeś. Po prostu nie potrafię. Już tak długo się ich boję, całe sześć lat! Ale wiedziałam, że to ty, gdy tylko o nich pomyślałam, bo nie było ich w tej innej ścieżce czasowej, czy jak to się nazywa. Ale w gruncie rzeczy nie są wcale gorsi niż to potworne przeludnienie. To okropne mieszkanko, w którym mieszkałam z czterema 130

innymi kobietami w Strefie dla Kobiet Interesu, na litość boską! I to ohydne metro, i miałam straszne zęby, i nigdy nie było nic przyzwoitego do jedzenia, a i tak o połowę za mało. Wiesz, ważyłam wtedy 46 kilogramów, a teraz 55. Od piątku przytyłam o dziewięć kilogramów!

–To prawda. Byłaś strasznie szczupła, kiedy zobaczyłem cię po raz pierwszy. W twoim biurze.

–Ty też. Istny chudzielec. Tylko że wszyscy tak wyglądali, więc nie spostrzegłam tego. Teraz wyglądasz na dość solidnie zbudowanego mężczyznę, pod warunkiem, że się kiedyś wyśpisz.

Nic nie odpowiedział.

–Jakby się zastanowić, to wszyscy jakoś lepiej wyglądają. Posłuchaj. Jeśli nie masz wpływu na to, co robisz, a za każdym razem jest trochę lepiej, to nie powinieneś czuć się winnym. Może twoje sny to po prostu jakby nowy sposób działania ewolucji. Taka gorąca linia. Przetrawanie najlepiej przystawianych i w ogóle. Z bezwzględnym pierwszeństwem.

–Och, jest jeszcze gorzej – powiedział tym samym beztroskim, głupkowskim tonem i usiadł na łóżku. – Czy... – Zająknął się kilka razy. – Czy pamiętasz cokolwiek na temat kwietnia cztery lata temu, w 2015 roku.

–Kwietnia? Nie, nic specjalnego.

–Wtedy skończył się świat – rzekł Orr. Skurcz mięśni wykrzywił mu twarz. Przełknął, jakby potrzebował powietrza. – Nikt już nie pamięta – powiedział.

–O czym ty mówisz? – spytała, czując nieokreślony strach. "Kwiecień, kwiecień 2015, czy pamiętam kwiecień 2015?" Pomyślała, że nie, a wiedziała, że powinna, i przestraszyła się – jego? Z nim? Za niego?

–To nie ewolucja. To instynkt samozachowawczy. Nie potrafię... no, było o wiele gorzej. Gorzej, niż pamiętasz. To był taki sam świat jak ten pierwszy, który pamiętasz, z siedmioma miliardami ludzi, tylko że... tylko że gorszy. Poza niektórymi państwami europejskimi nikt nie wprowadził wystarczająco wcześnie, w latach siedemdziesiątych, kontroli zanieczyszczenia i urodzeń ani racjonowania żywności. Kiedy w końcu spróbowaliśmy kontrolować rozdział żywności, było już za późno, nie starczyło jej dla wszystkich, mafia opanowała czarny rynek, trzeba było kupować na czarnym rynku, aby mieć cokolwiek do jedzenia, a mnóstwo ludzi nie zdobywało nic. W 2001 zmieniono Konstytucję, tak jak pamiętasz, ale zrobiło się już tak źle, że było o wiele gorzej, ustrój nie udawał już nawet demokracji, powstało jakby państwo policyjne, ale nie funkcjonowało, od razu się rozpadło. Kiedy miałem piętnaście lat, zamknięto szkoły. Nie było żadnej Zarazy, ale pojawiały się epidemie, jedna po drugiej, czerwotka, zapalenie wątroby, a potem dżuma. Ale głównie ludzie umierali z głodu. A potem w 2010 na Bliskim Wschodzie wybuchła wojna, ale była inna. Izrael przeciwko Arabom i Egipcjom. Przystąpiły do niej wszystkie duże kraje. Jedno z państw afrykańskich opowiedziało się po stronie arabskiej i rzuciło bomby nuklearne na dwa miasta w Izraelu, więc pomogliśmy w odwecie i... – zamilkł na jakiś czas, po czym mówił dalej, najwyraźniej nie zdając sobie sprawy z jakiegokolwiek przerwy w opowiadaniu – usiłowałem wydostać się z miasta. Chciałem dotrzeć do Parku Leśnego. Mdlilo m-nie, nie mogłem dalej iść i usiadłem na stopniach tego domu na zachodnich wzgórzach, domy były wszystkie wypalone, ale stopnie były z cementu, pamiętam mleczki kwitnące w 132

szczelinie między stopniami. Siedziałem tak, nie mogąc wstać, i wiedziałem, że nie mogę. Ciągle myślałem, że wstaję i idę dalej, że wychodzę z miasta, ale to były tylko majaki, ocknąłem się i znów zobaczyłem te mleczki i wiedziałem, że umieram. I że umiera wszystko inne. I wtedy, wtedy miałem ten sen. – Ochrypl już poprzednio, a teraz głos mu się załamał.

–Wszystko było w porządku – odezwał się w końcu. – Przyśniło mi się, że jestem w domu. Obudziłem się i nic nie było. Leżałem w łóżku w domu. Tylko że to nie był żaden dom, jaki kiedykolwiek miałem, wtedy, za pierwszym razem. Wtedy, kiedy było źle. O Boże, jakże ja chciałem o tym zapomnieć! Zwykle zapominam. Zawsze odtąd mówiłem sobie, że to był sen. Że tamto to był sen! Ale to nieprawda. To jest sen. To nie jest rzeczywistość. Ten świat nie jest nawet prawdopodobny. Tamto było prawdą. Zdarzyło się tamto. Wszyscy jesteśmy martwi, a przed śmiercią zniszczyliśmy świat. Nie zostało nic. Nic oprócz snów.

Wierzyła mu i z wściekłością odrzuciła swą wiarę.

–No to co? Może nigdy nie było nic więcej? Cokolwiek to jest, jest w porządku.

Chyba nie sądzisz, że pozwolono by ci zrobić cokolwiek, czego nie powinienes? Za kogo ty się masz! Nie istnieje nic, co nie pasuje, nie zdarza się nic, co nie ma się zdarzyć. Nigdy! Jakie to ma znaczenie, czy nazywasz to rzeczywistością, czy snem? To przecież jedno i to samo

–prawda?

–Nie wiem – powiedział Orr, zrozpaczony. Podeszła i objęła go, jakby obejmowała cierpiące dziecko lub umierającego.

Głowa na jej ramieniu ciążyła jej. Jasna, kwadratowa dłoń na jej kolanie leżała swobodnie.

–Śpisz – powiedziała. Nie zaprzeczył. Musiała nim mocno potrząsnąć, aby zmusić go do zaprzeczenia.

–Nie – rzekł wzdrygając się i siadając prosto. – Nie. – Znów się osunął.

–George! – To prawda: użycie jego imienia pomogło. Otworzył oczy na wystarczająco długo, aby na nią spojrzeć. – Nie zasypiaj, nie zasypiaj jeszcze trochę. Chcę spróbować hipnozy. Żebyś mógł spać. – Chciała zapytać, o czym chciałby śnić, co na temat Habera powinna mu zasugerować w hipnozie, ale odpłynął już zbyt daleko. – Słuchaj, usiądź tu na łóżku. Patrz na... patrz na płomień lampy, to powinno dać efekt. Ale nie zasypiaj. – Ustawiła lampę naftową na środku stołu, pośród skorupki jaj i szczątków kolacji. – Nie spuszcza z niej oczu i nie zasypiaj! Odprężysz się i poczujesz się swobodnie, ale jeszcze nie zaśniesz, póki nie powiem "Zaśnij". Dobrze. Czujesz się swobodnie i wygodnie... – Ciągnęła hi-pnotyzerską mowę z poczuciem odgrywania komedii. Poddał się prawie natychmiast. Nie uwierzyła i poddała go próbie. – Nie możesz podnieść lewej ręki – powiedziała. – Próbujesz, ale jest za ciężka, nie daje się... A teraz jest lekka, możesz ją podnieść. Tak... no dobrze. Za minutę zaśniesz. Coś ci się przyśni, ale będą to zwykłe, normalne sny jak u wszystkich, nie te specjalne, nie... nie te efektywne. Oprócz jednego. Przyśni ci się jeden sen efektywny. W nim... – Przerwała. Nagle przestraszyła się, ogarnął ją zimny niepokój. Co ona robi? To nie zabawa ani gra, w to nie może się wtrącać głupiec. Znajdował się w jej mocy, a jej o moc była nieobliczalna. Jakąż to niewyobrażalną odpowiedzialność przyjęła?

Ktoś, kto wierzy jak ona, że wszystko pasuje do siebie, że istnieje całość, której jest się częścią, i że będąc częścią jest 134

się całością, taki ktoś nigdy nie żywi najmniejszego pragnienia odgrywania Boga. Takiej zabawy pożądamy tylko ci, którym odmówiono istnienia.

Ale ona wpadła w rolę, z której nie mogła się już wycofać.

–W tym jednym śnie przyśni ci się, że... że doktor Haber ma dobre zamiary, że nie usiłuje zrobić ci krzywdy i że jest z tobą szczery. – Nie wiedziała, co powiedzieć ani jak, wiedząc jednocześnie, że wszystko, co powie, może okazać się niewłaściwe. – 1 przyśni ci się, że na Księżycu nie ma już Obcych – dodała pośpiesznie. Przynajmniej ten ciężar mogła zdjąć mu z ramion. – A rano obudzisz się zupełnie wypoczęty i wszystko będzie w porządku. Już: zaśnij.

Cholera, zapomniała mu powiedzieć, żeby się najpierw położył.

Przechylił się jak na wpół wypchana poduszka, miękko, ukośnie w przód, aż znalazł

się na podłodze jak wielka, ciepła, nieruchoma sterta.

Nie mógł ważyć więcej niż siedemdziesiąt kilogramów, ale równie dobrze mógł być martwym słoniem – tyle z niego było pożytku, gdy przenosiła go na łóżko. Najpierw musiała podnieść mu nogi, a potem dźwignąć ramiona, tak by nie przewrócić łóżka. Oczywiście wylądował na śpiworze, a nie w środku. Wyciągnęła go spod niego, nieomal znów przewracając łóżko, i przykryła go. Spał jak kłoda. Brakowało jej tchu, spociała się i zdenerwowała. On nie.

Usiadła przy stole i uspokoiła oddech. Po chwili zastanowiła się, co robić. Sprzątnęła resztki po kolacji, zagrzała wodę, umyła tacki po zapiekankach, widelce, nóż i kubki. Rozpaliła ogień w piecyku. Na półce znalazła kilka książek w tanim wydaniu, które pewnie kupił w Lincoln City, żeby

skrócić sobie długie czuwanie. Cholera, żadnych kryminałów, a potrzebowała kryminału, i to dobrego. Jest jakaś powieść o Rosji. Jedno można było powiedzieć o Pakcie Kosmicznym: rząd Stanów Zjednoczonych nie próbował udawać, że między Jerozolimą i Filipinami nic nie istnieje, bo w przeciwnym wypadku mogłoby to zagrozić Amerykańskiemu Sposobowi Życia. Tak więc od paru lat można było znów kupić japońskie parasolki z papieru, indyjskie kadzidełka, rosyjskie powieści i w ogóle. Według prezydenta Merdle'a Braterstwo Ludzi to Nowy Styl Życia.

Książka, której autor nosił nazwisko kończące się na "je-wski", mówiła o życiu podczas Lat Zarazy w jakimś miasteczku na Kaukazie i nie stanowiła specjalnie wesołej lektury, ale grała na emocjach. Heather czytała ją od dziesiątej do wpół do trzeciej. Cały ten czas Orr leżał pogrążony w głębokim śnie, prawie się nie poruszając, oddychając płytko i cicho. Czasami podnosiła oczy znad kaukaskiej wioski i widziała jego spokojną twarz, częściowo ocienioną, a częściowo pozłoconą przyćmionym światłem lampy. Jeśli śnił, to były to sny spokojne i ulotne. Kiedy w tej kaukaskiej wiosce już wszyscy zginęli ogrócz miejscowego idioty, którego kompletna bierność względem nieuniknionego przywozili ją na myśl Orra, spróbowała się napić odgrzewanej kawy, ale ta smakowała jak ług. Podeszła do drzwi i stała przez chwilę ni to w środku, ni to na zewnątrz, słuchając, jak strumień wykrzykuje i wrzeszczy: "Wieczna chwała! Wieczna chwała!" Nie do wiary, że kontynuował ten hałas setki lat przed jej urodzeniem i że będzie to trwało, aż poruszą się góry. A najdziwniejsza tak późną nocą w absolutnej ciszy lasów była od-136

legia nuta, jakby daleko w górze strumienia Śpiewały dziecięce głosy – niezwykle słodko i bardzo dziwnie.

Zadrżała. Zamknęła drzwi, odcinając głosy nie narodzonych dzieci śpiewające w wodzie, i odwróciła się do ciepłego pokoiku i śpiącego mężczyzny. Zdjęła z półki książkę o ciesielstwie domowym, którą najwyraźniej kupił, aby zająć się chatą, ale natychmiast przysnęła. Właściwie dlaczego nie? Dlaczego nie miałyby zasnąć? Tylko gdzie ma się położyć...

Powinna była zostawić George'a na podłodze. I tak by nie zauważył. To nie w porządku, że ma i łóżko, i śpiwór.

Zdjęła z niego śpiwór i zamiast nim przykryła George'a jego płaszczem przeciwdeszczowym i swoją peleryną. Nawet się nie poruszył. Spojrzała na niego z sympatią, a potem weszła do śpiwora i położyła się na podłodze. Jezu, ale tu zimno i twardo! Nie zdmuchnęła światła. A może lampy naftowe się przykręca? Trzeba zrobić jedną z tych rzeczy, a nie wolno drugiej. Zapamiętała to z komuny. Nie pamiętała jednak dokładnie. Jasna cholera, ale tu na dole zimno!

Zimno, zimno. Twardo. Jasno. Zbyt jasno. W oknie wschód słońca przebijający się przez chwiejące się i trzepoczące drzew. Nad łóżkiem. Podłoga zadrżała. Wzgórza zamruczały i zamarzyły o wpadnięciu do morza, a za wzgórzami odezwały się słabo syreny odległych miast. Wyły, wyły, wyły.

Usiadła. Wilki oznajmiły wyciem koniec świata.

Blask słoneczny wlał się przez pojedyncze okno, ukrywając wszystko, co leżało poniżej padającego skosem oślepiającego promienia. Pomacała na oślep przez nadmiar światła i znalazła Orra rozciągniętego na brzuchu, wciąż śpiącego.

–George! Obudź się! Och, George, proszę cię, obudź się! Coś się stało!

Obudził się. Uśmiechnął się do niej.

–Coś się stało... te syreny... co to takiego? Jakby ciągle we śnie, odparł beznamiętnie:

–Wylądowali.

Bo zrobił dokładnie to, co kazała. Kazała mu śnić, że na Księżycu nie ma już Obcych.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Niebo i ziemia nie przejawiają cnoty

humanitaryzmu.

Laozi V.

Jedyną częścią kontynentu amerykańskiego, jaka ucierpiała w wyniku bezpośredniego ataku podczas II wojny światowej, był stan Oregon. Japońskie balony zapalające podpaliły fragment lasu na wybrzeżu. Jedyną częścią kontynentu amerykańskiego narażoną na bezpośredni najazd podczas I Wojny Międzygwiazdniej był stan Oregon. Można by winić za to jego polityków, bo historyczną funkcją senatora Ore-gonu jest doprowadzanie wszystkich innych senatorów do szaleństwa, a nigdy nie smaruje się wojskowym masłem stanowego chleba. Oregon nie ma żadnych zapasów oprócz siana, żadnych wyrzutni raketowych, żadnych baz NASA. Jest ewidentnie bezbronny. Broniące go Pociski Balistyczne Niszczące Obcych zostały wystrzelone z ogromnych podziemnych wyrzutni w Walia Walia w stanie Waszyngton i Okrągłej Doliny w Kalifornii. Z Idaho, którego większość należy do lotnictwa Stanów Zjednoczonych, wyleciały na zachód z przeraźliwym rykiem ogromne naddźwiękowe XXTT-9900, rozdzierając wszystkie bębny od Boise po Dolinę Słońca, aby wykryć jakikolwiek obcy statek, który przedarłby się przez niezawodną sieć PBNO.

Odparte przez statki Obcych posiadające urządzenie przejmujące kontrolę nad układem sterującym pocisków, PBNO zmieniły kurs gdzieś w środku stratosfery i wróciły, lądując i eksplodując po całym stanie Oregon. Ogień szalał na suchych wschodnich stokach Gór Kaskadowych. Burze

ogniowe starty z powierzchni ziemi Gold Beach i Dalles. Portland nie ucierpiało bezpośrednio, ale błakający się PBNO z głowicą nuklearną trafił w górę Hood obok starego krateru, co spowodowało uaktywnienie się uspiętego wulkanu. Natychmiast pojawiła się para i nastąpiły wstrząsy, a przed południem pierwszego dnia Inwazji Obcych, w Prima Aprilis, na północnozachodnim stoku na skutek gwałtownej erupcji otworzyła się szczelina wyrzucająca potoki lawy. Zapłonęły pozbawione śniegu i lasów stoki, zagrożone były społeczności Zigzagu i Rhododendronu. Zaczęła się tworzyć chmura popiołu, od której zgęstniało i poszarzało powietrze w odległym o sześćdziesiąt kilometrów Portland. Z nadejściem wieczoru wiatr skręcił na południe, niższe warstwy powietrza nieco się oczyściły i w chmurach na wschodzie można było dostrzec ponure pomarańczowe odblaski erupcji. Niebo, gęste od deszczu i popiołów, rozbrzmiewało rykiem XXTT-9900 na próżno poszukujących obcych statków. Ze wschodniego wybrzeża i od bratnich narodów Paktu ciągle nadlatywały eskadry bombowców i myśliwców, które często zestrzeliwały się nawzajem. Ziemia drżała od wstrząsów, uderzeń bomb i rozbijających się samolotów. Jeden z obcych statków wylądował zaledwie dwanaście kilometrów od granic miasta. Południowozachodnie przedmieścia zostały starte z powierzchni ziemi bombami zrzuconymi metodycznie przez odrzutowce na obszar o powierzchni dwudziestu kilometrów kwadratowych, gdzie miał się rzekomo znajdować statek Obcych. W końcu przyszła wiadomość, że już go tam nie ma. Ale coś trzeba było zrobić. Przez pomyłkę bomby spadały na wiele innych części miasta, jak to bywa przy bombardowaniu z odrzutowców. W śródmieściu nie ocalała ani 140

jedna szyba. Potłuczone na drobne kawałki szkło leżało kilkucentymetrową warstwą na wszystkich ulicach. Uciekinierzy z południowo-zachodniej części Portland musieli przez nie przejść*. Kobiety niosły dzieci i szły w cienkich butach pełnych popękanego szkła, płacząc z bólu.

William Haber stał przy wielkim oknie swego gabinetu w Oregońskim Instytucie Oniologicznym, obserwując krwawe błyskawice erupcji i tańczące w dokach poniżej niego płomienie. Szkło ciągle jeszcze tkwiło w tym oknie, w pobliżu Parku Waszyngtona jeszcze nic nie wylądowało ani nie wybuchło, a wstrząsy, od których rozpadały się całe domy w dolinie rzeki, tu, na wzgórzach, jak dotąd zatrzęsły tylko ramami okiennymi. Bardzo słabo słyszał, jak w zoo ryczą słonie. Czasami na północy pojawiały się smugi niezwykle fioletowego światła, może nad obszarem, gdzie Willamette wpada do Kolumbii. Trudno było dokładnie określić ich położenie w pełnym popiołu, zamglonym półmroku. Duże obszary miasta były ciemne z powodu awarii energetycznej, a w innych słabo mrugały światła, choć latarnie nie były zapalone.

W budynku Instytutu nie było nikogo innego.

Heber spędził cały dzień na próbach odnalezienia Geor-ge'a Orra. Gdy dotychczasowe poszukiwania okazały się daremne, a dalsze stały się niemożliwe z powodu hysterii i postępującego zniszczenia miasta, przyszedł do Instytutu. Musiał większość drogi przejść pieszo i zdeprymowało go to. Człowiek na jego stanowisku, z tak wypełnionym zajęciami czasem, prowadził oczywiście samochód. Lecz akumulator wyczerpał się, a nie mógł dotrzeć do punktu ładowania z powodu tłumów na ulicach. Musiał wysiąść i pójść piechotą pod prąd tłumu, naprzeciw tych wszystkich ludzi, w sam ich

środek. To było nieprzyjemne. Nie lubił tłumów. Po chwili jednak tłum zniknął i Haber znalazł się sam jeden na ogromnym obszarze trawników, zagajników i lasów Parku, co było o wiele gorsze.

Uważał się za wilka-samotnika. Nigdy nie pragnął małżeństwa ani bliskiej przyjaźni, wybrał żmudne badania naukowe przeprowadzane w czasie, gdy inni spali, unikał angażowania się. Swe życie seksualne ograniczał prawie wyłącznie do pojedynczych nocy z półprofesjonalistkami lub, czasami, chłopcami. Wiedział, w których barach, kinach i saunach znajdzie to, czego chce. Dostawał to i odchodził, zanim u niego lub u partnera mogła się rozwinąć jakakolwiek potrzeba tego drugiego. Cenił sobie niezależność i wolną wolę.

Ale stwierdził, że to straszne być samym, zupełnie samym w ogromnym, obojętnym Parku, gdy się śpieszy, prawie biegnie do Instytutu, bo nie ma dokąd pójść. Dotarł na miejsce, ale wszystko było ciche, opuszczone.

Panna Crouch trzymała w szufladzie biurka radio tranzystorowe. Wyjął je i cicho nastawił, żeby posłuchać ostatnich doniesień, a w każdym razie ludzkiego głosu.

Miał tu wszystko, czego potrzebował: dziesiątki łóżek, żywność, automaty z kanapkami i napojami dla nocnych pracowników w laboratoriach snu. Ale nie był głodny. Zamiast tego czuł jakby apatię. Słuchał radia, ale ono nie chciało słuchać jego. Był zupełnie sam, a w samotności nic nie wydawało się rzeczywiste. Potrzebował kogoś, kogokolwiek, do kogo mógłby mówić, musiał komuś powiedzieć, co czuje, żeby się przekonać, czy czuje cokolwiek. Strach przed samotnością był na tyle silny, że prawie wygonił go z Instytutu z 142

powrotem w tłumy, ale apatia przewyciężyła strach. Nie zrobił nic, a noc pociemniała.

Czasami czerwony poblask nad górą Hood bardzo się rozprzestrzenił, a potem znów bladł. Coś dużego spadło w południowo-zachodniej części miasta, niewidocznej z jego gabinetu. Wkrótce chmury zostały oświetlone od spodu silnym blaskiem bijącym chyba z tego kierunku. Haber z radiem w ręku właśnie wychodził na korytarz zobaczyć, co się da. Po schodach wchodzili jacyś ludzie, których przedtem nie słyszał. Przez chwilę po prostu się w nich wpatrywał.

–Doktorze Haber – odezwał się jeden z nich. Orr.

–Najwyższy czas – powiedział Haber kwaśno. – Gdzie się, do diabła, podziewałeś cały dzień? Chodź!

Orr podszedł do niego kulejąc. Lewą stronę twarzy miał spuchniętą i zakrwawioną, rozciętą wargę i stracił pół przedniego zęba. Kobieta, która z nim przyszła, wyglądała na mniej poszkodowaną, ale bardziej zmęczoną. Miała szkliste oczy i drżały jej kolana. Orr posadził ją na kozetce w gabinecie. Haber odezwał się donośnym, lekarskim tonem:

–Czy uderzono ją w głowę?

–Nie. Mieliśmy długi dzień.

–Nic mi nie jest – wymamrotała kobieta, drżąc lekko.

Orr szybko i troskliwie zdjął jej obrzydliwie zabłocone buty i przykrył ją kocem z wielbłądziej wełny, leżącym w nogach kozetki. Haber zastanawiał się, kim ona jest, ale nie poświęcił jej wiele myśli. Zaczynał znów funkcjonować.

–Niech tu sobie odpocznie, nic jej nie będzie. Chodź tutaj, umyj się. Szukałem cię cały dzień. Gdzie się podziewałeś?

–Usiłowałem dotrzeć z powrotem do miasta. Wjechaliśmy jakby w planowe bombardowanie. Wysadzili drogę tuż przed samochodem. Strasznie podskakiwałem. Chyba miałem wywrotkę. Heather jechała za mną i zdążyła się zatrzymać, więc jej samochodowi nic się nie stało i przyjechaliśmy nim. Ale musieliśmy przejechać na Autoroadę Zachodzącego Słońca, bo droga 99 jest wysadzona, a potem trzeba było zostawić samochód na blokadzie przy rezerwacie ptaków. Więc przyszliśmy przez park.

–A skąd, do diabła, szliście? – Haber nalał gorącej wody do umywalki w swej prywatnej łazience i właśnie podawał Orrowi parujący ręcznik, żeby go przyłożył na pokrwawioną twarz.

–Byliśmy w chacie. W Górach Nadbrzeżnych.

–Co ci się stało w nogę?

–Chyba ją stłukłem, kiedy samochód się przewracał. Niech pan posłucha, czy są już w mieście?

–Jeśli wojsko coś wie, to nic nie mówi. Powiedzieli tylko, że kiedy rano wylądowały wielkie statki, rozdzieliły się na małe ruchome jednostki, coś jakby śmigłowce, i rozproszyły się. Są w całej zachodniej części stanu. Doniesienia mówią, że poruszają się powoli, ale jeśli są zestrzelone, to się tego nie rozgłasza.

–Widzieliśmy taką jednostkę. – Twarz Orra wynurzyła się z ręcznika, poznaczona fioletowymi siniakami, ale już mniej wstrząsająca po zmyciu krwi i błota. – To musiało być to. Małe, srebrzyste, jakieś dziesięć metrów nad ziemią, nad pastwiskiem w pobliżu Równin Północnych. Poruszało się jakby skokami. Nie wyglądało na twór ziemski. Czy Obcy walczą z nami, czy zestrzeliwiają samoloty? 144

–W radiu nic nie mówią. Nie mówi się o żadnych stratach oprócz cywilnych. Chodź teraz, napij się kawy i coś zjedz. A potem, na Boga, odbędziemy sesję terapeutyczną w środku piekła i skończymy z tym idiotycznym bałaganem, jakiego narobiłeś. – Przygotował już wcześniej strzykawkę z pantota-lem sodu, a teraz ujął ramię Orra i zrobił mu zastrzyk bez ostrzeżenia czy przeprosin.

–Po to tu przyszedłem. Ale nie wiem czy...

–Czy dasz radę? Dasz. Chodź. – Orr znów kręcił się przy tej kobiecie. – Nic jej nie jest. Śpi, nie przeszkadzaj jej, potrzebuje snu. Chodźże! – Wziął Orra na dół do automatów z żywnością i dał mu kanapkę z pieczoną wołowiną, drugą z jajkiem i pomidorem, dwa jabłka, cztery baloniki czekoladowe i dwie filiżanki kawy. Usiedli

przy stole w Laboratorium Snu Jeden, odsuwając rozłożony pasjans, porzucony o świcie, gdy zaczęły wyć syreny. – Dobra. Jedz. Jeśli uważasz, że uporządkowanie tego bałaganu cię przerasta, daruj sobie. Pracowałem nad Wzmacniaczem i on to potrafi zrobić za ciebie. Mam wzór, matrycę emisji twego mózgu podczas śnienia efektywnego. Przez cały miesiąc niepotrzebnie szukałem jakiejś całości, fali omega. Ona nie istnieje. To po prostu wzór utworzony z kombinacji innych fal i rozpracowałem go przez te ostatnie parę dni, zanim rozpętało się – piekło. Cykl trwa dziewięćdziesiąt siedem sekund. To ci nic nie mówi, chociaż chodzi tu o działalność twego własnego cholernego mózgu. Ujmijmy to tak: kiedy śniesz efektywnie, cały twój mózg wysyła fale zsynchronizowane w złożone wzory, które powtarzają się od początku co dziewięćdziesiąt siedem sekund. Jest to jakby efekt kontrapunktu, który tak się ma do zwykłych wykresów stanu M jak Wielka Fuga Beetho¹⁴⁵

vena do "Wlazł kotek na plotek". Wszystko to jest niezwykle złożone, a jednocześnie spójne i powtarzalne. Dlatego też mogę te wzory wprowadzić bezpośrednio do twojego mózgu, i to wzmocnione. Wzmacniacz jest całkowicie przygotowany, gotowy dla ciebie i nareszcie będzie pasował do tego, co masz w głowie! Kiedy tym razem coś ci się przyśni, będzie to wielki sen, mój drogi. Na tyle wielki, aby zatrzymać tę zwariowaną inwazję i przenieść nas od razu do innego kontinuum, gdzie będziemy mogli zacząć wszystko od nowa. Bo przecież właśnie to robisz. Nie zmieniasz niczego, nawet życia, tylko przesuwasz całe kontinuum.

–To miło móc z panem o tym porozmawiać – powiedział Orr. To albo coś podobnego. Zjadł kanapki niewiarygodnie szybko, mimo rozciętych ust i złamanego zęba i teraz pochłaniał batonik. W tym, co powiedział, tkwiła chyba ironia, ale Haber był zbyt zajęty, aby zawracać sobie tym głowę.

–Słuchaj. Czy ta inwazja po prostu się zdarzyła, czy zdarzyła się, bo opuściłeś sesję?

–Wyśniłem ją.

–Pozwoliłeś sobie na niekontrolowany sen efektywny? – Głos Habera zabrzmiał ostrym gniewem. Był zbyt opiekuńczy, zbyt swobodny względem Orra. Brak odpowiedzialności Orra spowodował śmierć wielu niewinnych ludzi, zniszczenia i panikę w mieście. Musi stawić czoła temu, co zrobił.

–Nie – zaczął Orr, gdy dała się słyszeć potężna eksplozja. Budynek podskoczył, rozbrzmiał echem, zatrzeszczał, aparatura elektroniczna zatańczyła obok rzędu pustych łóżek, kawa zachlupotała w filiżankach. – To wulkan czy lotnictwo? – powiedział Orr i mimo naturalnego strachu, jaki ogarnął go po wybuchu, Haber zauważył, że Orr wcale nie wygląda na ¹⁴⁶

przerażonego. Jego reakcje byty całkowicie nienormalne. W piątek mało się nie

załamał z powodu jakiegoś drobnego problemu etycznego, a we środę, w samym środku Apokalipsy, jest opanowany i spokojny. Wydawało się, że nie boi się o siebie. Ale musi się bać. Jeśli Haber się boi, to Orr też musi. Tłumi strach. Haber nagle zastanowił się, czy skoro Orr wyśnił tę inwazję, może uważa, że to tylko sen?

A jeśli to prawda?

Czyj sen?

–Lepiej chodźmy na górę – powiedział Haber wstając. Czuł rosnącą niecierpliwość i irytację; podniecenie robiło się zbyt duże. – Właściwie to kto to jest ta kobieta z tobą?

–To panna Lelache – odparł Orr, patrząc na niego dziwnie. – Ta prawniczka. Była tutaj w piątek.

–Jak to się stało, że jest z tobą?

–Szukała mnie, przyjechała za mną do chaty.

–Wyjaśnisz to wszystko później – powiedział Haber. Nie miał czasu, żeby go tracić na takie drobiazgi. Musieli się wydostać, wydostać się z tego płonącego, wybuchającego świata.

W chwili, gdy wchodzili do gabinetu Habera, szkło z wielkiego podwójnego okna wystrzeliło na zewnątrz z przeraźliwym, śpiewnym dźwiękiem, wysrane wraz z powietrzem. Obaj mężczyźni poczuli, że posuwają się w kierunku okna jakby do ssawki odkurzacza. Wtem wszystko pobielalo, dosłownie wszystko. Przewrócili się.

Nie zdawali sobie sprawy z żadnego hałasu.

Kiedy Haber odzyskał wzrok, wstał chwiejnie, trzymając się biurka. Orr był już przy kozetce, usiłując uspokoić oszołomioną kobietę. W gabinecie panował chłód: wiosenne powietrze pełne było zimnej wilgoci, wlewającej się pustymi

oknami, i pachniało dymem, spaloną izolacją, ozonem i śmiercią.

–Chyba powinniśmy zejść do piwnic, nie sądzisz? – odezwała się panna Leleche spokojnym tonem, choć cała się trzęsała,

–Niech pani idzie – powiedział Haber. – My tu musimy jeszcze trochę zostać.

–Tutaj?

–Tu jest Wzmacniacz. Nie włącza się go i nie wyłącza z sieci jak przenośny telewizor! Niech pani schodzi do piwnic, a my dojdziemy, jak tylko będziemy mogli.

–Chce go pan teraz uśpić? – powiedziała kobieta, a drzewa na stokach wzgórza nagle wybuchły jasnożółtymi kulami ognia. Erupcja góry Hood zbladła wobec wydarzeń fizycznie bliższych, chociaż ziemia delikatnie drgała od paru minut, wstrząsana jakby głębokim paraliżem, powodującym, że ręka i umysł drżały współczująco razem z nią.

–Ma pani cholerną rację, że tak. Niech pani schodzi do piwnicy, potrzebuję kozetki. Połóż się, George... Słuchaj, ty, w podziemiach tuż za portiernią zobaczysz drzwi z napisem "Generator awaryjny". Wejdź tam i znajdź dźwignię START. Połóż na niej rękę, a gdy zgaśnie światło, przesun ją. Trzeba ją mocno popchnąć do góry. Idź!

Poszła. Ciągle drżała, ale się uśmiechała. Wychodząc chwyciła przelotnie Orra za rękę i powiedziała:

–Miłych snów, George.

–Nie martw się – odparł Orr. – Wszystko w porządku.

–Zamknij się – warknął Haber. Włączył hipnotaśmę, którą sam nagrał, ale Orr nawet nie zwracał na nią uwagi, a hałas eksplozji i odgłosy pożaru zagłuszyły ją. – Zamknij oczy! – 148

rozkazał Haber, położył rękę na gardle Orra i zwiększył głośność. "Odpręż się", powiedział jego własny, grzmiący głos. 44 Jest ci wygodnie, czujesz się odprężony, Wejdiesz w..." Budynek podskoczył jak jagnię na wiosnę i osiadł ukośnie. W brudnoczerwonym, nieprzejrzystym blasku za oknem pozbawionym szyb coś się pojawiło: duży jajowaty obiekt poruszający się w powietrzu jakby skokami. Zmierzał wprost do okna.

–Musimy stąd wyjść – Haber przekrzyzczał własny głos a potem zdał sobie sprawę,

że Orr znajduje się już w hipnozie. Wyłączył taśmę i pochylił się tak, że mógł mówić Orrowi do ucha. – Wstrzymaj inwazję! – krzyknął. – Pokój, pokój, wyśnij, że ze wszystkimi jesteśmy w stanie pokoju! A teraz zaśnij. Antwerpia! – i włączył Wzmacniacz.

Nie miał jednak czasu, aby spojrzeć na EEG Orra. Jajowaty kształt unosił się tuż za oknem., Jego tępy dziób, oświetlony ponuro odblaskami płonącego miasta, celował prosto w Habera. Skulił się przy kozetce, czując się straszliwie miękki i odsłonięty, usiłując osłonić Wzmacniacz swym nieodpowiednim ciałem, rozkrzyżowując na nim ręce. Wyciągnął szyję w tył ponad ramieniem, aby obserwować statek Obcych. Ten przybliżył się. Dziób wyglądający jak tłusta stal, srebrny od fioletowych smug i błysków, wypełnił całe okno. Coś zatrzeszczało i pękło, gdy wepchnął się we framugę. Haber zaszlochał głośno z przerażenia, ale pozostał rozciągnięty pomiędzy Obcym i Wzmacniaczem.

Dziób zatrzymał się i wypuścił długą cienką mackę, która wiła się pytająco w powietrzu. Jej koniec, wzniesiony jak kobra, zatrzymywał się co pewien czas, w końcu skierował się w stronę Habera. Następnie cofnął się z sykiem i trzaskiem

jak metalowa miarka i ze statku zaczął się wydobywać wysoki, buczący dźwięk. Metalowy parapet okna zazgrzytał i wykrzywił się. Dziób statku zawirował i spadł na podłogę. Coś wychynęło z dziury, która się za nim rozwarła.

"Ogromny żółw" – pomyślał Haber z beznamiętnym przerażeniem. Po chwili zdał sobie sprawę, że chroni go jakiś kombinezon, sprawiający wrażenie, że to gruby, zielonkawy, opancerzony, nieciekawie wyglądający ogromny żółw morski stoi na tylnych łapach.

Stał bez ruchu obok biurka Habera. Bardzo powoli unióś lewe ramię, kierując na Habera metaliczne urządzenie z dyszą.

Doktor stanął oko w oko ze śmiercią.

Ze stawu łokciowego doszedł go bezbarwny, płaski głos.

–Nie czyn innym tego, czego nie chcesz, aby inni czynili tobie – powiedział.

Haber wytrzeszczył oczy, czując, jak zamiera mu serce. Ogromne, ciężkie metalowe ramię znów się uniosło.

–Usiłujemy przybyć w pokoju – powiedział łokieć na jednym tonie. – Proszę poinformować innych, że to pokojowe przybycie. Nie mamy broni. W ślad za bezpodstawnym strachem idzie wielkie samozniszczenie. Proszę zaprzestać niszczenia siebie i innych. Nie mamy broni. Jesteśmy nieagre-sywnym gatunkiem,

–Nie... nie... nie mam kontroli nad lotnictwem – wyjąkał Haber.

–Właśnie jest nawiązywany kontakt z osobami w latających pojazdach – powiedział staw łokciowy istoty. – Czy to obiekt wojskowy.

Pierwszy wyraz wskazywał, że to jest pytanie.

–Nie – odparł Haber. – Nie, nic takiego... 150

–W takim razie przepraszam za bezpodstawne najście. – Ogromna, opancerzona postać lekko zahuczała i jakby się zawahała. – Co za urządzenie – powiedziała, wskazując prawym stawem łokciowym na maszynę podłączoną do głowy śpiącego mężczyzny.

–Encefalograf, maszyna, która rejestruje elektryczną aktywność mózgu...

–Wartościowe – powiedział Obcy i zrobił krótki, kontrolowany krok w kierunku

kozetki, jakby zapragnął popatrzeć. – Pojedyncza osoba jest iahklu. Maszyna rejestrująca może to rejestruje. Czy caty wasz gatunek potrafi iahklu.

–Ja nie... nie znam tego terminu, czy możesz opisać..

Postać nieco zabuczała, uniosła lewe ramię ponad głowę (która, jak u żółwia, ledwo wystawała nad ogromnymi spadzistymi ramionami i pancerzem) i powiedziała:

–Proszę, wybaczyć. Nieprzekazywalne przez urządzenie komunikacyjne pośpieszenie wynalezione w bardzo niedawnej przeszłości. Proszę wybaczyć. Konieczne jest, abyśmy w bardzo bliskiej przyszłości szybko podążali w kierunku innych pojedynczych osób uległych panice i zdolnych zniszczyć siebie i innych. Dziękuję bardzo. – 1 wczuł się z powrotem do dziobu statku.

Haber patrzył, jak wielkie, okrągłe podeszwy stóp znikają w ciemnym otworze.

Stożek dziobowy podskoczył z podłogi i zakręcił się sprawnie na miejsce. Haber miał przemożne wrażenie, że nie działa mechanicznie, ale czasowo, powtarzając poprzednie czynności w odwróconej kolejności, dokładnie jak film puszczone od końca. Statek Obcych wycofał się wstrząsając gabinetem i wy151

dzierając ze ściany resztę framugi okna z paskudnym hałasem, po czym zniknął w upiornym mroku na zewnątrz.

Dopiero teraz Haber zdał sobie sprawę, że już od pewnego czasu nie było słyhać narastającego huku eksplozji. W gruncie rzeczy zrobiło się dość cicho. Wszystko trochę drżało, ale to od góry, nie bomb. Daleko za rzeką wydzierały się smutno syreny. George Orr leżał nieruchomo na kozetce, oddychając nieregularnie. Skaleczenia i opuchlizna wyglądały nieprzyjemnie na bladej twarzy. Przez strzaskane okno ciągle napływało chłodne, duszące powietrze pełne popiołu i dymu. Nic się nie zmieniło. Niczego nie odczytał. Czyżby nic jeszcze nie zrobił? Pod zamkniętymi powiekami było widać lekki ruch gałek ocznych, a więc jeszcze śnił. Nie mogło być inaczej, skoro Wzmacniacz miał przewagę nad impulsami jego własnego mózgu. Dlaczego nie zmienił kontinuum, dlaczego nie przerzucił ich do pokojowego świata, jak kazał mu Haber? Sugestia hipnotyczna nie była jasna albo wystarczająco silna. Muszą zacząć od początku. Haber wyłączył Wzmacniacz i trzykrotnie wymówił imię Orra.

–Nie siadaj, jesteś jeszcze podłączony do Wzmacniacza. Co ci się śniło?

Orr mówił chrapliwie i powoli, jeszcze niezupełnie obudzony.

–Był tu Obcy. Tutaj. W gabinecie. Wyszedł z dziobu jednego z tych podskakujących statków. W oknie. Rozmawiał pan z nim.

–Ale to nie sen! To się zdarzyło naprawdę! Cholera, musimy to powtórzyć. Ten wybuch przed paroma minutami mógł być spowodowany bombą atomową, musimy się dostać 152

do innego kontinuum, wszyscy możemy już być martwi od promieniowania...

–Och, nie tym razem – przerwał Orr, siadając i zgarniając z głowy elektrody, jakby były zdechłymi wszami. – Oczywiście, że to się zdarzyło naprawdę. Sen efektywny to rzeczywistość, doktorze Haber.

Haber wytrzeszczył na niego oczy.

–Przypuszczam, że Wzmacniacz zwiększył bezpośredniość wydarzeń – powiedział Orr nadal z niezwykłym spokojem. Przez chwilę jakby się nad czymś zastanawiał. – Niech pan posłucha, czy może pan zadzwonić do Waszyngtonu?

–Po co?

–Po prostu mogliby wysłuchać słynnego naukowca, znajdującego się w samym środku tego wszystkiego. Będą szukać wyjaśnienia. Czy zna pan kogoś w rządzie, do kogo mógłby pan zadzwonić? Może ministra ZOOS? Mógłby mu pan powiedzieć, że to wszystko to nieporozumienie, że to ani inwazja, ani atak Obcych. Po prostu dopiero po wylądowaniu zdali sobie sprawę, że ludzie porozumiewają się słownie. Nawet nie wiedzieli, iż myśleliśmy, że jesteśmy z nimi w stanie wojny... Gdyby mógł pan to powiedzieć komuś, kto ma dojście do prezydenta. Im prędzej Waszyngton odwoła wojsko, tym mniej zginie tu ludzi. Giną tylko cywile. Obcy nie atakują żołnierzy, nie są nawet uzbrojeni i mam wrażenie, że w tych kombinezonach są niezniszczalni. Ale jeśli nie powstrzyma się lotnictwa, całe miasto wyleci w powietrze. Niech pan spróbuje, doktorze Haber. Mogą pana posłuchać.

Haber czuł, że Orr ma rację. Bezpodstawnie, bo była to logika szaleńca, ale stanowiło to jego szansę. Orr mówił z niezaprzeczalnym przekonaniem pochodzącym ze snu, w

którym wolna woła nie istnieje: zrób to, musisz to zrobić, to trzeba zrobić.

Dlaczego takim talentem obdarowano głupca, takie bierne nic? Dlaczego Orr jest taki pewny siebie i ma rację, a mocny, aktywny, stanowczy mężczyzna jest bezwolny, zmuszony posługiwać się słabym narzędziem, a nawet go słuchać? Przeszło mu to przez myśl nie po raz pierwszy, ale jednocześnie podchodził już do biurka, do telefonu. Usiadł i wykręcił bezpośredni numer do biur ZOOS w Waszyngtonie. Dodzwonił się od razu, obsłużony przez centralę Telefonów Federalnych w Utah.

Czekając na połączenie z ministrem Zdrowia, Oświaty i Opieki Społecznej, którego nieźle znał, zwrócił się do Orra:

–Dlaczego nie przesunąłeś nas do innego kontinuum, gdzie ta okropność po prostu nie zaistniała? To byłoby o wiele łatwiejsze. I nikt by nie zginął. Dlaczego po prostu nie pozbyłeś się Obcych?

–Ja nie wybieram – odparł Orr. – Jeszcze pan tego nie rozumie? Jestem wykonawcą.

–Owszem, wykonujesz moje sugestie hipnotyczne, ale nigdy do końca, nigdy bezpośrednio i w prosty sposób...

–Nie to miałem na myśli – wtrącił Orr, ale na linii znalazła się osobista sekretarka Rantona. Gdy Haber rozmawiał, Orr wyniknął się na dół, na pewno żeby zobaczyć, co z tą kobietą. W porządku. Rozmawiając z sekretarką, a potem z samym ministrem, Haber nabrał przekonania, że wszystko będzie już dobrze, że Obcy w gruncie rzeczy są całkowicie nieagre-sywni i że przekona o tym Rantona, a przez niego prezydenta i jego generałów. Orr nie był już potrzebny. Haber widzi, co trzeba zrobić, i wyprowadzi kraj z kryzysu. 154

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

We śnie kto pije wino, na jawie rankiem

zalewa się łzami

Zhuangzi II

Był trzeci tydzień kwietnia. W zeszłym tygodniu Orr umówił się z Heather Lelache "U Dave'a" na lunch we czwartek, ale ledwo wyszedł z biura, poczuł, że nic z tego.

W głowie rozpychało mu się tyle różnych wspomnień, tyle splątanych doświadczeń

życiowych, że właściwie nie próbował już niczego nie pamiętać. Przyjmował to, co jest. Żył prawie jak dziecko, tylko w obecnej rzeczywistości. Nie dziwiło go nic i zaskakiwało wszystko.

Jego biuro mieściło się na trzecim piętrze Urzędu Planowania Cywilnego. Piastował funkcję najwyższą ze wszystkich poprzednich: kierował sekcją Południowo-wschodnich Parków Podmiejskich w Komisji Planowania Miejskiego. Nigdy nie lubił tej pracy.

Zawsze udawało mu się zostać jakimś kreślarzem aż do snu w zeszły poniedziałek, który żonglując urzędami federalnymi i stanowymi zgodnie z jakimś planem Habera tak dokładnie przerobił system socjalny, że Orr wylądował na stanowisku miejskiego biurokraty. W żadnym ze swoich istnień nie miał pracy, która by mu zupełnie odpowiadała. Wiedział, że jest najlepszy w projektowaniu, realizowaniu właściwego kształtu i formy, ale na tę umiejętność nigdy nie było popytu. Lecz ta praca, którą miał (obecnie) od pięciu lat i której nie lubił równie długo, była zupełnie chybiona. Martwiło go to.

Aż do zeszłego tygodnia istniała zasadnicza ciągłość i spójność między wszystkimi jego egzystencjami wynikającymi z jego snów. Zawsze był jakimś kreślarzem, zawsze mieszkał przy Corbett Avenue. Ta ciągłość trwała nawet w życiu, które skończyło się na betonowych stopniach wypalonego domu w umierającym mieście w zniszczonym świecie, nawet w tamtym życiu, w którym nie było już żadnej pracy i żadnych domów. I we wszystkich następnych snach czy istnieniach wiele innych ważnych rzeczy także się nie zmieniło. Poprawił trochę miejscowy klimat, ale niewiele, i efekt cieplarniany także nie zniknął, będąc stałym dziedzictwem połowy ubiegłego wieku. Geografia była nietknięta: kontynenty zostały na swoich miejscach. Podobnie granice międzynarodowe, natura ludzka i tak dalej. Jeśli Haber zasugerował mu, żeby wyśnił szlachetniejszy gatunek ludzi, nie udało mu się to.

Ale Haber uczył się, jak lepiej programować jego sny. Te ostatnie dwie sesje wprowadziły dość radykalne zmiany. Ciągłe miał mieszkanie przy Corbett Avenue, te same trzy pokoje delikatnie pachnące marihuaną dozorczy, ale pracował jako urzędnik w ogromnym budynku w śródmieściu, a śródmieście zmieniło się nie do poznania. Sprawiało niemal takie samo wrażenie i strzelało prawie tak wysoko, jak wtedy, gdy nie istniało przeludnienie, a było o wiele bardziej wytrzymałe i ładniejsze. Wszystko toczyło się teraz zupełnie inaczej.

O dziwo, Albert M. Merdle nadal piastował urząd prezydenta Stanów Zjednoczonych. Wydawało się, że tak jak kontynenty, jest niezmienny. Ale Stany Zjednoczone nie były już potęgą jak dawniej, podobnie jak żadne pojedyncze państwo.

W Portland mieściło się teraz Światowe Centrum Planowania, główna agencja ponadnarodowej Federacji Naro-156

dów. Portland było, jak głosiły widokówki, Stolicą Planety. Mieszkało w nim dwa miliony ludzi. W całym śródmieściu pełno było ogromnych budynków ŚCP, z których żaden nie miał więcej niż dwanaście lat, starannie zaprojektowanych, otoczonych zielonymi parkami i cienistymi promenadami. Wypełniały je tysiące ludzi, w większości pracowników Fed-Naru i ŚCP. Wśród nich chodzili gęsiego turyści z Ułan Ba-tor czy Santiago de Chile, z zadartymi głowami słuchając umieszczonych w uchu elektronicznych przewodników. Imponujący i pełen życia widok: ogromne, piękne budynki, zadbane trawniki, tłumy dobrze ubranych ludzi. Na George'u sprawiało to dość futurystyczne wrażenie.

Oczywiście nie mógł znaleźć "U Dave'a". Nie mógł nawet znaleźć Ankeny Street. Pamiętał ją tak wyraźnie z poprzednich licznych egzystencji, że dopóki nie dotarł na miejsce, nie przyjmował zapewnień obecnej pamięci, w której żadna Ankeny Street

po prostu nie istniała. Tani, gdzie powinna się znajdować, z trawników i różaneczników strzelał w niebo Budynek Koordynacji Badań Naukowych i Rozwoju. Nawet nie zawracał sobie głowy szukaniem Budynku Pendletona. Co prawda Morrison Street była na swoim miejscu jako szeroka promenada ze świeżo zasadzonymi wzdłuż jej środkowej osi drzewkami pomarańczowymi, ale wzdłuż niej nie stały już budynki w neoinkaskim stylu – i nigdy ich tam nie było.

Nie pamiętał dokładnie nazwy firmy Heather. "Forman, Esserbeck i Rutti" czy "Forman, Esserbeck, Goodhue i Rut-ti"? Znalazł budkę telefoniczną i poszukał firmy. W książce telefonicznej nie było niczego takiego, ale figurował w niej jakiś P. Esserbeck, prawnik. Zadzwoił tam i spytał, ale żadna panna Lelache u niego nie pracowała. W końcu zebrał się

na odwagę i poszukał jej nazwiska. W książce telefonicznej nie było nikogo takiego.

Pomyślał, że może nadał istnieć, ale pod innym nazwiskiem. Jej matka mogła odrzucić nazwisko męża po jego odjeździe do Afryki. Albo mogła zachować nazwisko po mężu, gdy została wdową. Ale nie miał najmniejszego pojęcia, jak ono brzmiało (nazwisko jej męża). Mogła nigdy go nie nosić. Wiele kobiet nie zmieniało już nazwiska przy ślubie, uważając, że ten zwyczaj to przeżytek kobiecego poddaństwa. Ale na co przydadzą się takie spekulacje? Może Heat-her Lelache w ogóle nie istnieje: tym razem mogła się wcale nie urodzić.

Przyjąwszy to, Orr stanął przed kolejną możliwością. "Gdyby teraz przeszła obok, szukając mnie, to czy bym ją

rozpoznał?" – pomyślał.

Była brązowa. Czysty, ciemny, bursztynowy brąz, jak bałtycki bursztyn lub filiżanka mocnej cejlońskiej herbaty. Ale obok nie przechodzili żadeni brązowi ludzie. Ani czarni, ani biali, ani żółci, ani czerwoni. Przybyli ze wszystkich części świata, aby pracować w Światowym Centrum Planowania albo tylko na nie popatrzeć. Pochodzili z Tajlandii, Argentyny, Hondurasu, Lichtensteinu. Ale wszyscy nosili jednakowe ubrania – spodnie, tunika, peleryna przeciwdeszczowa – a pod spodem wszyscy byli tego samego koloru. Byli szarzy.

Doktor Haber był zachwycony, kiedy to się stało. Było to w sobotę, podczas ich pierwszej od tygodnia sesji. Przez pięć minut stał w łazience podśmiewując się i podziwiając swoje odbicie w lustrze, w ten sposób przyglądając się Orrowi. 158

–Choć raz zrobiłeś coś oszczędnie, George! Na Boga, twój umysł chyba zaczyna ze mną współpracować! Czy wiesz, co ci zasugerowałem?

Bo ostatnio Haber mówił Orrowi dokładnie, co robi i co zamierza osiągnąć z pomocą jego snów. Nie pomagało to wiele.

Orr spuścił wzrok na swe własne bladoszare dłonie i krótkie szare paznokcie.

–Przypuszczam, że zasugerował pan, aby nie było problemów z kolorem skóry. Żadnych kwestii rasowych.

–Dokładnie tak. I oczywiście wyobrażałem sobie rozwiązanie polityczne i etyczne. Zamiast czego-twoje pierwotne procesy myślowe jak zwykle wybrały krótszą drogę, co zwykle okazuje się krótkim spięciem, ale tym razem dotarły do sedna sprawy. Uczyniły całkowitą zmianę na poziomie biologicznym. Nigdy nie było żadnego

problemu rasowego! Ty i ja jesteśmy jedynymi ludźmi na świecie, George, którzy wiedzą, że istniał kiedykolwiek problem rasowy! Jesteś w stanie to sobie wyobrazić? Nie było żadnych pariasów w Indiach, nikogo nigdy nie zlinczowano w Alabamie, nie było żadnych masakr w Johannesburgu! Z problemu wojny już wyrosliśmy, a problemu rasowego nigdy nie mieliśmy! W całej historii rodzaju ludzkiego nikt nigdy nie cierpiał z powodu koloru skóry. Uczysz się, George! Wbrew samemu sobie będziesz największym dobroczyńcą, jakiego miała ludzkość. Tyle czasu i energii stracono na poszukiwania religijnego rozwiązania kwestii cierpienia, a tu zjawiasz się ty i sprawiasz, że Budda i Jezus, i cała reszta wyglądają jak fakirzy, którymi są. Oni usiłowali uciec od zła, a my je wykorzeniamy, pozbywając się go po kawałku!

Orrowi robiło się nieswojo od tryumfalnych peanów Ha-bera, więc nie słuchał ich. Zamiast tego poszperał w pamięci i nie znalazł w niej żadnej przemowy na polu bitwy pod Get-tysburgiem ani mężczyzny znanego historii jako Martin Lut-her King. Ale wydawało mu się, że to niewielka cena do zapłacenia za całkowite wsteczne obalenie uprzedzeń rasowych, i nic nie powiedział.

Lecz teraz nigdy nie znać kobiety o brązowej skórze, brązowej skórze i sztywnych włosach ostrzyżonych na krótko, tak że wyraźnie było widać elegancką linię czaszki zakrzywioną jak u wazy z brązu – nie, to nie było w porządku! To było nie do zniesienia. Żeby każda dusza na ziemi miała ciało koloru okrętu wojennego: nie!

Pomyślał, że dlatego tu jej nie ma. Nie mogła się urodzić szarą. Jej kolor, brąz, stanowił jej zasadniczą część i nie był przypadkowy. Jej gniew, nieśmiałość, zuchwałość, łagodność, wszystko to wchodziło w skład jej mieszanej natury, ciemnej i przejrzystej jak bałtycki bursztyn. Nie mogłaby istnieć w świecie szarych ludzi. Nie urodziła się.

Ale on tak. On mógł się urodzić w każdym świecie. Nie miał charakteru. Był grudką gliny, nieobrobionym kłosem drewna.

A doktor Haber – on się urodził. Nic nie mogło go przed tym powstrzymać. Z każdą inkarnacją robił się coraz większy.

Podczas podróży z chaty do walczącego Portland tego straszego dnia, kiedy podskakiwali na wiejskiej drodze w charczącym parowcu Hertza, Heather powiedziała mu, że usiłowała zasugerować mu, żeby wyśnił ulepszony Habe-ra, tak jak uzgodnili. Od tego czasu Haber przynajmniej był szczery względem Orra w sprawach swych machinacji. Cho-160

cięż "szczery" nie było dobrym słowem. Haber był zbyt złożoną osobą na szczerość. Z cebuli mogła schodzić warstwa za warstwą i nie odsłaniać nic oprócz kolejnych warstw cebuli.

To odsłonięcie jednej warstwy było jedną zmianą w nim, a mogła być spowodowana nie snem efektywnym, lecz zmianą warunków. Był tak teraz pewny siebie, że nie musiał ukrywać swych celów czy oszukiwać Orra. Mógł go po prostu zmusić. Szansa Orra na uwolnienie się od niego była mniejsza niż kiedykolwiek. Dobrowolną Terapię znano teraz jako Osobistą Kontrolę Opiekuńczą, ale zawierała te same kru-czki prawne i żaden prawnik nie wyobrażył sobie reprezentowania pacjenta przeciwko Williamowi Haberowi. Był ważnym, niezwykle ważnym człowiekiem: dyrektorem ULBIR czyli samego ośrodka Światowego Centrum Planowania, miejsca, w którym podejmowano wielkie decyzje. Zawsze chciał władzy, aby czynić dobro. Teraz ją miał.

Z tego punktu widzenia pozostał całkowicie wierny człowiekowi, jakiego spotkał po raz pierwszy Orr, jowialnemu i zamkniętemu w sobie, stojącemu pod ścienną fotografią góry Hood w obskurnym gabinecie we Wschodnim Wieżowcu Willamette. Nie zmienił się, a po prostu urósł.

Żądza władzy nie istnieje bez wzrostu. Osiągnięcie celu anuluje ją. Aby istnieć, żądza władzy musi wzrastać przy każdym spełnieniu, czyniąc z niego jedynie stopień do kolejnego spełnienia. Im większa jest uzyskana władza, tym bardziej rośnie apetyt na nią. A ponieważ nie istniała widzialna granica władzy, jaką dzierżył Haber za pośrednictwem snów Orra, jego pragnienie naprawy świata było nieograniczone.

Przechodzący Obcy lekko potrącił Orra w tłumie na Promenadzie Morrisona i przeprosił bezbarwnie z uniesionego

lewego łokcia. Obcy szybko nauczyli się nie celować łokciami w ludzi, skoro zdali sobie sprawę, że ich to niepokoi. Orr uniósł wzrok, zaskoczony. Prawie zapomniał o Obcych od czasu kryzysu w Prima Aprilis.

W obecnym stanie rzeczy – lub kontinuum, jak uparcie nazywał to Haber – lądowanie Obcych, jak sobie przypomniał, nie było taką katastrofą dla Oregonu, NASA i lotnictwa. Zamiast pośpiesznie wynajdować pod deszczem bomb i napalmu komputery tłumaczące, przywieźli je z Księżycy, i zanim wylądowali, krążyli w powietrzu, ogłaszając swe pokojowe intencje, przepraszając za Wojnę w Kosmosie, która była pomyłką, i prosząc o instrukcje. Odczuwano oczywiście niepokój, ale nie było paniki. Można się było prawie wzruszyć, słuchając bezbarwnych głosów we wszystkich programach radia i telewizji, powtarzających, że zniszczenie Kopuły Księżycowej i rosyjskiej stacji orbitalnej były niezamierzonym skutkiem ich niezdarnych prób nawiązania kontaktu, że uznali pociski Ziemskiej Floty Kosmicznej za nasze własne niezdarne próby nawiązania kontaktu, że bardzo przepraszają i że skoro już opanowali ludzkie kanały komunikacji takie jak mowa, pragną naprawić krzywdy.

ŚCP, założone w Portland po przeminieciu Lat Zarazy, poradziło sobie z nimi i utrzymało spokój wśród ludności i generałów. Kiedy teraz Orr o tym myślał, zdał sobie sprawę, że nie stało się to pierwszego kwietnia przed paroma tygodniami, ale w lutym zeszłego roku – przed czternastoma miesiącami. Obcym zezwolono na lądowanie, ustanowiono z nimi poprawne stosunki i w końcu pozwolono im opuścić pilnie strzeżone lądowisko w pobliżu góry Steens na oregońskiej pustyni i obcować z ludźmi. Kilku z nich dzieli 162

teraz odbudowaną Kopułę Księżycową z naukowcami Fed-Naru, a parę ich tysięcy jest na Ziemi. To wszyscy, jacy istnieją, a przynajmniej wszyscy, jacy przylecieli. Bardzo mało podobnych szczegółów podawano do publicznej wiadomości. Urodzeni w metanowej atmosferze planety krążącej wokół Aldebarana, na Ziemi i Księżycu musieli stale nosić dziwaczne żółwiopodobne kombinezony, ale chyba im to nie przeszkadzało. Orr właściwie nie wiedział, jak wyglądają naprawdę, bez kombinezonów. Nie mogli z nich wyjść, a nie rysowali. W gruncie rzeczy ich komunikacja z istotami ludzkimi ograniczała się do emisji mowy z lewego łokcia i jakiegoś odbiornika słuchowego: nie był nawet pewien, czy widzą, czy mają jakiś narząd zmysłu wrażliwy na widzialny odcinek widma. Istniały ogromne obszary, na których porozumienie nie było możliwe. To tak jak kwestia delfinów, tylko o wiele trudniejsza. Jednak po zaakceptowaniu ich nieagresywności przez ŚCP i przy ich oczywistej małej liczebności i jasności celów, zostali z niejaką skwapliwością przyjęci do ziemskiego społeczeństwa. Miło było popatrzeć na kogoś innego. Wydawało się, że zostaną, jeśli się im na to pozwoli. Niektórzy z nich zaczęli już prowadzić drobne

interesy, bo chyba dobrzy byli w sprzedawaniu i organizowaniu, tak jak w pilotażu kosmicznym, którą to wiedzę natychmiast podzielili się z ziemskimi naukowcami. Nie wypowiedzieli się jeszcze, na co liczą w zamian, dlaczego przybyli na Ziemię. Wydawało się, że po prostu im się tu podoba. Ponieważ zachowywali się jak pracownicy, spokojni i przestrzegający prawa obywatele Ziemi, plotki o "przejmowaniu firm przez Obcych" i "pozaziemskiej infiltracji" stały się domeną paranoidalnych polityków z wymierających odłamów ruchów nacjonalistycznych

i tych ludzi, którzy rozmawiali z "prawdziwymi" kosmitami z latających talerzy.

Wyglądało, że jedyną pozostałością tego straszego pierwszego dnia kwietnia był powrót góry Hood do statusu aktywnego wulkanu. Tym razem nie trafiła w nią żadna bomba, bo żadnych bomb nie zrzucano. Po prostu się obudziła. Wyływał teraz z niej na północ długi, szarobrunatny pióropusz dymu. Zigzag i Rhododendron podzieliły los Hercula-num I Pompejów. Ostatnio przy małym starym kraterze w Parku Góry Tabor, w granicach miasta, otworzyła się fu-marola. Ludzie z okolic góry Tabor przeprowadzali się do prosperujących nowych przedmieść West Eastmont, Chestnut Hill Estates i Sunny Slopes Subdivision. Mogli żyć z górą Hood dymiącą delikatnie na horyzoncie, ale erupcja po drugiej stronie ulicy to za dużo.

W zatłoczonym barze Orr kupił talerz ryby z frytkami bez smaku i afrykańskim sosem orzechowym. Jedząc pomyślał ze smutkiem, że raz wystawił ją do wiatru "U Dave'a", a teraz zrobiła to ona.

Nie potrafił znieść żalu i straty. Żalu po śnie. Straty kobiety, która nigdy nie istniała. Próbował jeść, obserwować innych. Ale jedzenie było bez smaku, a wszyscy ludzie byli szarzy.

Po drugiej stronie szklanych drzwi baru tłum gęstniał: ludzie śpieszyli na popołudniową imprezę do Portlandzkiego Pałacu Sportu, ogromnego i bogatego kołoseum w dole rzeki. Ludzie nie siedzieli już w domach i nie oglądali telewizji. Telewizja FedNaru nadawała tylko dwie godziny dziennie. Nowoczesnym stylem życia było przebywanie razem. Był czwartek, a więc będzie walka wręcz, największa atrakcja tygodnia oprócz sobotniej piłki nożnej. Właściwie więcej za-164

wodników ginęło w walkach wręcz, ale brakowało im dramatycznego, oczyszczającego aspektu piłki nożnej, tej czystej rzezi, gdy na raz jest na arenie 144 mężczyzn, a dolne trybuny spryskuje krew. Umiejętności pojedynczych zawodników były w porządku, ale nie dostarczały wspaniałej możliwości odreagowania za pośrednictwem masowego zabijania.

–Nie ma już wojen – powiedział do siebie Orr, zostawiając ostatnie rozmokłe frytki. Wszedł w tłum. "Ain't gonna... war no more..." Była taka piosenka. Kiedyś. Stara piosenka. "Ain't gonna..." Jak to dalej szło? "Ain't gonna... war no more..."

Od razu natknął się na Aresztowanie Obywatela. Wysoki mężczyzna o pociągłej, pomarszczonej, szarej twarzy chwycił za tunikę na piersiach niskiego człowieka o okrągłej, błyszczącej, szarej twarzy. Tłum zderzył się z tą parą, niektórzy przystawali, żeby popatrzeć, inni parli naprzód do Pałacu Sportu.

–To Aresztowanie Obywatela, proszę przechodniów o poświadczenie! – mówił wysoki przeszywającym nerwowym tenorem. – Ten człowiek, Harvey T. Gonno, jest chory na nieuleczalnego złośliwego raka żołądka, ale ukrywa się przed władzami i nadal żyje z żoną. Nazywam się Ernest Rin-go Marin, mieszkam przy Scuth West Eastwood Drive 2624287, Sunny Slopes Subdivision, Wielki Portland. Czy jest dziesięciu świadków? – Jeden ze świadków pomógł przytrzymać słabo wrywającego się przestępcę, a Ernest Ringo Marin liczył. Orr uciekł, przebijając się ze spuszczoną głową przez tłum, zanim Marin dokonał eutanazji za pomocą pistoletu strzykawkowego noszonego przez wszystkich dorosłych obywateli, którzy zdobyli Zaświadczenie Odpowiedzialności Obywatelskiej. Sam taki miał. Był to prawny obo165

wiązek. W tej chwili nie był naładowany. Nabój zabrano mu, gdy został pacjentem psychiatrycznym na OKO, ale zostawiono mu broń, aby jego czasowe cofnięcie statusu nie upokarzało go przy wszystkich. Wyjaśniono mu, że choroby umysłowej, z jakiej go teraz leczono, nie można mylić z przestępstwem zasługującym na karę, takim jak poważna choroba dziedziczna lub niemożność komunikowania się. Nie ma odczuwać, że w jakimkolwiek stopniu stanowi zagrożenie dla Rasy albo że jest obywatelem drugiej kategorii. Jego broń zostanie naładowana, gdy tylko doktor Haber orzeknie, że jest wyleczony.

Guz, guz... Czy Zaraza rakotwórcza nie uczyniła pozostałych przy życiu wolnymi od tego dopustu, zabijając wszystkich podatnych na raka albo podczas Załamania, albo w niemowlęctwie? Owszem, w innym śnie. Nie w tym. Najwyraźniej rak znów atakuje, jak góra Tabor i Hood.

"Study". Właśnie, "Ain't gonna study war no morę..."

Wsiadł do kolei linowej na skrzyżowaniu Czwartej i Al-der i wzniósł się nad szarozielonym miastem do Wieżowca ULBIR wieńczącego zachodnie wzgórze w miejscu, gdzie wysoko w Parku Waszyngtona stał niegdyś stary dom Pittocka.

Z wieżowca rozciągał się widok na wszystko: miasto, rzeki, zamglone doliny na zachodzie, wielkie mroczne wzgórza Parku Leśnego rozciągające się na zachód. Nad portykiem z kolumnami widniał napis wyryty w białym betonie antykwą, której proporcje użyczyłyby szlachetności każdej sentencji: NAJWIĘKSZE DOBRO DLA NAJWIĘKSZEJ ILOŚCI.

Wewnątrz znajdowało się ogromne foyer w czarnym marmurze wzorowane na rzymskim Panteonie. Wokół podstawy 166

jego środkowej kopuły biegł mały, złoty napis: ABY POZNAĆ LUDZKOŚĆ NALEŻY POZNAĆ CZŁOWIEKA.

Powiedziano Orrowi, że budynek ten zajmuje powierzchnię większą niż Muzeum Brytyjskie i że jest od niego wyższy o pięć pięter. Był także zabezpieczony przed trzęsieniami ziemi. Nie uodporniono go na bomby, bo nie było bomb. To, co zostało z zapasów nuklearnych po Wojnie Cislunarnej, zdetonowano w serii interesujących eksperymentów w Pasi Asteroidów. Ten budynek mógł wytrzymać wszystko, co zostało na Ziemi, może z wyjątkiem góry Hood. Albo złego snu.

Stanął na pasie spacerowym prowadzącym do Skrzydła Zachodniego, a potem, spiralnymi schodami ruchomymi, wjechał na ostatnie piętro.

Doktor Haber nadal trzymał w gabinecie kozetkę, aby ostentacyjnie przypominała mu jego skromne początki prywatnego psychiatry, gdy zajmował się pojedynczymi ludźmi, a nie milionami. Jednak dotarcie do kozetki trochę trwało, bo na gabinet składało się siedem oddzielnych pokoi, co zajmowało jakieś ćwierć hektara. Orr zapowiedział się automatycznej recepcjonistce przy drzwiach poczekalni, minął pannę Crouch, która wprowadziła dane do komputera, przeszedł obok oficjalnego wspaniałego gabinetu, w którym brakowało tylko tronu, gdzie Dyrektor przyjmował ambasadorów, delegacje i laureatów nagrody Nobla, aż w końcu dotarł do mniejszego gabinetu z oknem od podłogi do sufitu i kozetką. Na jednej ścianie, odsłaniając wspaniałą wystawę aparatury badawczej, Haber wgrzyzał się w odsłonięte wnętrze Wzmacniacza.

–Witaj, George! – zagrzmiął ze środka, nie oglądając się. – Właśnie podłączam nową ergowstawkę do hormolącznika

Maleństwa. Momencik. Dzisiaj chyba zrobimy sobie sesję bez hipnozy. Usiądź, to jeszcze chwilę potrwa, znowu trochę przy tym majsterkowałem... Słuchaj. Pamiętasz ten zestaw testów, który dostałeś, kiedy po raz pierwszy przyszedłeś do Szkoły Medycznej? Spisy osobowości, IQ, Rorschach i tak dalej, i tak dalej. Potem dałem ci TAT i kilka symulowanych spotkań, chyba w okolicy trzeciej sesji u mnie. Pamiętasz? Zastanowiłeś się kiedyś, jak ci poszło?

Szara twarz Habera, okolona czarnymi, skręconymi włosami i brodą, pojawiła się nagle nad wysuniętą obudową Wzmacniacza. W jego oczach skierowanych na Orra odbijało się światło z ogromnego okna.

–Chyba tak – powiedział Orr: w gruncie rzeczy nigdy o tym nie myślał.

–Nadszedł już czas, abyś się dowiedział, że w układzie odniesienia zakreślonym przez te ujednoczone, ale niezwykle subtelne i pożyteczne testy, jesteś tak normalny, że to aż nienormalne. Oczywiście używam słowa "normalny" w znaczeniu laickim, które nie ma precyzyjnego obiektywnego odniesienia. Na skali ilościowej znajdujesz się w środku. Na przykład stosunek ekstrawersji do introwersji wynosi u ciebie 49,1. To znaczy, że o 0,9 punktu jesteś większym introwertykiem niż ekstrawertykiem. To nie jest niezwykle, ale niezwykle jest, że ta sama cholerna prawidłowość pojawia się wszędzie, we wszystkich wykresach. Jeśli by zebrać je wszystkie razem, znalazłbyś się w samym środku, na 50. Weźmy na przykład dominację – chyba masz tu 48,8. Ani dominujący, ani uległy. Niezależność / zależność – to samo. Twórczy / niszczycielski na skali Ramireza – to samo. Nigdy jedno i drugie – zawsze albo / albo. Gdzie masz do czynienia z parą 168

opozycji, ze spolaryzowaniem, jesteś w środku; na wszystkich skalach znajdziesz się w punkcie równowagi. Znosisz się tak całkowicie, że w pewnym sensie nic nie zostaje. Walters ze Szkoły Medycznej odczytuje wyniki nieco inaczej. Mówi, że brak osiągnięć społecznych u ciebie wynika z twego holistycznego przystosowania się, cokolwiek by to znaczyło, i to, co ja widzę jako samoznoszenie się, jest szczególnym stanem równowagi, wewnętrznej harmonii. Z czego widać, że, nie bójmy się tego, stary Walters to pobożny oszust, który nigdy nie wyrósł z mistycyzmu lat siedemdziesiątych, ale ma dobre intencje. No więc tak to w każdym razie wygląda: znajdujesz się w samym środku wykresu. Dobrze, teraz podłączymy to do tego i gotowe... Cholera! – Wstając uderzył głową o płytę. Nie zamknął Wzmacniacza. – Cóż, dziwny z ciebie ptaszek, George, a najdziwniejsze jest to, że nie ma w tobie nic dziwnego! – Roześmiał się swym grzmiącym, głośnym śmiechem. – Dzisiaj spróbujemy czegoś nowego. Żadnej hipnozy. Żadnego spania. Żadnego stanu M ani snów. Dzisiaj chcę cię podłączyć do Wzmacniacza na jawie. Serce Orrowi zamarło, chociaż nie wiedział, dlaczego.

–Po co? – spytał.

–Głównie, żeby uzyskać zapis wzmocnionych normalnych rytmów twego mózgu na jawie. Mam pełną analizę z pierwszej sesji, ale to było, gdy Wzmacniacz potrafił tylko wpaść w rytm, jaki emitowałeś w danej chwili. Teraz będę mógł zastosować go do wyraźniejszego pobudzenia i śledzenia pewnych charakterystycznych cech aktywności twego mózgu, a szczególnie tego efektu pocisków świetlnych, jaki zachodzi w twoim hipokampie. Wtedy będę mógł porównać je z wykresami twoich stanów M oraz wykresami innych mózgów,

normalnych i nienormalnych. Szukam tego, co cię napędza, George, a więc tego, co urzeczywistnia twoje sny.

–Po co? – powtórzył Orr.

–Po co? Czy nie po to tu jesteś?

–Przyszedłem tu, żeby się wyleczyć. Żeby się nauczyć, jak nie śnić efektywnie.

–Gdyby można cię było wyleczyć ot tak – Haber strzelił palcami – czy przystano by cię tu, do Instytutu, do ULBIR, do mnie?

Orr ukrył twarz w dłoniach i nic nie powiedział.

–Nie potrafię ci powiedzieć, jak przestać, póki nie dowiem się, co takiego właściwie robisz.

–A jak już się pan dowie, powie mi pan, jak przestać? Haber zakołysał się na piętach.

–Dlaczego tak bardzo boisz się siebie, George?

–Nie boję się siebie – odparł George. Miał spocone dłonie. – Boję się... – Ale za bardzo obawiał się wypowiedzieć ten zaimek.

–Zmieniania rzeczywistości, jak to nazywasz. Dobrze. Wiem. Omawialiśmy to już wiele razy. Dlaczego, George? Musisz zadać sobie to pytanie. Dlaczego zmienianie rzeczywistości jest niewłaściwe? Zastanawiam się, czy ta twoja sa-moznosząca się, dokładnie zrównoważona osobowość nie powoduje, że patrzysz na sprawy defensywnie. Powinieneś spróbować oderwać się od siebie i popatrzeć na twój punkt widzenia obiektywnie z zewnątrz. Obawiasz się utracić równowagę. Ale zmiana nie musi tobą zachwiać. Życie nie jest przecież statycznym przedmiotem. Jest procesem. Nie ma trwania w bezruchu. Wiesz o tym na poziomie intelektualnym, ale odrzucasz to emocjonalnie. Nic nie jest takie samo 170

z chwili na chwilę; nie wchodzi się dwa razy do tej samej rzeki. Życie – ewolucja – cały wszechświat przestrzeni (czasu, materii) energii – samo istnienie – to zasadniczo zmiana.

–To tylko jeden aspekt – powiedział Orr. – Drugi to bezruch.

–Kiedy nic już się nie zmienia, to mamy do czynienia z efektem końcowym entropii, ze śmiercią ciepłą Wszechświata. Im więcej rzeczy się porusza, łączy, zderza,

zmienia, tym mniejsza jest równowaga i tym więcej życia. Opowiadam się za życiem, George. Samo życie to wielki hazard z bardzo małą szansą wygranej. Nie można próbować żyć bezpiecznie, nie ma czegoś takiego jak bezpieczeństwo! A więc wysuń głowę ze skorupy i żyj pełnią życia! Liczy się nie jak, ale dokąd dojdiesz. Obawiasz się pogodzić z faktem, że jesteśmy tu zaangażowani w naprawdę wielki eksperyment, ty i ja. Jesteśmy bliscy odkrycia i opanowania, dla dobra całej ludzkości, całej nowej siły, całego nowego pola energii antyentropicznej, sił życia, woli działania, czynienia, zmieniania!

–Wszystko to prawda. Ale istnieje...

–Co takiego, George? – Był teraz ojcowski i cierpliwy, a Orr zmusił się do kontynuowania, wiedząc, że na nic się to nie zda:

–Jesteśmy w świecie, a nie przeciwko niemu. Nie można usiłować trzymać się na zewnątrz i rządzić biegiem rzeczy w taki sposób. To po prostu się nie da, to sprzeciwianie się biegowi życia. Istnieje droga, ale trzeba nią pójść. Świat istnieje bez względu na nasze wyobrażenia, jaki powinien być. Trzeba iść razem z nim. Trzeba zostawić go takim, jaki jest.

Haber przeszedł się po pokoju, zatrzymując się przed ogromnym oknem, którego framuga obejmowała widok na

północ spokojnego i nie wybuchającego stożka góry Świętej Heleny. Pokiwał głową.

–Rozumiem – powiedział nie odwracając się do Orra. – Całkowicie rozumiem. Ale pozwól, George, że powiem to trochę inaczej, i może zrozumiesz, o co mi chodzi. Jesteś sam w dżungli, w Mato Grosso, i znajdujesz leżącą na ścieżce Indiankę umierającą od ukąszenia węża. Masz surowicę, mnóstwo surowicy wystarczającej do wyleczenia tysięcy ukąszeń. Czy nie stosujesz jej, bo "jest jak jest", czy "zostawisz ją, jaką jest"?

–To by zależało – odpowiedział Orr.

–Od czego?

–No... Nie wiem. Jeśli reinkarnacja jest faktem, to nie dopuściłoby się jej do lepszego życia, skazując na nędzną egzystencję. Może po wyleczeniu pójdzie do domu i zamorduje sześciu mieszkańców wioski. Wiem, że pan dałby jej surowicę, boją pan ma i żal panu tej kobiety. Ale nie wie pan, czy taki czyn jest dobry czy zły, czy może jednocześnie i dobry, i zły...

–Dobrze! Racja! Wiem, jak działa surowica przeciw jadowi węża, ale nie wiem, co czynię – dobrze, chętnie kupię to na takich warunkach. Ale powiedz, jaka w tym różnica? Przyznaję bez bicia, że w osiemdziesięciu pięciu procentach nie wiem, co, do diabła, robię z tym twoim cholernym mózgiem, i ty tego też nie wiesz, ale coś robimy, no więc może weźmiemy się do roboty? – Jego męski, jowialny zapał był przytłaczający. Roześmiał się, a Orr przywołał na usta słaby uśmiech.

Jednak podczas przymocowywania elektrod zrobił ostatni wysiłek porozumienia się z Haberem. 172

–Po drodze widziałem Aresztowanie Obywatela w celu eutanazji – powiedział.

–Za co?

–Eugenika. Rak.

Haber skinął głową, zaniepokojony.

–Nic dziwnego, że jesteś przygnębiony. Nie zaakceptowałeś jeszcze w pełni zastosowania kontrolowanej przemocy dla dobra społeczności i może nigdy nie będziesz w stanie tego zrobić. Mamy tu do czynienia z twardym światem, George. Realistycznym. Tak jak mówiłem, życie nie może być bezpieczne. To społeczeństwo jest twarde i z każdym rokiem robi się coraz twardsze. Przyszłość to usprawiedliwi.

Potrzebujemy zdrowia. Nie mamy po prostu miejsca na nieuleczalnie chorych, na nosicieli uszkodzonych genów, od których wyrodnieje cały gatunek. Nie mamy miejsca na zmarnowane, bezużyteczne cierpienie. – Mówił z mniejszym entuzjazmem niż zwykle. Orr zastanawiał się, jak bardzo podoba się Haberowi ten świat, który niewątpliwie stworzył – Posiedź tak, jak siedzisz. Nie chcę, żebyś zasnął z przyzwyczajenia. Dobrze, wspaniale. Możesz się znudzić. Chcę, żebyś po prostu przez chwilę posiedział. Nie zamykaj oczu, myśl, o czym tylko chcesz. Pobawię się trochę z bebeczami Maleństwa. No to zaczynamy. – Nacisnął biały guzik z napisem START na ściennej tablicy kontrolnej z prawej strony Wzmacniacza, u szczytu kozetki.

Przechodzący Obcy potrącił lekko Orra w tłumie na promenadzie. Uniósł lewy łokieć, aby przeprosić i Orr wymamrotał:

–Przepraszam. – Obcy zatrzymał się, prawie zagradzając mu drogę. Orr też stanął, zaskoczony. Był pod wrażeniem

trzymetrowej, zielonkawej, opancerzonej niewzruszoności. Obcy sprawiał groteskowe wrażenie, zbliżając się do granicy śmieszności jak żółw morski, ale jednocześnie tak jak żółw morski miał w sobie dziwne, ogromne piękno, piękno pogodniejsze od jakiegokolwiek mieszkańca blasku słonecznego, jakiegokolwiek istoty stąpającej po ziemi.

Z ciągle uniesionego lewego łokciami wydobył się bezbarwny głos:

–Jor Jor.

Po chwili Orr rozpoznał w tej barsoomskiej dwusylabie własne nazwisko i odpowiedział z pewnym skrępowaniem:

–Tak, jestem Orr.

–Proszę, wybaczyć uzasadnione przeszkodzenie. Jesteś istotą ludzką zdolną do łałku, co zauważono poprzednio. To trapi osobę.

–Ja nie... chyba...

–My też jesteśmy różnie zaniepokojeni. Pojęcia krzyżują się we mgle. Percepcja jest utrudniona. Wulkany wydzielają ogień. Oferuje się pomoc: odmownie. Surowica przeciw ukąszeniu węży nie jest przepisana wszystkim. Przed kierowaniem się wskazówkami kierującymi w niewłaściwych kierunkach mogą zostać wezwane siły pomocnicze w sposób natychmiast następujący: Er'perrehne!

–Er'perrehne – powtórzył Orr automatycznie, całym umysłem starając się zgłębić sens wypowiedzi Obcego.

–W razie potrzeby. Mowa jest srebrem, milczenie złotem. Osoba jest wszechświatem. Proszę wybaczyć przeszkodzenie, krzyżowanie we mgle. – Obcy jakby się uklonił, choć nie miał ani szyi, ani talii, i poszedł dalej, ogromny i zielonkawy 174

ponad tłumem o szarych twarzach. Orr stał, patrząc za nim, aż Haber powiedział:

–George!

–Co? – Spojrzał z głupim wyrazem twarzy na pokój, biurko, okno.

–Co, do diabła, zrobiłeś?

–Nic – odparł Orr. Nadal siedział na leżance, mając włosy pełne elektrod. Haber wcisnął guzik STOP na tablicy Wzmacniacza i przeszedł przed kozetkę, patrząc

najpierw na Orra, a potem na ekran EEG.

Otworzył urządzenie i sprawdził zapis w środku, zrobiony pisakami na papierowej taśmie.

–Myślałem, że źle odczytałem ekran – powiedział i dziwnie się zaśmiał. Była to bardzo okrojona wersja jego zwykłego gardłowego ryku. – Dziwne rzeczy dzieją się w twojej korze mózgowej, a ja nawet nie pobudzałem jej Wzmacniaczem, zacząłem tylko delikatnie drażnić most, nic szczególnego... Co to takiego... Jezu, musi tu być ze sto pięćdziesiąt miliwoltów! – Odwrócił się nagle do Orra. – O czym myślałeś? Odtwórz to!

Orrem owładnęła niezwykła niechęć narastająca do uczucia zagrożenia, niebezpieczeństwa.

–Myślałem... myślałem o Obcych.

–O Aldebaranianach? No i?

–Tak tylko myślałem o jednym z nich, którego widziałem na ulicy po drodze tutaj.

–1 to przywiodło ci na myśl, świadomie czy nieświadomie, dokonanie eutanazji, którego byłeś świadkiem. Tak? Dobrze. To mogłoby wyjaśnić te zabawne skoki w ośrodkach emocjonalnych. Wzmacniacz wychwyił je i rozbudował.

Musiałeś pewnie czuć, że... że w twoim umyśle dzieje się coś szczególnego, niezwykłego?

–Nie – rzekł Orr zgodnie z prawdą. Nie miał uczucia niezwykłości.

–W porządku. Teraz posłuchaj, gdybyś się przejął moimi reakcjami, to powinieneś wiedzieć, że podłączałem Wzmacniacz do mojego własnego mózgu kilkaset razy i do podmiotów laboratoryjnych też, było ich około czterdziestu pięciu. Nie stanie ci się nic złego, tak jak nie stało się im. Ale ten zapis był zupełnie niespotykany jak na dorosłego pacjenta i po prostu chciałem sprawdzić, czy odczuwasz to subiektywnie.

Haber uspokajał siebie, nie Orra, ale nie miało to znaczenia. Orr był już ponad wszelkie uspokajania.

–Dobra. No to jeszcze raz. – Haber włączył EEG i podszedł do przycisku z napisem START. Orr zacisnął zęby i przygotował się na spotkanie Chaosu i Starej Nocy.

Ale ich tam nie było. Nie znajdował się także w śródmieściu i nie rozmawiał z trzymetrowym żółwiem. Nadal siedział na wygodnej kozetce, patrząc na zamglony, niebieskoszary stożek Świętej Heleny za oknem. I, cicho jak złodziej w nocy, naszło go uczucie głębokiego zadowolenia, pewności, że wszystko jest w porządku i że on sam znajduje się w centrum wydarzeń. Osoba to wszechświat. Nie dojdzie do tego, że zostanie odizolowany, wyrzucony na brzeg. Jest tu, gdzie jego miejsce. Czuł głęboki spokój, miał absolutną orientację co do tego, gdzie znajduje się on i wszystko inne. To uczucie nie pojawiło się jako coś błogiego czy mistycznego, ale jako coś normalnego. Tak właśnie zwykle się czuł, z wyjątkiem chwil kryzysowych, cierpienia. Taki był nastrój jego dzieciństwa i wszystkich najlepszych i najgłębszych momentów wieku 176

chłopięcego i dojrzałego; taki był naturalny charakter jego istnienia. Zagubił go w ciągu ostatnich lat, stopniowo, ale nieomal zupełnie, nie zdając sobie z tego sprawy. Cztery lata temu w tym samym miesiącu, cztery lata temu w kwietniu stało się coś, co na pewien czas zupełnie go wytrąciło z tej równowagi, a ostatnio leki, które zażywał, sny, jakie mu się śniły, ciągle przeskoki z jednej pamięci do drugiej, pogarszanie się faktury życia w miarę jak ją Haber ulepszał, wszystko to wyrzuciło go z toru. A teraz, nagle i od razu, znalazł się z powrotem na swoim miejscu.

Wiedział, że nie dokonał tego własnymi siłami.

Powiedział na głos:

–Czy Wzmacniacz to zrobił?

–Co takiego? – spytał Haber, znów nachylając się nad urządzeniami, aby obserwować ekran EEG.

–Och... nie wiem.

–On nic nie robi w twoim rozumieniu – odpowiedział Haber z nutką zdenerwowania w głosie. Dawało się go polubić w takich chwilach, kiedy nie odgrywał żadnej roli i niczego nie udawał, będąc całkowicie pogrążonym w tym, czego usiłował się dowiedzieć z szybkich i delikatnych reakcji swych urządzeń. – On tylko wzmacnia to, co w danej chwili robi twój własny mózg, wybiórczo wzmacnia jego działalność, a twój mózg nie robi nic interesującego... Dobrze. – Szybko coś zanotował, wrócił do Wzmacniacza i odchylił się, aby obserwować linie wijące się na małym ekranie. Za pomocą pokręteł wydzielił trzy, które przedtem wyglądały na jedną, po czym znów je połączył. Orr nie przerywał mu. W pewnej chwili Haber powiedział ostro: – Zamknij oczy. Porusz gał177

karni w górę. Dobrze. Nie otwieraj oczu, postaraj się coś sobie wyobrazić – czerwony sześcian. Dobrze...

Kiedy w końcu wyłączył urządzenia i zaczął odłączać elektrody, spokój, jaki odczuwał Orr, nie przeminął, w przeciwieństwie do sztucznego spokoju wywołanego lekiem lub alkoholem. Pozostał. Niczego nie planując, Orr odezwał się bez nieśmiałości w głosie:

–Doktorze Haber, nie mogę już więcej pozwalać panu na wykorzystywanie moich snów efektywnych.

–Hę? – Haber wciąż jeszcze był skupiony na mózgu Orra, a nie na nim samym.

–Nie mogę już więcej pozwalać panu na wykorzystywanie moich snów.

–"Wykorzystywanie" ich?

–Wykorzystywanie.

–Możesz to sobie nazywać, jak chcesz – powiedział Haber. Wyprostował się i górował nad nadal siedzącym Orrem. Szary, duży, szeroki, o kędzierzawej brodzie, wypukłej piersi, zmarszczony. Bóg jest zazdrosny. – Przykro mi, George, ale nie znajdujesz się w sytuacji, w której możesz mówić coś takiego.

Bogowie Orra byli bezimienni i niezawistni, nie domagali się ani czci, ani posłuszeństwa.

–A jednak mówię – odparł łagodnie.

Haber spojrział w dół na niego, naprawdę na niego, przez chwilę patrzył i zobaczył go. Jakby się cofnął, tak jak człowiek, który chciał odsunąć cienką zasłonę, a natrafił na drzwi z granitu. Przeszedł przez pokój. Usiadł za biurkiem. Orr wstał i lekko się przeciągnął. 178

Haber pogłaskał się po swojej czarnej brodzie dużą, szarą dłonią.

–Już niedługo dokonam... nie, jestem w trakcie dokonywania decydującego przełomu – powiedział. Jego głęboki głos nie grzmiał jowialnie, ale emanowała z niego mroczna potęga. – Wykorzystując zapisy twoich fal mózgowych w cyklu sprzężenie zwrotne, eliminacja, powielanie, wzmacnianie. Programuję Wzmacniacz do odtwarzania rytmów EEG występujących podczas śnienia efektywnego. Nazywam je rytmem stanu E. Kiedy już je wystarczająco uogólnię, będę mógł je nałożyć na rytmy stanu M innego mózgu i sądzę, że po pewnym okresie synchronizacji pobudzą one ten inny mózg do śnienia efektywnego. Czy rozumiesz, co to oznacza? Będę mógł wywołać stan E w odpowiednio dobranym i przeszkolonym mózgu tak łatwo, jak psycholog wywołuje wściekłość u kota czy spokój u psychopaty za pomocą ESB, nawet łatwiej, bo potrafię stymulować niczego nie wszczepiając ani nie stosując chemikaliów. Od osiągnięcia tego celu dzieli mnie parę dni, może godzin. Kiedy już mi się to uda, jesteś wolny. Będziesz niepotrzebny. Nie lubię pracować z opornym pacjentem, a postęp byłby znacznie szybszy z pacjentem odpowiednio wyposażonym i umotywowanym. Ale do momentu, gdy będę gotowy, jesteś mi potrzebny. Te badania muszą być zakończone. To prawdopodobnie najważniejsze badania naukowe, jakie w ogóle przeprowadzono. Potrzebuję cię do tego stopnia, że, jeśli twoje poczucie zobowiązania względem ludzkości nie wystarczy, żeby cię tu zatrzymać, to jestem gotów zmusić cię do służenia wyższej sprawie. W razie konieczności uzyskam nakaz Przymusowej Te... Osobistego Przymusu Opiekuńczego. W razie konieczności179

ności użyję leków, jakbyś był niebezpiecznym psychopata. Twoja odmowa pomocy w sprawie takiej wagi jest oczywiście nienormalna. Jednak nie muszę dodawać, że o wiele bardziej wolałbym uzyskać twoją swobodną, dobrowolną współpracę nie uciekając się do prawnego lub psychologicznego przymusu. Sprawiłoby mi to wielką różnicę.

–Wcale nie sprawiłoby to panu żadnej różnicy – powiedział Orr bez cienia wojowniczości.

–Dlaczego przeciwstawiasz mi się teraz? Dlaczego teraz, George? Gdy tyle już wniosłeś i gdy jesteśmy tak blisko celu? – Bóg jest pełen wyrzutów. Ale poczucie winy nie stanowiło sposobu na George'a Orra. Gdyby przejmował się poczuciem winy, nie dożyłby trzydziestki.

–Bo im dłużej się pan tym zajmuje, tym gorzej się robi. A teraz, zamiast nie dopuścić, żebym miał sny efektywne, sam pan chce zacząć je śnić. Nie podoba mi się, że zmuszam cały świat do życia w moich snach, ale na pewno nie chcę żyć w pańskich.

–Co rozumiesz przez "tym gorzej się robi"? Słuchaj no, George. – Mężczyzna z mężczyzną. Rozsądek zwycięży. Gdybyśmy tylko usiedli i omówili sprawę... – W ciągu tych kilku tygodni wspólnej pracy wyeliminowaliśmy przeludnienie, przywróciliśmy jakość życia miejskiego i równowagę ekologiczną planety. Wyeliminowaliśmy raka jako groźnego zabójcę. – Zaczął zaginać swe silne, szare palce, wyliczając po kolei. – Wyeliminowaliśmy problem koloru skóry, nienawiść rasową. Wyeliminowaliśmy wojny. Wyeliminowaliśmy ryzyko wyrodzenia się gatunku i tworzenia puli szkodliwych genów. Wyeliminowaliśmy... nie, powiedzmy, że jesteśmy w trakcie procesu eliminowania ubóstwa, nierówności ekono-180

micznej i walki klas na całym świecie. Co jeszcze? Choroby umysłowe, nieprzystosowanie do rzeczywistości: to zajmie trochę czasu, ale uczyniliśmy już pierwsze kroki. Pod kierownictwem ULBIR-u zmniejszenie nędzy ludzkiej, zarówno fizycznej, jak i psychicznej, oraz stały wzrost znaczącej samorealizacji osobniczej to sprawa ciągła, stały postęp. Postęp, George! Dokonaliśmy większego postępu w ciągu sześciu tygodni niż cała ludzkość przez sześćset tysięcy lat!

Orr czuł, że trzeba odpowiedzieć na te wszystkie argumenty. Zaczął:

–A co się stało z demokratycznym rządem? Ludzie już niczego nie mogą sami wybierać. Dlaczego wszyscy są tacy zaniedbani i smutni? Nie można nawet odróżnić jednego człowieka od drugiego, a im są młodszy, tym jest to trudniejsze. Ta sprawa z wychowaniem wszystkich dzieci w Ośrodkach Państwa Światowego...

Ale Haber przerwał mu, naprawdę rozgniewany.

–Ośrodki Dziecięce były twoim pomysłem, nie moim! Ja po prostu jak zwykle nakreśliłem ci dezyderaty wśród innych sugestii do wyśnienia i próbowałem zasugerować, jak zrealizować niektóre z nich, ale te sugestie nigdy chyba się nie zakorzeniają albo twoje pierwotne procesy myślowe wypaczają je nie do poznania. Nie musisz mi mówić, że odrzucasz i negujesz wszystko, czego usiłuję dokonać dla ludzkości, bo to było oczywiste od samego początku. Niweczysz każdy krok naprzód, do jakiego cię zmuszam, paraliżujesz każde posunięcie przebiegłością czy głupotą środków, za których pomocą twój sen je realizuje. Za każdym razem usiłujesz się cofnąć. Twoja własna motywacja jest całkowicie negatywna. Gdybyś w czasie śnienia nie znajdował się pod silnym hipno181

tycznym przymusem, już dawno doprowadziłbyś świat do ruiny! Zobacz, do czego prawie doprowadziłeś tej nocy, gdy uciekłeś z tą prawniczką...

–Ona nie żyje – przerwał Orr.

–Świetnie. Miała na ciebie destrukcyjny wpływ. Nieodpowiedzialna. Nie masz świadomości społecznej, brak ci altruizmu. Jesteś moralną galareta. Za każdym razem muszę ci hipnotycznie wpajać poczucie odpowiedzialności społecznej. I za każdym razem moje zamiary są pokrzyżowane, zniszczone. To właśnie stało się z Ośrodkami Dziecięcymi. Zasugerowałem, że ponieważ scentralizowana rodzina jest głównym czynnikiem kształtującym struktury osobowości neurotycznej, być może istnieją w idealnym społeczeństwie pewne sposoby jej zmodyfikowania. Twój sen po prostu rzucił się na najprymitywniejszą interpretację tej sugestii, zmieszał ją z tanimi pojęciami utopijnymi albo może cynicznymi pojęciami antyutopijnymi i wyprodukował Ośrodki. Które i tak są lepsze od tego, co zastąpiły! W tym świecie prawie nie istnieje schizofrenia – wiedziałeś o tym? To rzadka choroba! – Ciemne oczy Habera pały, usta odsłoniły w uśmiechu zęby.

–Jest lepiej niż... niż było przedtem – powiedział Orr, porzuciwszy wszelką nadzieję na dyskusję. – Ale im dłużej się pan tym zajmuje, tym gorzej się robi. Nie próbuję pokrzyżować panu planów, tylko pan usiłuje zrobić coś, czego się nie da zrobić. Mam ten... ten dar i jestem go świadom. Znam też swoje zobowiązania względem niego. Używać go tylko wtedy, kiedy muszę. Gdy nie ma alternatywy. Teraz alternatywa istnieje. Muszę przestać.

–Nie możemy przestać, dopiero zaczęliśmy! Dopiero zaczynamy zdobywać kontrolę nad całą tą twoją mocą. Mam ją 182

w zasięgu ręki i nie zamierzam z niej zrezygnować. Żadne osobiste obawy nie mogą stanąć na drodze dobra, jakie można uczynić wszystkim ludziom za pomocą tej nowej zdolności ludzkiego mózgu!

Haber przemawiał. Orr popatrzył na niego, ale zmętniałe oczy skierowane wprost na niego nie oddały mu spojrzenia, nie widziały go. Mowa toczyła się dalej:

–A ja czynię tę nową zdolność powtarzalną. Istnieje analogia z wynalazkiem druku, z zastosowaniem każdego nowego pojęcia technicznego czy naukowego. Jeśli inni nie mogą pomyślnie powtórzyć eksperymentu czy techniki, są one nieprzydatne. Podobnie stan E: jak długo tkwił zamknięty w mózgu jednego człowieka, nie przydawał się ludzkości bardziej niż klucz zamknięty w pokoju czy jedna, sterylna genialna mutacja. Ale ja zdobędę środki wydostania tego klucza z pokoju. A ten klucz będzie tak wielkim kamieniem milowym w ewolucji człowieka jak wykształcenie się racjonalnego mózgu! Będzie mógł z niego korzystać każdy mózg zdolny do tego i zasługujący na to. Kiedy pod wpływem stymulacji Wzmacniacza odpowiedni, wyszkolony, przygotowany obiekt wejdzie w stan E, znajdzie się pod całkowitą kontrolą autohipnotyczną. Nic nie zostanie zostawione przypadkowi, ślepemu impulsowi, irracjonalnemu narcystycznemu kaprysowi. Nie będzie żadnego napięcia

między twoimi nihilistycznymi ciągotami i moim dążeniem do postępu, twoim pragnieniem nirwany i moim świadomym, starannym planowaniem dla dobra wszystkich. Kiedy upewnię się co do moich technik, będziesz mógł odejść. Absolutnie swobodnie. A ponieważ cały czas twierdzisz, że chcesz się pozbyć odpowiedzialności i zdolności śnienia efektywnego,

obiecuję ci, że mój pierwszy sen efektywny "wylecz/* cię; już nigdy więcej nic takiego ci się nie przyśni.

Orr wstał. Stał spokojnie, patrząc na Habera z twarzą wygładzoną, ale niezwykle skupioną i uważną.

–Będzie pan sam kontrolował własne sny, bez niczyjej pomocy albo nadzoru...? – spytał.

–Od tygodni kontroluję twoje. W moim własnym przypadku, a oczywiście będę pierwszym obiektem własnego eksperymentu, co jest absolutnym obowiązkiem etycznym, a więc w moim własnym przypadku kontrola będzie pełna.

–Zanim w ogóle zacząłem stosować środki tłumiące śnie-ne, próbowałem autohipnozy...

–Tak, wspominałeś o tym, i oczywiście nie udało ci się. Kwestia opornego obiektu stosującego skuteczną autosugestię jest interesująca, ale nie był to żaden sprawdzian. Nie jesteś zawodowym psychologiem ani wyszkolonym hipnotyzerem, a już miałeś zaburzenia emocjonalne na tle tej całej sprawy. Oczywiście do niczego nie doszedłeś. Ja natomiast jestem profesjonalistą i dokładnie wiem, co robię. Potrafię sam sobie zasugerować cały sen i prześnić go w każdym szczególe dokładnie tak, jak przemyślałem to na jawie. Robię to co noc od tygodnia, przygotowując się. Gdy Wzmacniacz zsynchronizuje uogólniony schemat stanu E z moim własnym stanem M, to takie sny zostaną zefektywizowane. A wtedy... a wtedy... – Wargi obramowane kędzierzawą brodą rozchyliły się w takiej ekstazie, że Orr musiał się odwrócić, jakby zobaczył coś, co nigdy nie miało ujrzeć światła dziennego, coś przerażającego i jednocześnie żalnego. – A wtedy świat stanie się niebem, a ludzie bogami! 184

–Już nimi jesteśmy, już nimi jesteśmy – powiedział Orr, ale Haber nie zwrócił na niego uwagi.

–Nie ma się czego bać. Niebezpieczeństwo istniało, gdybyśmy tylko o nim wiedzieli, gdy jako jedyny posiadałeś zdolność śnienia E i nie wiedziałeś, co z tym zrobić. Gdybyś do mnie nie przyszedł, gdyby nie przekazano cię wyszkolonym, naukowym ręką, kto wie, co mogłoby się stać. Ale obaj znaleźliśmy się w jednym miejscu. Jak to się mówi: geniusz polega na znalezieniu się na właściwym miejscu we właściwym czasie! – Zagrzemiał śmiechem. – A więc teraz nie ma się czego bać i na nic nie masz już wpływu. Wiem naukowo i moralnie, co robię i jak to robię. Wiem, dokąd zmierzam.

–Wulkany wydzielają ogień – mruknął Orr.

-Co?

-Czy mogę już iść?

-Jutro o piątej.

-Przyjdę – powiedział Orr i wyszedł.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Il descend, reveille, l'autre cote du

reve

Hugo, Contemplations

Była dopiero godzina trzecia. Powinien wrócić do swego gabinetu w Wydziale Parków i skończyć plan terenów zabaw dla przedmieść na południowym wschodzie, ale nie zrobił tego. Chwilę się nad nimi zastanawiał, ale zaraz przestał. Choć pamięć zapewniała go, że zajmuje to stanowisko od pięciu lat, nie wierzył jej. Ta praca nie stanowiła dla niego rzeczywistości. To nie zajęcie, jakie ma wykonywać. To nie jego robota.

Zdawał sobie sprawę, że przenosząc w ten sposób w sferę nierzeczywistości znaczną część jedynej rzeczywistości, jedynej egzystencji, jaką naprawdę miał, ryzykuje dokładnie to samo co chory umysł: utratę poczucia wolnej woli. Wiedział, że o ile zaprzecza się temu, co jest, o tyle jest się w mocy tego, co nie istnieje – w mocy przymusu, fantazji, strachów, które zlatują się, wypełniając powstałą próżnię. Ale próżnia istniała. Temu życiu brakuje realności, jest puste, bo sen, tworząc tam, gdzie nie było potrzeby tworzenia, zużył się i zmarniał. Jeśli to jest istnienie, to może próżnia jest lepsza. Orr zaakceptuje potwory i konieczności wykraczające poza rozum. Pójdzie do domu, nie będzie zażywał narkotyków i będzie spał, śniąc co popadnie.

Wysiadł z kolei linowej w śródmieściu, ale zamiast pojechać trolejbusem, ruszył piechotą w kierunku swojej dzielnicy. Zawsze lubił spacerować. 186

Wzdłuż Parku Lovejoy biegł jeszcze, niczym ogromna rampa, fragment starej autostrady, pochodzący prawdopodobnie z okresu ostatnich konwulsji autostradomanii lat siedemdziesiątych. Prowadziła pewnie kiedyś do mostu Marquama, ale teraz urywała się w powietrzu dziesięć metrów nad Front Avenue. Nie rozebrano jej podczas porządkowania i odbudowy miasta po Latach Zarazy, może dlatego, że była tak ogromna, tak bezużyteczna i tak brzydka, że aż niewidoczna dla amerykańskiego oka. Tkwiła więc tam, a na jezdni zakorzeniło się nieco krzaków, pod nią zaś wyrosło bezładne osiedle domków jak gniazda jaskółcze na zboczu. W tej raczej zaniedbanej i bezbarwnej części miasta istniały więc jeszcze sklepiki, niezależne targowiska, nieciekawe restauracyjki i tak dalej, utrzymujące się na powierzchni mimo surowych przepisów totalnego Sprawiedliwego Racjonowania Produktów Konsumpcyjnych i wszechobecnej konkurencji wielkich Ośrodków Handlowych ŚCP, obsługujących obecnie dziewięćdziesiąt procent światowego handlu.

W jednym z takich sklepików pod rampą sprzedawano rzeczy używane. Szyld nad oknem reklamował "Antyki", a niezdarnie namalowany, obłąający napis na szybie głosił: "Starzyzna". W jednym oknie wystawiono trochę pękatej, ręcznie wykonanej ceramiki, a w drugim fotel bujany z udra-powanym na nim, zjedzonym przez mole szalem w cygańskie wzory. Wokół tych głównych eksponatów porozrzucane były przeróżne rupiecie: podkowa, zegar mechaniczny, jakiś zagadkowy przedmiot z mleczarni, oprawiona fotografia prezydenta Eisenhowera, lekko obtłuczona szklana kula z trzema ekwadorskimi monetami w środku, plastikowy pokrowiec na sedes, ozdobiony małymi krabami i wodorostami,

zużyty różaniec i sterta starych singli hi-fi z karteczką "Jakość db", ale wyraźnie porysowanych. Orr pomyślał, że właśnie w takim miejscu przez jakiś czas mogła pracować matka Heather. Bez zastanowienia wszedł do środka.

Chłodno i dość ciemno. Jedną ścianę tworzyła podpora rampy – wysoka, pusta i ciemna połącz beton, jak ściana jakiejś podwodnej jaskini. Spośród cofających się perspektyw cienia, ciężkich mebli, całych hektarów zniszczonych plakatów i udających antyki kołowrotek, stających się obecnie prawdziwymi antykami, choć nadal bezużytecznymi, spośród tych mrocznych przestrzeni pełnych niczych rzeczy wyłoniła się ogromna postać, jakby powoli płynąc, milcząca i podobna gadowi. Właścicielem był Obcy.

Uniósł zgięty lewy łokieć i powiedział:

–Dzień dobry. Czy chcesz jakiś przedmiot.

–Dzięki, tylko oglądam.

–Proszę kontynuuj tę działalność – rzekł właściciel. Cofnął się nieco w cień i stanął bez ruchu. Orr przyjrzał się grze światła na wystrzępionych starych pawich piórach, zauważył domowy projektor filmowy z lat pięćdziesiątych, błękitno-białą zastawę do sake, stertę czasopism satyrycznych Mad, wycenionych dość drogo. Zważył w ręku okazały stalowy młotek i pochwalił w myśli jego wyważenie. Dobrze wykonane narzędzie, solidna rzecz. – Czy to twój własny wybór? – spytał właściciela, zastanawiając się, co z tego pobojuwiska zamożnych lat Ameryki mogło być cenne dla samych Obcych.

–Co napływa jest do przyjęcia – odparł Obcy. Dobry punkt widzenia.

–Czy mógłbyś mi coś powiedzieć? Co w twoim języku znaczy słowo iahklu? 188

Właściciel znów wysunął się z cienia, ostrożnie przeciskając wśród kruchych przedmiotów swój szeroki, podobny do skorupy pancerz.

–Nie do przekazania. Język używany do komunikowania się z pojedynczymi osobami nie będzie zawierał innych form wzajemnych stosunków. Jor Jor. – Prawa dłoń, wielka, zielonkawa, podobna do płetwy kończyła wysunęła się do przodu powolnym, a może nieśmiałym ruchem. – Tiua'k Ennbe Ennbe.

Orr uściśnął rękę Obcego. Stał nieruchomo, najwyraźniej mu się przyglądając, choć w przyciemnionym, wypełnionym parą hełmie nie było widać żadnych oczu. Jeśli to był hełm. Czy właściwie w tej zielonej skorupie, w tym potężnym pancerzu znajdował

się jakiś namacalny kształt? Orr nie wiedział. Jednak w towarzystwie Tiua'ka Ennbe Ennbe czuł się całkowicie swobodnie.

–Nie przypuszczam – odezwał się znów, powodowany jakimś impulsem – żebyś kiedykolwiek znał kogoś o nazwisku Lelache?

–Lelache. Nie. Czy szukasz Lelache?

–Straciłem Lelache.

–Krzyżowanie we mgle – rzucił Obcy.

–Tak jakby – rzekł Orr. Z zagraconego stołu przed sobą podniósł białe popiersie Franciszka Schuberta wysokie na jakieś pięć centymetrów, będące pewnie nagrodą dla ucznia od nauczyciela gry na fortepianie. Na jego podstawie uczeń napisał: "Co, ja mam się martwić?" Schubert miał twarz niewzruszoną i łagodną i przypominał maleńkiego Buddę w okularach. – Ile to kosztuje? – spytał Orr.

–Pięć Nowych Centów – odpowiedział Tiua'k Ennbe Ennbe. Orr wyjął federalną piątkę.

–Czy można w jakiś sposób kontrolować iahklu, żeby przebiegało...tak jak powinno?

Obcy wziął piąta i precyzyjnie bokiem do chromowanej kasy, którą Orr wziął za antyk na sprzedaż. Obcy oddzwonił transakcję i przez chwilę stał nieruchomo.

–Jedna jaskółka wiosny nie czyni – powiedział. – Co cztery ręce to nie dwie. – Znów zamilkł, najwyraźniej niezadowolony z tej próby zasypania komunikacyjnej przepaści. Stał nieruchomo pół minuty, a potem podszedł do wystawy i precyzyjnymi, sztywnymi, ostrożnymi ruchami wybrał jedną z antycznych płyt tam wystawionych i przyniósł ją Orrowi. Płyta Beatlesów "With a Little Help from My Friends".

–Prezent – powiedział. – Do przyjęcia.

–Tak – odparł Orr i wziął płytę. – Dziękuję, bardzo dziękuję. Jest pan bardzo uprzejmy. Jestem panu wdzięczny.

–Przyjemność – powiedział Obcy. Chociaż mechanicznie produkowany głos nie miał modulacji, a pancierz nie odzwierciedlał uczuć, Orr był pewien, że Tiua'kowi Ennbe En-nbe jest naprawdę przyjemnie. On sam był wzruszony.

–Mogę ją puszczać na urządzeniu mojego gospodarza, on ma stary fonograf – powiedział. – Bardzo dziękuję. – Ponownie uścisnęli sobie ręce i Orr wyszedł.

Idąc w kierunku Corbett Avenue, myślał: "To właściwie nic dziwnego, że Obcy są po mojej stronie. W pewnym sensie ja ich wymyśliłem. Oczywiście nie mam pojęcia w jakim. Ale zdecydowanie nie było ich, póki ich nie wyśniłem, póki nie pozwoliłem im zaistnieć. Tak więc istnieje – zawsze istniało – między nami połączenie."

"Oczywiście – toczyły się dalej myśli Orra, także w tempie spacerowym – jeśli to prawda, to cały świat w obecnym 190

kształcie powinien być po mojej stronie, bo w znacznej mierze też go wyśniłem. No, właściwie to jest po mojej stronie. To znaczy jestem jego częścią, a nie czymś oddzielnym. Depczę ziemię, a ziemia jest deptana przeze mnie, wdycham powietrze i zmieniam je, świat i ja istniejemy w całkowitej współzależności od siebie.

Tylko Haber jest inny i różni się coraz bardziej z każdym snem. Jest przeciwko mnie, moje połączenie z nim jest negatywne. I czuję się wyalienowany z tego aspektu świata, za który jest odpowiedzialny, który kazał mi wyśnić. Jestem względem niego bezsilny...

Nie jest zły. Ma rację, powinno się próbować pomagać innym. Ale ta analogia z surowicą przeciw jadowi węża była fałszywa. Mówił o jednej osobie spotykającej inną osobę odczuwającą ból. To co innego. Może to, co zrobiłem w kwietniu cztery lata temu... może to miało uzasadnienie..." Ale jak zwykle myśli Orra umknęły z wypalonego miejsca. – 'Trzeba pomagać innym. Ale odgrywanie Boga względem tłumów nie jest właściwe. Aby być Bogiem, trzeba wiedzieć, co się robi. A żeby w ogóle uczynić jakieś dobro, nie wystarczy wiara w słuszność własnego postępowania i szlachetność motywów. Trzeba... wyczuwać innych. On nikogo nie wyczuwa. Dla niego nikt inny, nawet nic innego nie istnieje samodzielnie. On widzi świat tylko jako środek do osiągnięcia własnego celu. Nie sprawia żadnej różnicy, czyjego cel jest słuszny, bo mamy tylko środki... Nie potrafi zaakceptować, nie potrafi zostawić w spokoju, nie potrafi popuścić. Jest nienormalny... Gdyby udało mu się śnić tak jak mnie, porwałby nas wszystkich ze sobą, gdzie nie wyczuwalibyśmy innych. Co robić?"

Doszedł do tego pytania, zbliżając się do starego domu przy Corbet. Zatrzymał się w suterenie, aby pożyczyć staromodny fonograf od Manniego Ahrensa, dozorca. Wiązało się to ze wspólnym wypiciem dzbanka herbatki. Mannie zawsze ją parzył dla Orra, bo Orr nigdy nie palił i nie mógł wdychać nie kaszłąc. Porozmawiali trochę o kwestiach światowych. Mannie nie znosił Widowisk Sportowych i codziennie po południu zostawał w domu, oglądając widowisko edukacyjne ŚCP dla dzieci nie przebywających jeszcze w Ośrodkach Dziecięcych.

–Ten aligator-marionetka, Dooby Doo, to prawdziwy twardziel – powiedział. Rozmowa rwała się, odzwierciedlając dziury w tkaninie umysłu Manniego, przetartej od nieustannego stosowania chemikaliów. Ale w jego biednej suterenie było spokojnie i zacisznie, a słaba herbata z konopi indyjskich łagodnie odprężyła Orra. W końcu zatańczył fonograf na górę i włączył do gniazdka w ścianie nieumeblowanego saloniku. Położył płytę na talerzu i uniósł igłę nad obracający się krążek. Czego chciał?

Nie wiedział. Chyba pomocy. Cóż, co będzie, będzie do przyjęcia, jak powiedział Tiua'k Ennbe Ennbe.

Ostrożnie ustawił igłę na zewnętrznym rowku i położył się na zakurzonej podłodze obok fonografu. Doyou need anybody? I need somebody to love.

Urządzenie było automatyczne. Po odtworzeniu płyty cicho przez chwilę mruczało, strzelało czymś w środku i cofało igłę do pierwszego rowka.

I get by, with a little Help,

With a little help from my friends.

Przy jedenastej powtórce Orr głęboko zasnął.

Heather obudziła się, zaniepokojona, w wysokim, pustym, słabo oświetlonym pokoju. Gdzie, u diabła?

Spała. Zasnęła, siedząc na podłodze z wyciągniętymi nogami, opierając się plecami o pianino. Zawsze robiła się senna i ogłupiała od marihuany, ale nie można było zranić uczuć Manniego, odmawiając biednemu staremu ćpunowi. George leżał płasko na podłodze jak obdarty ze skóry kot, tuż obok fonografu, który powoli przegryzał się przez "With a Little Help" do samego talerza. Powoli ściszyła głos i zatrzymała

urządzenie. George nawet się nie poruszył. Usta miał lekko rozchylone, a oczy mocno zamknięte. Zabawne, że oboje zasnęli, słuchając muzyki. Uklękła, wstała i poszła do kuchni zobaczyć, co jest na kolację.

Na litość boską, wieprzowa wątróbka. Pożywna i jeśli chodzi o wagę, najlepsze, co można było dostać na trzy odcinki z kartki mięsnej. Wybrała ją wczoraj w Centrum. Cóż, pokrojona naprawdę cienko i usmażona z soloną wieprzowiną i cebulą... blee. Och, jest wystarczająco głodna, żeby zjeść wieprzową wątróbkę, a George nie jest wybredny. Przyzwoite jedzenie jadł ze smakiem, a paskudną wątróbkę jadł. Chwalcie Boga, od którego pochodzą wszelkie łaski, a także dobroduszni ludzie.

Nakrywając stół kuchenny i nastawiając do gotowania dwa ziemniaki i pół kapusty, co pewien czas przerywała krzątaniem. Czuła się dziwnie zdezorientowana. Pewnie od tej cholernej marihuany i kłódnienia się spać na podłodze o najdziwniejszych porach.

Wszedł George, rozczochrany, w zakurzonej koszuli. Wytrzeszczył na nią oczy. Odezwała się:

–No, dzień dobry!

Stał, patrząc na nią i uśmiechając się szeroko promiennym uśmiechem czystej radości. Nigdy w życiu nie spotkał jej tak wspaniały komplement Peszyła ją ta radość z jej powodu.

–Moja kochana żona – powiedział, ujmując ją za rękę. Przyjrzał się jej dłoniom z góry i od spodu, po czym przyłożył je sobie do twarzy. – Powinnaś być śniada – powiedział i ku swemu przerażeniu zobaczyła w jego oczach łzy. Przez chwilę, przez tę jedną chwilę miała świadomość, co się dzieje. W jednym przebłysku przypomniała sobie, że była brązowa, przypomniała sobie ciszę w chacie nocą, hałas strumienia i wiele innych rzeczy. Ale George był o wiele ważniejszy. Obejmowała go tak, jak on ją obejmował.

–Jesteś wykończony – odezwała się – i zdenerwowany, zasnęłeś na podłodze. To przez tego łajdaka Habera. Nie wracaj do niego. Po prostu nie wracaj. Nie obchodzi mnie, co robi, założymy sprawę, odwołamy się i nawet jeśli wyskoczy z nakazem Przymusu i wsadzi cię do Linnton, znajdziemy ci innego psychiatrę i wydostaniemy cię stamtąd. Nie możesz dalej z nim pracować, on cię niszczy.

–Nikt nie może mnie zniszczyć – odparł i jakby się zaśmiał gdzieś z głębi piersi, prawie jakby zaszlochał – dopóki korzystam z niewielkiej pomocy przyjaciół. Wrócę, to już długo nie potrwa. O siebie już się nie martwię. Ale nie przejmuj się... – Obejmowali się kurczowo, przytuleni do siebie we wszystkich możliwych miejscach, całkowicie zjednoczeni, a wątróbka i cebula skwierczały na patelni.

–Ja też zasnęłam – powiedziała do jego szyi. – To przepisywanie na maszynie głupich listów starego Ruttego strasznie mnie otumanilo. Dobrą płytę kupiłeś. Uwielbiałam Be-194

atlesów, gdy byłam dzieckiem, ale rozgłoszenie rządowe już ich nie nadają.

–Dostałem ją w prezencie – powiedział Orr, ale wątróbka zaczęła strzelać na patelni i Heather musiała się nią zająć. Przy kolacji George ją obserwował, a ona nie pozostała mu dłużna. Byli małżeństwem od siedmiu miesięcy. Nie mówili nic ważnego. Zmyli naczynia i poszli do łóżka. Tam się kochali. Miłość nie istnieje tak po prostu, jak kamień; trzeba ją sprawiać, robić jak chleb, cały czas odnawiać, odświeżać. Kiedy już jej dokonali, zasnęli, leżąc w swych ramionach, obejmując miłość. We śnie Heather słyszała grzmot strumienia pełnego śpiewu nie narodzonych dzieci.

W swoim śnie George widział głębiny otwartego morza.

Heather pracowała jako sekretarka w niepotrzebnej i wiekowej spółce prawniczej "Ponder i Rutti". Kiedy następnego dnia, w piątek, wyszła z pracy o wpół do piątej, nie pojechała jednotorówką i trolejbusem do domu, lecz koleją linową do Parku Waszyngtona. Powiedziała George'owi, że może się z nim spotkać w ULBIR-ze, skoro jego sesja terapeutyczna zaczyna się dopiero o piątej, a potem mogliby razem wrócić do śródmieścia i zjeść w jednej z restauracji ŚCP na Promenadzie Międzynarodowej.

–Pójdzie dobrze – powiedział, rozumiejąc jej motywy i mając na myśli, że nic mu się nie stanie. Odparła:

–Wiem. Ale miło byłoby zjeść na mieście, a zaoszczędziłam trochę kartek. Nie byliśmy jeszcze w Casa Boliviana.

Przyszła do wieżowca ULBIR wcześniej i zaczęła na szerokich marmurowych schodach. Przyjechał następnym wagonem. Widziała, jak wysiada z innymi, których nie dostrzegła. Niski, zgrabny, zachowujący się z wielką rezerwą,

z przyjemnym wyrazem twarzy mężczyzna. Poruszał się dobrze, choć lekko się garbił jak większość pracujących za biurkiem. Gdy ją spostrzegł, jego czyste i jasne oczy jakby się rozjaśniły jeszcze bardziej. Uśmiechnął się znów tym przeszywającym serce uśmiechem czystej radości. Kochała go aż do bólu. Jeśli Haber znów mu coś zrobi, ona wejdzie do niego i rozszarpie go na strzępy. Zwykle gwałtowne uczucia były jej obce, ale nie wtedy, gdy chodziło o George'a. A w każdym razie z jakiegoś powodu tego dnia czuła się inaczej niż zwykle. Czuła się bardzo zuchwała, twardsza. W pracy dwa razy powiedziała głośno "cholera", aż stary Rutti się wzdrygnął. Przedtem prawie w ogóle nie mówiła głośno "cholera" i wcale nie zamierzała tego robić w pracy, a jednak stało się, jakby był to nawyk zbyt stary, żeby się go pozbyć...

–Cześć, George – powiedziała.

–Cześć – odpowiedział, ujmując ją za rękę. – Jesteś piękna, piękna.

Jak można było uważać, że to chory człowiek? No dobrze, ma dziwne sny. To o wiele lepiej niż być po prostu podłym i znieawidzonym jak mniej więcej jedna czwarta ludzi, których znała.

–Już piąta – rzekła. – Poczekam tu na dole. Gdyby padało, będę w holu. Wewnątrz, z tym czarnym marmurem i w ogóle, wygląda jak w grobowcu Napoleona. A tu jest przyjemnie. Słyszać lwy ryczące w zoo na dole.

–Chodź ze mną na górę – zaproponował. – Już pada. – Rzeczywiście, nieustająca ciepła wiosenna mżawka: lód An-tarktyki miękko spadający na głowy dzieci ludzi odpowiedzialnych za jego stopienie. – Ma przyjemną poczekalnię. Prawdopodobnie będzie już tam kilka grubych ryb FedNaru 196

i ze czterech szefów państw i wszyscy będą nadskakiwać Dyrektorowi ULBIR-u. I za każdym cholernym razem muszę się przez nich przeczołgać, żeby zostać wpuszczonym do środka przed nimi. Obłaskawiony psychopata doktora Ha-bera. Jego eksponat. Jego pacjent pro forma... – Prowadził ją przez ogromny hol pod kopułą jak w Panteonie do ruchomych pasaży, a potem w górę po spirali niewiarygodnymi, wyraźnie nie kończącymi się ruchomymi schodami. – UL-BIR naprawdę rządzi światem – powiedział. – Ciągłe się zastanawiam, po co Haberowi jakakolwiek inna forma władzy. Bóg świadkiem, że ma jej wystarczająco dużo. Dlaczego nie może poprzestać na tym? To chyba jak z Aleksandrem Wielkim, ta potrzeba nowych światów do podbijania. Nigdy tego nie rozumiałem. Jak było w pracy?

Był spięty i dlatego mówił tak dużo. Nie wydawał się jednak przygnębiony albo

zmartwiony jak przez kilka ostatnich tygodni. Coś przywróciło mu jego naturalny spokój. Tak naprawdę to nigdy nie wierzyła, żeby mógł go stracić na długo, zgubić swój sposób postępowania, wypaść z rytmu. A jednak stawał się coraz bardziej nieszczęśliwy. Teraz nie zostało po tym śladu i zmiana nastąpiła tak szybko i tak całkowicie, że Heather zastanawiała się, co tak naprawdę ją spowodowało. Mogła ją jedynie wywieść od zeszłego wieczora, kiedy siedzieli w ciągle nie umeblowanym saloniku, słuchając tej pomyłonej i subtelnej piosenki Beatlesów, i oboje zasnęli. Od tego czasu był znów sobą.

W dużej, lśniącej poczekalni Habera nie było nikogo. George podał swoje nazwisko biurkopodobnemu przedmiotowi przy drzwiach – autorecepcjonistce, jak wyjaśnił Heather. Nerwowo zażartowała w kwestii tego, czy mają też

autopanienci, kiedy otworzyły się drzwi i stanął w nich Ha-ber.

Widziała go tylko raz, i to krótko, gdy po raz pierwszy zajął się George'em. Zapomniała, jakim dużym jest mężczyzną, jaką dużą ma brodę, jakie silne sprawia wrażenie.

–Wejdz, George! – zagrzmiął. Ogarnął ją strach. Skuliła się. Zauważył ją. – Pani Orr! Miło panią zobaczyć. Cieszę się, że pani przyszła. Proszę, niech pani też wejdzie.

–Ach nie. Ja tylko...

–Ależ tak. Czy zdaje sobie pani sprawę, że to prawdopodobnie ostatnia sesja George'a? Powiedział pani o tym? Dzisiaj kończymy. Z całą pewnością powinna pani być przy tym obecna. Proszę. Puściłem personel wcześniej. Chyba widziała pani ten popłoch na schodach jadących w dół. Miałem ochotę mieć dziś wieczorem to wszystko wyłącznie dla siebie. Tak, proszę tam usiąść. – Mówił bez przerwy i nie było potrzeby odpowiadać czymś sensownym. Fascynowało ją zachowanie Habera, ten wydzielany przez niego entuzjazm. Zapomniała, jaką ma władczą, dobrotliwą osobowość przerastającą rzeczywistość. Nie do wiary, żeby taki człowiek, przywódca świata i wielki naukowiec, spędzał tyle tygodni na osobistej terapii George'a, który jest nikim. Ale oczywiście przypadek George'a jest bardzo ważny dla badań.

–Ostatnia sesja – mówił, dopasowując coś przy wyglądającym na komputer urządzeniu w ścianie u wezłowania kozetki. – Ostatni kontrolowany sen i chyba mamy kłopot z głową. Wchodzisz w to, George?

Często używał imienia jej męża. Pamiętała, jak parę tygodni temu George powiedział: "Ciągle wymawia moje imię, chyba dlatego, żeby nie zapomnieć o obecności innej osoby". 198

–Jasne – odpowiedział George i usiadł na kozetce, nieco unosząc twarz. Zerknął na Heather i uśmiechnął się. Haber od razu zaczął przyczepiać mu do głowy jakieś drobiazgi na drucikach, rozgarniając w tym celu jego gęste włosy. Heather pamiętała tę procedurę z własnego "nadruku umysłu", składającego się na całą baterię testów i zapisów dokonywanych dla każdego obywatela FedNaru. Widok tych czynności przeprowadzanych z jej mężem napawał ją niepokojem. Jak gdyby te elektrody były ssawkami, które wysuszą głowę George'a z myśli i zmieniają je w zawijasy na kawałku papieru, w nic nie znaczące pismo szaleńca. Twarz Orra przybrała wyraz najwyższego skupienia. O czym myśli?

Haber położył nagle dłoń na gardle George'a, jakby chciał go udusić, a drugą ręką

włączył taśmę z nagraniem przez niego hipnotyzerską gadką: "Wchodzisz w hipnozę..."
Po kilku sekundach zatrzymał ją i sprawdził stan George'a. Był zahipnotyzowany.

–O.K. – rzekł Haber i zatrzymał się, najwyraźniej zastanawiając się nad czymś.
Ogromny jak niedźwiedź grizzly stojący na tylnych łapach stał między nią i drobną, bierną postacią na kozetce.

–Słuchaj teraz uważnie, George, i zapamiętaj, co powiem. Jesteś pogrążony w głębokiej hipnozie i będziesz dokładnie wykonywał wszystkie moje polecenia. Kiedy ci powiem, zapadniesz w sen i będziesz śnił. Przyśni ci się sen efektywny. Przyśni ci się, że jesteś absolutnie normalny, że jesteś jak wszyscy inni. Przyśni ci się, że kiedyś miałeś, albo tak ci się wydawało, zdolność śnienia efektywnego, ale teraz już tak nie jest. Odtąd twoje sny będą jak u wszystkich innych, będą miały znaczenie tylko dla ciebie, bez skutków dla

rzeczywistości zewnętrznej. Wszystko to ci się przyśni. Niezależnie od symbolizmu, w jaki wyrazisz ten sen, jego treścią efektywną będzie to, że nie potrafisz już śnić efektywnie. Będzie to przyjemny sen i obudzisz się z niego rażony i wypoczęty, gdy trzy razy wypowiem twoje imię. Po tym śnie nigdy już nie będziesz śnił efektywnie. Teraz się połóż. Ułóż się wygodnie. Zасыpiasz. Śpisz. Antwerpia!

Gdy wypowiadał to ostatnie słowo, usta George'a poruszyły się. Powiedział coś cichym, nieobecnym głosem mówiącego przez sen. Heather nie usłyszała, co to było, ale od razu pomyślała o ostatniej nocy: już zasypiała, wtulona w niego, gdy powiedział coś głośno. Brzmiało jak "el promienne". "Co?" – spytała wtedy, ale on nie odpowiedział, bo spał. Tak jak teraz.

Serce się jej skurczyło, gdy patrzyła na niego, jak leży na kozetce z rękoma ułożonymi spokojnie po bokach, bezbronny.

Haber wstał i przycisnął biały guzik z boku urządzenia u wezłowania kozetki. Prowadziły do niego niektóre przewody elektrod. Inne były podłączone do elektroencefalografii, którą rozpoznała. A to w ścianie to pewnie Wzmacniacz, główny czynnik wszystkich badań.

Haber podszedł do niej, gdzie głęboko zapadła się w ogromny skórzany fotel. Prawdziwa skóra, zapomniała dotyku prawdziwej skóry. Trochę jak winyskóra, ale bardziej interesująca dla palców. Była przestraszona. Nie rozumiała, co się dzieje. Spojrzała spod oka na wielkiego mężczyznę stojącego przed nią, na niedźwiedziaszamanaboga.

–To punkt kulminacyjny, pani Orr – mówił ściszym tonem – długiego ciągu sugerowanych snów. Od tygodni przygotowaliśmy się do tej sesji, do tego snu. Cieszę się, że 200

pani przyszła, nie przyszło mi do głowy, żeby panią zaprosić, ale pani obecność ma dodatkowy wpływ na jego poczucie pełnego bezpieczeństwa i zaufania. Wie, że przy pani nie mogę wykręcić żadnego numeru! Tak? Właściwie jestem prawie pewien sukcesu. Uda się. Skoro tylko zniknie ten obsesyjny strach przed śnieniem, zależność od środków nasennych zostanie całkowicie przełamana. To kwestia wyłącznie warunkowania... Muszę pilnować EEG, teraz już śni. – Szybki i zwalisty, przeszedł przez pokój. Siedziała spokojnie, obserwując spokojną twarz George'a, z której znikł wyraz skupienia, w ogóle wszelki wyraz. Tak mógł wyglądać w chwili śmierci.

Doktor Haber był zajęty swoimi urządzeniami, gorączkowo zajęty. Kłaniał się nad nimi, coś poprawiał, obserwował. Na George'a nie zwracał w ogóle uwagi.

–No – powiedział cicho. Heather pomyślała, że nie do niej, bo stanowił swoje własne audytorium. – Dobrze. Teraz. Teraz mała przerwa, na chwilę sen drugiej fazy pomiędzy marzeniami. – Zrobił coś przy urządzeniu w ścianie. – A potem przeprowadzimy mały test... – Znow do niej podszedł. Wolałaby, żeby zupełnie ją ignorował, zamiast udawać, że do niej mówi. Wydawało się, że nie zna korzyści płynących z ciszy. – Pani mąż oddaje nieocenione usługi naszemu ośrodkowi badawczemu, pani Orr. To wyjątkowy pacjent To, czego dowiedzieliśmy się o istocie śnienia i zastosowaniu snów w terapii warunkowania zarówno pozytywnego jak i negatywnego, będzie miało dosłownie nieocenioną wartość w każdej dziedzinie życia. Wie pani, co znaczy "ULBIR": Użyteczność dla Ludzkości: Badania i Rozwój. Cóż, wszystko czego dowiedzieliśmy się z tego przypadku, będzie miało

ogromną, dosłownie ogromną użyteczność dla ludzkości. Zdumiewające, że rozwinęło się to z pozornie rutynowego drobnego przypadku nadużywania leków! A najbardziej zdumiewające jest to, że wyrobownicy z MedSzkoły mieli na tyle rozumu, żeby zauważyć w tym przypadku coś szczególnego i odesłać go do mnie. Taka wnikliwość u akademickich psychologów klinicznych trafia się bardzo rzadko. – Wzrok miał cały czas utkwiony w zegarku. – No, z powrotem do Maleństwa – powiedział i szybko przeszedł przez pokój. Znow coś pomajstrował przy Wzmacniaczu i powiedział głośno: -George. Ciągłe śpisz, ale mnie słyszysz. Słyszysz i rozumiesz mnie doskonale. Kiwnij lekko głową, jeśli mnie słyszysz.

Spokojna twarz nie zmieniła wyrazu, ale głowa pochyliła się. Jak głowa marionetki.

–Dobrze. Teraz słuchaj uważnie. Przyśni ci się jeszcze jeden wyraźny sen. Przyśni ci się, że... że mam tu w gabinecie fotościanę. Jest to ogromne zdjęcie góry Hood, całej pokrytej śniegiem. Przyśni ci się, że widzisz ją na ścianie za biurkiem, tu w moim gabinecie. Dobrze. A teraz zaśniesz i będziesz miał sen... Antwerpia.

Znow krzątał się i kłaniał w kierunku urządzeń.

–Dobrze – wyszeptał. – Dobrze... O.K... Tak.

Urządzenia znieruchomiały. George leżał nieruchomo. Nawet Haber przestał się ruszać i mamrotać. W wielkim, miękko oświetlonym pomieszczeniu, którego ściana ze szkła wychodziła na deszcz, panowała cisza. Haber stał obok EEG z głową zwróconą w kierunku ściany za biurkiem.

Nic się nie stało.

Heather zatoczyła palcami lewej dłoni maleńkie kółko na elastycznej, ziarnistej powierzchni fotela, na tym, co niegdyś 202

było skórą żywego zwierzęcia, powierzchnią styku krowy i wszechświata. Zaczęła ją prześladować melodia ze starej płyty, której słuchali wczoraj.

What do you see when you turn the light? Ucan't tellyou, but I know it's mine...

Nigdy nie sądziła, że Haber potrafi tak długo stać nieruchomo i zachowywać milczenie. Raz tylko jego palce powędrowały do jakiegoś pokrętła. Potem znow znieruchomiał, obserwując ścianę.

George westchnął, uniósł sennym gestem rękę, rozluźnił się i obudził. Zamrugał oczyma i usiadł. Jego wzrok od razu powędrował do Heather, jakby chciał się

upewnić, że jeszcze tu jest

Haber zmarszczył się i konwulsyjnym ruchem przycisnął któryś z dolnych guzików Wzmacniacza.

–Co do diabła! – wykrzyknął. Wpatrywał się w ekran EEG wciąż roztańczony od linii wykresów. – Wzmacniacz wytwarzał prądy stanu M, jak się do cholery obudziłeś?

–Nie wiem – George ziewnął. – Po prostu się obudziłem. Czy nie dał mi pan polecenia, żebym wkrótce się obudził?

–Na ogół tak robię. Na dany sygnał. Ale jak, u diabła, przełamałeś stymulację Wzmacniacza... Będę musiał zwiększyć moc, najwyraźniej postępowałem zbyt ostrożnie. – Nie było żadnych wątpliwości, że mówił teraz do samego Wzmacniacza. Gdy skończył rozmowę, odwrócił się gwałtownie do George'a i powiedział: – No dobrze. Co ci się śniło?

–Że na ścianie, tu za moją żoną, jest widok góry Hood. Wzrok Habera pomknął do nagiej ściany wyłożonej boazerią z drewna sekwoi i z powrotem do George'a.

–Coś jeszcze? Przypominasz sobie coś z poprzedniego snu?

–Chyba tak. Chwileczkę... Chyba śniło mi się, że śnię albo coś takiego. Było to dosyć poplątane. Znajdowałem się w sklepie. Właśnie – kupowałem nowe ubranie u "Meiera i Franka** i musiałem mieć niebieską bluzę, bo miałem dostać nową pracę czy coś takiego. Nie pamiętam. W każdym razie mieli tabelkę, w której było napisane, ile powinno się ważyć przy danym wzroście i na odwrót. A ja znalazłem się w samym środku obu skal dla mężczyzn o przeciętnej budowie.

–Innymi słowy, w normie – rzekł Haber i nagle się roześmiał. Miał potężny śmiech. Po całym tym napięciu i ciszy mocno przestraszył Heather. – W porządku, George. Zupełnie w porządku. – Klepnął George'a po ramieniu i zaczął zdejmować mu elektrody z głowy. – Udało nam się. Doszliśmy do celu. Jesteś wolny. Wiesz o tym?

–Chyba tak – odparł George łagodnie.

–Zrzuciłeś wielki ciężar. Tak?

–Na pańskie ramiona?

–Na moje ramiona. Tak! – Znów ten mocny, gwałtowny śmiech, nieco przeciągnięty. Heather zastanawiał się, czy Haber zawsze jest taki, czy też znajduje się w stanie najwyższego podniecenia.

–Doktorze Haber – powiedział jej mąż – czy rozmawiał pan kiedykolwiek z jakimś Obcym o śnieniu?

–Masz na myśli Aldebaranina? Nie. Forde próbował w Waszyngtonie przeprowadzić z nimi kilka naszych testów, łącznie z całą serią testów psychologicznych, ale wyniki okazały się bez znaczenia. Po prostu nie przezwyciężyliśmy problemu komunikacji. Są inteligentni, ale Irchevsky, nasz naj-204

lepszy ksenobiolog sądzi, że wcale mogą nie być rozumni i że to, co wygląda wśród ludzi na zachowanie społecznie integrujące, jest tylko instynktownym mimetyzmem przystosowawczym. Nie da się tego stwierdzić na pewno. Nie można im zrobić EEG i w gruncie rzeczy nie możemy nawet stwierdzić, czy w ogóle śpią, a co dopiero czy mają sny?

–Czy zna pan termin iahklu? Haber zawahał się przez chwilę.

–Słyszałem go. Jest nieprzetłumaczalny. Doszedłeś do wniosku, że oznacza "śnić", co? George potrząsnął głową.

–Nie wiem, co to znaczy. Nie udaję, że dysponuję wiedzą, której pan nie ma, ale naprawdę uważam, że zanim zacznie pan stosować tę... tę nową technikę, doktorze Haber, zanim zacznie pan śnić, powinien pan porozmawiać z jednym z Obcych.

–Z którym? – Nutka ironii była wyraźna.

–Z którymkolwiek. To nie ma znaczenia. Haber roześmiał się.

–A o czym, George?

Heather dostrzegła błysk w jasnych oczach jej męża, gdy podniósł wzrok na większego mężczyznę.

–O mnie. O śnieniu. O iahklu. To nie ma znaczenia. Dopóki pan słucha. Będą wiedzieli, o co panu chodzi, bo mają w tym wszystkim w wiele więcej doświadczenia niż my.

–W czym wszystkim?

–W śnieniu i w tym, czego śnienie jest aspektem. Robią to od dawna. Pewnie od zawsze. Należą do czasu snu. Nie rozumiem tego, nie potrafię tego wyrazić słowami. Wszystko śni. Gra kształtu, istnienia, to sen materii. Skały mają swoje sny, od których zmienia się ziemia... Ale kiedy umysł

zdoływa świadomość, kiedy zwiększa się tempo ewolucji, trzeba być ostrożnym. Ostrożnym ze światem. Trzeba się nauczyć sposobów. Świadomy umysł musi stanowić część całości celowo i ostrożnie, tak jak skała stanowi część całości nieświadomie. Rozumie pan? Czy cokolwiek to dla pana znaczy?

–Nie jest to dla mnie nowość, jeśli o to ci chodzi. Dusza świata i tak dalej. Synteza przednaukowa. Mistycyzm to jedno z podejść do natury śnienia lub rzeczywistości, choć jest to nie do przyjęcia dla chcących i potrafiących posługiwać się rozumem.

–Nie wiem, czy tak jest naprawdę – powiedział George bez śladu urazy, chociaż z wielkim przekonaniem. – Ale w takim razie z naukowej ciekawości proszę spróbować czegoś takiego: przed podłączeniem się do Wzmacniacza, przed włączeniem go, kiedy będzie pan zaczynał autosugestię, niech pan powie: "Er* perrehnne". Na głos lub w duchu. Jeden raz. Wyraźnie. Niech pan spróbuje.

–Po co?

–Bo to działa.

–Jak "działa"?

–Otrzymuje pan niewielką pomoc od przyjaciół – odparł George. Wstał. Heather patrzyła na niego przerażona. To, co mówił, brzmiało idiotycznie. Zwiariował od leczenia Ha-bera, tak jak przewidywała. Ale Haber nie reagował, jakby rozmawiał z psychiatrą.

–Jedna osoba nie może dać sobie rady z iahklu – ciągnął George – bo wymyka się spod kontroli. Oni wiedzą, jak to kontrolować. A właściwie nie kontrolować, to niewłaściwe słowo. Raczej jak utrzymać we właściwym miejscu, puścić właściwym torem... Ja tego nie rozumiem. Może panu się 206

uda. Niech pan poprosi ich o pomoc. Niech pan powie "Er* perrehnne", zanim... zanim pan wciśnie guzik START.

–Może w tym coś być – powiedział Haber. – Może warto by to zbadać. Zajmę się tym, George. Poproszę tu jakiegoś Aldebaranina z Centrum Kultury i zobaczę, czy uda mi się zdobyć jakieś informacje na ten temat... Chińszczyzna dla pani, co, pani Orr? Ten pani mąż powinien zająć się psychiatrią od strony badawczej, marnuje się jako kreślarz. – Dlaczego to powiedział? George jest projektantem parków i placów zabaw. – Ma smykałkę, samorodny talent. Nigdy nie pomyślałem o wciągnięciu w to Aldebaranian, ale to mógłby być świetny pomysł. Ale może jest pani zadowolona, że nie jest psychiatrą, co? To straszne, gdy małżonek przy kolacji analizuje nasze

nieświadome pragnienia, co? – Huczał i grzmiał odprowadzając ich do drzwi. Heather była oszołomiona, chciało jej się płakać.

–Nie znoszę go – powiedziała z ogniem, jadąc w dół spiralnymi schodami. – To straszny człowiek. Fałszywy. Wielki oszust.

George wziął ją pod rękę. Nic nie powiedział.

–Skończył z tobą? Naprawdę skończył? Nie będziesz już więcej potrzebował lekarstw i skończyłeś już te okropne sesje?

–Chyba tak. Włączy moje papiery do akt i w ciągu półtora miesiąca powinienem dostać zawiadomienie o zwolnieniu z terapii. Jeśli będę się dobrze zachowywał. – Uśmiechnął się nieco zmęczonym uśmiechem. – Ciężko to przeszłaś, kochanie, aleja nie. Tym razem nie. Jednak jestem głodny. Dokąd pójdziemy na kolację? Do Casa Boliviana?

–Do Chińskiej Dzielnicy – odparła i zamilkła. – Cha, cha – dodała. Stara dzielnica chińska została zlikwidowana wraz

z resztą śródmieścia przynajmniej dziesięć lat temu. Z jakiegoś powodu zupełnie o tym przez chwilę zapomniała. – To znaczy do Ruby Loo – powiedziała skonsternowana.

George przyciągnął ją do siebie.

–Dobrze – powiedział.

Łatwo było tam trafić. Kolej stawała po drugiej stronie rzeki w starym Centrum Lloyd'a, niegdyś największym centrum handlowym świata, dawno przed Załamaniem. Teraz ogromne wielopoziomowe parkingi podzieliły lis dinozaurów, a wiele sklepów i domów towarowych wzdłuż dwupoziomowej promenady było pustych, zabitych deskami. Lodowisko świeciło pustkami od dwudziestu lat. Z dziwacznych romantycznych fontann z poskręcane go metalu nie ciekła woda. Ozdobne drzewka strzeliły w górę, a chodnik wokół walcowatych pojemników, w których je posadzono, popękał od korzeni na dobre kilka metrów. Głosy i kroki dźwięczały zbyt wyraźnie, choć nieco głucho, przed i za chodzącymi pod arkadami tych długich, na wpół oświetlonych, na wpół opuszczonych pasaży.

Restauracja Ruby Loo mieściła się na górnym poziomie. Gałęzie kasztanowca prawie całkowicie zasłaniały jej przeszkloną fasadę. Niebo nad głową miało intensywny jasnozielony kolor, jaki się krótko widzi w wiosenne czyste wieczory po deszczu. Heather spojrzała w to jaszczurkowe, odległe, nieprawdopodobne, spokojne niebo. Serce w niej urosło, poczuła, jak niepokój zaczyna ją opuszczać, jakby zrzucała skórę. Ale nie trwało to długo. Nastąpiło dziwne odwrócenie, przesunięcie. Jakby coś ją złapało, powstrzymywało. Prawie się zatrzymała. Oderwała wzrok od jaszczurkowego nieba i spojrzała w puste, mroczne przejście przed sobą. Dziwne miejsce. 208

–Strasznie tu – odezwała się.

George wzruszył ramionami, ale twarz miał napiętą i raczej ponurą.

Zerwał się wiatr, za ciepły na kwiecień w dawnych czasach, wilgotny, gorący wiatr poruszający wielkimi zielono-nopalczystymi gałęziami kasztanowca, rozgarniający śmiecie wzdłuż długich, opuszczonych zakrętów. Czerwony neon za ruszającymi się gałęziami przygasł i zachwiał się na wietrze, jakby zmieniał kształt. Napis nie głosił już: "Ruby Loo", w ogóle nic nie znaczył. Nic już nie miało znaczenia. Pusty wiatr wiał w pustych przejściach. Heather odwróciła się od George'a i podeszła do najbliższej ściany. Płakała. Instynktownie chciała się ukryć przed bólem, dotrzeć do kąta w ścianie i schować się.

–Co to takiego, kochanie... Już dobrze. Trzymaj się, wszystko będzie w porządku.

Pomyślała: "Wariuję. To nie George, to wcale nie George zwariował, tylko ja".

–Wszystko będzie w porządku – wyszeptał jeszcze raz, ale usłyszała w jego głosie, że w to nie wierzy. Wyczuła w jego rękach, że w to nie wierzy.

–Co się stało? – krzyknęła w rozpacz. – Co się stało?

–Nie wiem – powiedział niemal z roztargnieniem. Uniósł głowę i nieco odsunął się od Heather, choć nadal trzymał ją w objęciach, aby przestała płakać. Sprawiał wrażenie, że coś obserwuje, czegoś słucha. Czuła mocne i równe bicie jego serca.

–Heather, posłuchaj. Będę musiał wrócić.

–Dokąd? Co takiego się stało? – głos miała cienki.

–Do Habera. Muszę iść. Już. Czekać na mnie w restauracji. Czekać na mnie, Heather. Nie idź za mną.

Poszedł. Musiała iść za nim. Poszedł szybko, nie oglądając się, w dół długimi schodami pod arkadami, obok wyschłych fontann, do kolei linowej. Na końcowym przystanku czekał wagon. Wskoczył do niego. W chwili, kiedy wagon ruszał, Heather wpadła do środka. Powietrze paliło ją w płucach.

–Co do diabła, George!

–Przepraszam. – Też dyszał. – Muszę się tam dostać. Nie chciałem cię w to wplątywać.

–W co? – Gardziła nim. Usiedli naprzeciw siebie, ciężko oddychając. – Co to za dzikie przedstawienie? Po co tam wracasz?

–Haber... – Przez chwilę George'owi zabrakło śliny. – Śni. Heather poczuła, że ogarnia ją głębokie bezrozumne przerażenie. Zignorowała je.

–O czym? No to co?

–Spójrz przez okno.

Kiedy biegli i od chwili, gdy wsiedli do kolejki, patrzyła tylko na niego. Przejeżdżali właśnie przez rzekę, wysoko nad wodą. Iyiko że nie było wody. Rzeka wyschła. Dno popękało i ociekało szlamem w światłach mostów, wstrętne, pełne oleju, kości, zgubionych narzędzi i umierających ryb. W ogromnych, oślizgłych dokach leżały na boku zdewastowane wielkie statki.

Budynki w centrum Portland, Stolicy Świata, wysokie, nowe, wspaniałe sześciany z kamienia i szkła poprzedzielane odmierzonymi dawkami zieleni, fortece rządowe – Badanie i Rozwój, Łączność, Przemysł, Planowanie Gospodarcze, Ochrona Środowiska – roztapiały się. Robiły się rozmokłe i chwiejne jak galaretka pozostawiona na słońcu. Narożniki spłynęły już po krawędziach, zostawiając wielkie smugi. 210

Kolej sunęła bardzo szybko i nie zatrzymywała się na przystankach. "Coś musiało się stać z liną" – pomyślała Heather obojętnie. Kołysali się mocno nad rozpuszczającym się światem, na tyle nisko, aby słyszeć dudnienie i krzyki.

W miarę jak wagon się wznosił, zza głowy George'a siedzącego twarzą do Heather wyłoniła się góra Hood. Może zobaczył trupi blask odbity w jej twarzy lub oczach, bo od razu odwrócił się. Ujrzał ogromny odwrócony stożek ognia.

Wagon chwiał się szaleńczo nad otchłanią między odkształcającym się miastem i

bezkształtnym niebem.

• Wygląda na to, że nic dzisiaj nie wychodzi, jak powinno -odezwała się głośno drżącym głosem kobieta siedząca w głębi.

Blask erupcji był przerażający i wspaniały. W porównaniu z pustym obszarem leżącym teraz przed wagonem przy górnym końcu linii, ogromna, materialna, geologiczna potęga żywiołu dawała oparcie.

Przeczcucie, które ogarnęło Heather, gdy odrywała wzrok od jodeitowego nieba, stało się teraz obecnością. Coś tam było. Obszar albo okres pewnej pustki. Obecność nieobecności: nieokreślone istnienie bez żadnych cech, do którego wpadało wszystko i z którego nic się nie wydostawało. Straszne i jednocześnie nie. To było to niewłaściwe rozwiązanie.

I w to właśnie wszedł George, gdy kolej zatrzymała się na końcowym przystanku. Wychodząc obejrzał się na nią i krzyknął:

–Czekaj na mnie, Heather! Nie idź za mną, nie wychodź!

Ale chociaż usiłowała go posłuchać, to przyszło do niej. Rozrastało się gwałtownie. Stwierdziła, że wszystko zniknę-ło i że jest zagubiona w panicznej ciemności, wykrzykując bezgłośnie imię swego męża, opuszczona, aż zwinęła się w

kulę wokół centrum swego istnienia i zaczęła bez końca spadać w suchą otchłań.

Siłą woli, która jest rzeczywiście potężna, jeśli użyć jej we właściwy sposób we właściwym czasie, George Orr znalazł pod stopami twardy marmur stopni prowadzących do Wieżowca ULBIR. Ruszył w przód, a oczy informowały go, że stąpa po mgłę, błocie, rozkładających się ciałach, niezliczonych drózkach. Było bardzo zimno, ale unosił się zapach rozgrzanego metalu i palących się włosów albo mięsa. Przeszedł przez hol. Złote litery z aforyzmu biegnącego dookoła kopuły zatańczyły przez chwilę wokół niego: LUDZKOŚĆ KOŚĆ O Ś Ś Ć. "Ś" usiłowały go przewrócić, pchając mu się pod nogi. Wszedł na ruchomy chodnik, choć go nie widział, stanął na stopniu spiralnych schodów ruchomych i pojechał w górę w nicość, stale podtrzymując ją mocą swej woli. Nie zamknął nawet oczu.

Na ostatnim piętrze podłogę stanowił lód grubości palca i zupełnie przezroczysty. Było widać przezeń gwiazdy półkuli południowej. Orr wszedł na niego i wszystkie gwiazdy zadźwięczały głośno i fałszywie jak popękane dzwony. O wiele gorszy był wstrętny zapach, od którego się dusił. Ruszył do przodu z wyciągniętą ręką. Napotkał płytę na drzwiach sekretariatu Habera. Nie widział jej, ale czuł ją dotykiem. Zawył gdzieś wilk. Lawa płynęła na miasto.

Doszedł do ostatnich drzwi. Otworzył je pchnięciem. Po drugiej stronie nie było nic.

–Pomóżcie mi – powiedział na głos, bo pustka go ciągnęła, przyciągała. Sam nie miał na tyle siły, aby przejść przez nicość na drugą stronę.

Czuł w umyśle jakby głuche ożywienie. Pomyślał o TluaToi Ennbe Ennbe i popiersiu Schuberta, i o Heather mówiącej 212

wścikłym głosem: "Co, do diabła, George!". Wydawało się, że tylko na tym może się oprzeć, przechodząc przez nicość. Ruszył do przodu. Jednocześnie wiedział, że straci wszystko, co ma.

Wszedł w środek koszmaru.

Zimna, niepewnie poruszająca się, wirująca ciemność ze strachu, która odciągała go na bok, rozrywała na strzępy. Wiedział, gdzie znajduje się Wzmacniacz. Wyciągnął swą śmiertelną rękę w normalnym kierunku. Dotknął go, wymacał dolny guzik i przycisnął go raz.

Następnie przykucnął, zasłaniając oczy i kuląc się, bo strach owładnął jego umysł. Gdy uniósł głowę i spojrział, świat zaistniał ponownie. Nie był w dobrym stanie, ale był.

Nie znajdowali się w Wieżowcu ULBIR, ale w jakimś ob-skurniejszym, zwykłym gabinecie, którego nigdy przedtem nie widział. Haber leżał rozciągnięty na kozetce, ogromny, ze sterzącą brodą. Znow była rudobrązowa, a skóra biaława, nie szara. Półotwarte oczy nic nie widziały.

Orr zgarnął elektrody, od których biegły przewody jak macki między czaszką Habera i Wzmacniaczem. Spojrzał na urządzenie. Wszystkie szafki stały otworem. Pomyślał, że powinno się je zniszczyć. Nie miał jednak pojęcia, jak to zrobić, ani woli, aby spróbować. Niszczenie nie leżało w jego charakterze, a maszyna jest jeszcze bardziej niewinna i bezgrzeszna od zwierzęcia. Nie ma absolutnie żadnych intencji poza naszymi własnymi.

–Doktorze Haber – odezwał się, potrząsając delikatnie wielkimi, ciężkimi ramionami śpiącego. – Haber! Obudź się!

Po chwili ogromne ciało poruszyło się i usiadło, zupełnie sflaczałe i bez życia. Ciężka, przystojna głowa zwieszała się

między ramionami. Usta obwisły. Oczy patrzyły prosto przed siebie w ciemność, w pustkę, w nieistotę tkwiącą wewnątrz Williama Habera. Już nie przejrzyste – puste.

Orr zaczął się go obawiać i cofnął się.

Pomyślał: "Muszę sprowadzić pomoc, sam się z tym nie uporam..." Wyszedł z gabinetu, przeszedł nieznaną poczekalnię, zbie\$ ze schodów. Nigdy przedtem tu nie był i nie miał pojęcia, co to za budynek ani gdzie się znajduje. Kiedy wyszedł na zewnątrz, poznał, że to jakaś ulica w Portland, ale to wszystko. Na pewno nie w pobliżu Parku Waszyngtona ani zachodnich wzgórz. Nigdy przedtem nie chodził po tej ulicy.

Pustka istoty Habera, koszmar efektywny emanujący ze śniącego mózgu przerwały połączenia. Ciągłość, jaka zawsze istniała między światami czy liniami czasowymi snów Orra została teraz przerwana i zapanował chaos. O swojej obecnej egzystencji miał nieliczne i niespójne wspomnienia, a prawie wszystko, co wiedział, pochodziło z innych wspomnień, z innych snów.

Inni, mniej świadomi od niego, mogli być lepiej przygotowani do tego przesunięcia istnienia, ale będą bardziej od niego przestraszeni, nie znając wyjaśnienia. Stwierdzą, że świat jest radykalnie, bezsensownie, nagle zmieniony, bez żadnej racjonalnej przyczyny. Sen doktora Habera pociągnie za sobą śmierć i przerażenie.

I stratę. Stratę.

Wiedział, że ją stracił. Wiedział to od chwili, kiedy wszedł z jej pomocą w paniczną pustkę otaczającą śniącego. Znik-nęła wraz ze światem szarych ludzi i ogromnego, sfalszowanego budynku, do którego wbiegł, zostawiając ją samą wśród zniszczenia i rozpadu koszmaru. Zniknęła. 214

Nie usiłował sprowadzić pomocy dla Habera. Dla Habera pomoc nie istniała. Dla niego też nie. Więcej już nie mógł zrobić. Szedł oszalałymi ulicami. Po nazwach ulic zorientował się, że jest w północno-wschodniej części Portland, części, o której niewiele wiedział. Budynki były niskie, a z rogów ulic czasami było widać górę. Zauważył, że erupcja ustała – a właściwie nigdy się nie zaczęła. Góra Hood wznosiła się w ciemniejące kwietniowe niebo, brązowofioletowa, uśpiona. Góra spała.

Śniąc, śniąc.

Orr szedł bez celu, idąc jedną ulicą, potem inną. Był wyczerpany i czasami chciało mu się położyć na chodniku i chwilę odpocząć, ale szedł dalej. Zbliżał się teraz do dzielnicy biurowej, do rzeki. W mieście, na wpół zniszczonym, na wpół

przekształconym, stanowiącym splątana mieszanię wspaniałych planów i niepełnych wspomnień, roilo się jak w domu wariatów. Ogień i szaleństwo przeskakiwały z domu na dom. A jednak ludzie krzatali się wokół swoich spraw jak zwykle: dwóch mężczyzn rabowało sklep jubilerski, a obok nich zmierzała do domu kobieta trzymająca w ramionach wrzeszczące, czerwone na twarzy dziecko.

Gdziekolwiek ten dom był.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Światło gwiazd spytało Niebyt: "Mistrzu, istniejesz czy nie istniejesz?" Nie otrzymało jednak odpowiedzi na to pytanie.

Zhuangzi XXII

Kiedyś w trakcie tej nocy, gdy Orr próbował odnaleźć wśród przedmiń i chaosu drogę do Corbett Avenue, zatrzymał go Obcy z Aldebarana i namówił, aby z nim poszedł. Orr zgodził się potulnie. Zapytał Obcego po chwili, czy jest Tiua'kiem Ennbe Ennbe, ale zrobił to bez przekonania, i chyba nie sprawiło mu różnicy, gdy Obcy wyjaśnił dość mozolnie, iż Orr nazywa się Jor Jor, a on sam E'nememen Asfah.

Zaprowadził go do swego mieszkania blisko rzeki, mieszczącego się nad warsztatem naprawy rowerów i tuż obok Ewangelicznej Misji Nadziei Wiecznej, która tej nocy była dość zatłoczona. Na całym świecie proszono mniej lub więcej grzecznie różnych bogów o wyjaśnienie tego, co się stało między 6.25 a 7.08 wieczorem Standardowego Czasu Pacyfiku. Gdy wspinali się ciemnymi schodami do mieszkania na pierwszym piętrze, pod stopami dźwięczał im słodko niehar-monijny "Rock of Ages". W mieszkaniu Obcy zaproponował Orrowi, aby położył się na łóżku, bo wygląda na zmęczonego.

–Sen, który zwikłane węzły trosk rozplata – powiedział Obcy.

–Zasnąć! Może śnić? W tym cały sęk – odparł Orr. Pomyślał, że jest coś w dziwnym sposobie komunikowania się Ob-216

cych, ale był zbyt zmęczony, aby stwierdzić, co. – Gdzie ty będziesz spał? – zapytał, siadając ciężko na łóżku.

–Nie gdzie – odpowiedział Obcy, rozdzielając swoją bezinto-nacyjną wymową ten wyraz na dwie równie ważne całości.

Orr pochylił się, żeby rozwiązać sznurowadła. Nie chciał zabrudzić narzuty Obcego butami, bo kiepsko odwdzięczyłyby się w ten sposób za jego uprzejmość. Zakręciło mu się od tego w głowie.

–Jestem zmęczony – powiedział. – Dużo dziś zrobiłem. To znaczy zrobiłem coś. Jedyne, co kiedykolwiek zrobiłem. Wcisnąłem guzik. Potrzebowałem do tego całej siły woli, nagromadzonej siły całej mojej egzystencji, żeby wcisnąć jeden cholerny guzik STOP.

–Dobrze żyłeś – powiedział Obcy.

Stał w kącie, najwyraźniej mając zamiar tak stać w nieskończoność.

Orr pomyślał, że wcale tam nie stoi. Nie w ten sam sposób, w jaki on by stał, siedział, leżał czy był. Stał w sposób, w jaki on sam mogły stać we śnie. Był tam w takim sensie, w jakim jest się gdzieś we śnie.

Położył się. Wyraźnie czuł litość i opiekuńcze współczucie Obcego stojącego w drugim końcu ciemnego pokoju. Al-debaranin widział go, ale nie oczyma, jako krótko żyjącą, cielesną, pozbawioną pancerza, dziwną istotę, nieskończenie bezbronną, unoszącą się na burzliwych wodach możliwości, jako stworzenie potrzebujące pomocy. Nie miał temu nic naprzeciw. Rzeczywiście potrzebował pomocy. Ogarnęło go zmęczenie, porwało jak prąd na morzu, w którym powoli się pogrążał.

–Er* perrehnne – mruknął, poddając się snowi.

–Er* perrehnne – odpowiedział bezdźwięcznie E'neme-men Asfah.

Orr spał. Śnił. Nie było żadnego lęku. Jego sny, jak fale na otwartym morzu, przychodziły i odchodziły, wznosiły się i opadały, głębokie i nieszkodliwe, nigdzie się nie wlewając, niczego nie zmieniając. Tańczyły pośród wszystkich innych fal w morzu istnienia. Poprzez jego sen nurkowały wielkie, zielone żółwie morskie, płynąc przez głębiny z ciężką, niewyczerpaną gracją, tkwiąc w swym żywiole.

Na początku czerwca drzewa zupełnie okryły się liśćmi i zakwitły róże. Kwitły na różowo w całym mieście: na kolczastych łodygach, duże, staromodne, wytrzymałe jak chwasty, nazywane różami portlandzkimi. Wszystko dość dobrze się ułożyło. Gospodarka się odradzała. Ludzie kosili trawniki.

Orr znalazł się w Federalnym Zakładzie dla Umysłowo Chorych w Linnton, nieco na północ od Portland. Budynki wzniesione na początku dziewiętnastego wieku stały na wielkim urwisku górującym nad gotycką elegancją mostu St. Johns i łąkami nawadnianymi wodami Willamette. Pod koniec kwietnia i w maju mieli tam okropny tłok z powodu epidemii załamań nerwowych po niewyjaśnionych wydarzeniach wieczoru określanego teraz jako "Przełom", ale najgorsze już przeszło i życie w zakładzie wróciło do niedo-inwestowanej, przepełnionej, strasznej normy.

Wysoki sanitariusz o cichym głosie zaprowadził Orra na piętro do pojedynczych pokoi w skrzydle północnym. Drzwi do niego prowadzące i drzwi do wszystkich pokoi były ciężkie, na wysokości półtora metra miały okratowanego judasza i wszystkie były zamykane na klucz. 218

–Nie sprawia kłopotu – odezwał się sanitariusz, otwierając drzwi prowadzące na korytarz. – Nigdy nie wpadł w szal. Ale wywiera zły wpływ na innych. To już jego trzeci oddział. Inni pacjenci się go boją, nigdy nie widziałem czegoś takiego. Wszyscy wpływają na siebie wzajemnie, wpadają w panikę, awanturują się w nocy i tak dalej, ale nie tak. Boją się go. Walą po nocach do drzwi, żeby od niego uciec. A on tylko sobie leży. Prędzej czy później wszystko się tu widzi. Chyba nie obchodzi go, gdzie się znajduje. Proszę. – Otworzył drzwi i wszedł pierwszy do pokoju. – Ma pan gościa, doktorze Ha-ber – powiedział.

Haber schudł. Błękitno-biała piżama wisiała na nim jak na wieszaku. Włosy i brodę miał krótsze, ale zadbane. Siedział na łóżku i wpatrywał się w pustkę.

–Doktorze Haber – powiedział Orr, ale głos odmówił mu posłuszeństwa. Poczul przejmującą litość i strach. Wiedział, na co patrzy Haber. Patrzył na świat po kwietniu 2015 roku. Patrzył na świat przez pryzmat nierozumiejącego go umysłu i widział zły sen.

W jednym z wierszy T.S. Eliota jest ptak, który mówi, że ludzkość nie może znieść zbyt wiele rzeczywistości, ale ten ptak się myli. Człowiek może wytrzymać cały ciężar wszechświata przez osiemdziesiąt lat. Ale nie może znieść nierzeczywistości.

Haber był stracony dla świata, bo stracił z nim kontakt.

Orr znów próbował coś powiedzieć, ale nie znalazł słów.

Wycofał się, a sanitariusz trzymający się tuż obok niego zamknął za nimi drzwi na klucz.

–Nie mogę – powiedział Orr. – Nie ma sposobu.

–Żadnego – zgodził się sanitariusz. Idąc korytarzem, dodał swoim cichym głosem: – Doktor Walters mówi, że był bardzo obiecującym naukowcem.

Orr wrócił do śródmieścia statkiem. Komunikacja znajdowała się jeszcze w stanie chaosu. Miasto usiłowały obsługiwać fragmenty, pozostałości i początki około sześciu systemów komunikacji. Reed College miał stację metra, ale bez linii; kolej linowa do Parku Waszyngtona kończyła się u wlotu tunelu biegnącego pod Willamette, ale urywającego siew pół drogi. Tymczasem pewien przedsiębiorczy osobnik wyremontował parę statków wożących niegdyś wycieczkowiczów po Willamette i Kolumbii i zrobił z nich promy kursujące regularnie między Linnton, Vancouver, Portland i Ore-gon City. Przyjemny rejs.

Żeby odwiedzić zakład, Orr zrobił sobie dłuższą przerwę obiadową. Jego pracodawcę, Obcego, E'nememena Asfaha, nie interesowały przepracowane godziny, ale wykonana praca. Było własną sprawą pracownika, kiedy ją wykona. Orr dużo pracował głową, leżąc na wprost obudzony godzinę przed wstaniem rano.

Kiedy wrócił do "Zlewu Kuchennego" i usiadł przy rysownicy w warsztacie, była trzecia. Asfah obsługiwał klientów w salonie wystawowym. Jego personel składał się z trzech projektantów. Miał kontrakty z różnymi wytwórcami wyposażenia kuchennego wszelkiego rodzaju: misek, garnków, narzędzi, urządzeń – wszystkiego oprócz sprzętu ciężkiego. Przełom wprowadził katastrofalny zamęt do przemysłu i dystrybucji, a rządy, zarówno narodowy, jak i międzynarodowy, były tak zdezorganizowane całymi tygodniami, że polityka nieinterwencji rządowej w handlu zwyciężyła z ko-220

nieczności, i małym prywatnym firmom, które utrzymały się na powierzchni albo powstały w tym okresie, wiodło się dobrze. W Oregonie pewną liczbę tych firm, zajmujących się wszelkiego rodzaju dobrami materialnymi, prowadzili Alde-barianie. Byli dobrymi kierownikami i nadzwyczajnymi sprzedawcami, choć do wszystkich prac ręcznych musieli zatrudniać ludzi. Rząd ich lubił, ponieważ chętnie akceptowali rządowe ograniczenia i kontrolę, bo gospodarka światowa stopniowo przychodziła do siebie. Ludzie znów już mówili o całkowitym dochodzie narodowym, a prezydent Merdle przewidywał powrót do normalności przed Bożym Narodzeniem.

Asfah sprzedawał detalicznie i hurtowo i "Zlew Kuchenny**" cieszył się popularnością ze względu na solidne produkty i uczciwe ceny. Od czasu Przełomu gospodynie domowe przychodziły coraz liczniej, na nowo urządzając nieoczekiwane kuchnie, w których znalazły się tego kwietniowego wieczora. Orr oglądał właśnie próbki drewna na deski do krajania, gdy usłyszał, jak jedna z klientek mówi:

–Chciałabym taką mątwkę do jajek – i ponieważ głos ten przypominał głos jego żony, wstał i zajrzał do salonu. Asfah pokazywał coś brązowskórej kobiecie średniego wzrostu, około trzydziestki, z krótkimi, czarnymi, sztywnymi włosami rosnącymi na ładnie sklepionej głowie.

–Heather – powiedział podchodząc.

Odwróciła się. Patrzyła na niego przez dłuższą chwilę.

–Orr – odezwała się, – George Orr. Tak? Kiedy ja pana znałam?

–W... – zawahał się. – Nie jest pani prawniczką? E'nememen stał ogromny w zielonkawym pancerzu, trzymając mątwkę.

–Nie. Jestem sekretarką w firmie pracowniczej "Rutti i Goodhue" w budynku Pendletona.

–To ta sama. Byłem tam kiedyś. Czy ta się pani podoba? Zaprojektowałem ją. – Wyjął ze stojaka inną mątwkę i pokazał ją jej. – Widzi pani, jest dobrze wyważona. I szybka. Zwykle druty są zbyt napięte albo za ciężkie, z wyjątkiem tych z Francji.

–Wygląda nieźle – powiedziała. – Mam stary mikser elektryczny, ale chciałabym coś takiego przynajmniej powiesić na ścianie. Pan tu pracuje? Kiedyś tak nie było. Teraz pamiętam. Był pan w jakimś biurze na Stark Street i chodził pan do lekarza na Dobrowolną Terapię.

Nie miał pojęcia, co albo ile sobie przypominała ani jak to wpasować do własnych, licznych wspomnień.

Jego żona miała oczywiście szarą skórę. Podobno teraz jeszcze istnieli szarzy ludzie, szczególnie na środkowym zachodzie i w Niemczech, ale większość pozostałych wróciła do białego, brązowego, czarnego, czerwonego i żółtego koloru skóry oraz wszelkich mieszanek. Pomyślał, że jego żona była szarą osobą, o wiele łagodniejszą niż ta. Ta Heather miała dużą czarną torebkę z mosiężnym zamkiem i prawdopodobnie butelką koniaku w środku. Jego żona była nieagresywna, i choć odważna, nieśmiała w zachowaniu. To nie była jego żona, ale kobieta o wiele ostrzejsza, żywsza i trudniejsza.

–To prawda – powiedział. – Przed Przełomem. Mieliśmy... Właściwie to umówiliśmy się na obiad, panno Lelache. "U Dave'a" przy Ankeny. Nie spotkaliśmy się wtedy.

–Nie jestem panną Lelache, to moje nazwisko panińskie. Nazywam się Andrews.

222

Patrzyła na niego z ciekawością. Wytrzymał rzeczywistość.

–Mój mąż zginął podczas wojny na Bliskim Wschodzie -dodała.

–Tak – powiedział Orr.

–Czy pan projektuje to wszystko?

–Większość narzędzi. I garnki. O, czy podobacie to pani? – Wyciągnął imbryk do herbaty z miedzianym dnem, solidny, ale elegancki, z konieczności zachowujący proporcje żaglowca.

–A komu by się nie podobał? – odpowiedziała, wyciągając rękę. Podał jej go. Zważyła go w rękę, podziwiała. – Lubię przedmioty – powiedziała.

Skinął głową.

–Jest pan prawdziwym artystą. Jest piękny.

–Pan Orr jest specjalistą od rzeczy namacalnych – wtrącił właściciel, mówiąc bez intonacji lewym łokciem.

–Niech pan posłucha, ja pamiętam – powiedziała nagle Heather. – Oczywiście, to było przed Przełomem, dlatego tak mi się wszystko pomieszało. Śniło się panu, to znaczy myślał pan, że śnią się panu rzeczy, które się sprawdzają. Prawda? A ten lekarz zmuszał pana, żeby pan śnił coraz więcej, a pan nie chciał, i szukał pan takiego sposobu przerwania Dobrowolnej Terapii z nim, żeby jednocześnie nie dostać Obowiązkowej. Widzi pan, pamiętam. Czy przepisali w końcu pana do innego psychiatry?

–Nie. Przerosłem ich – powiedział Orr i roześmiał się. Ona też.

–A co pan zrobił ze snami?

–Och... śniłem nadal.

–Myślałam, że może pan zmienić świat. Czy cały ten bałagan to jest najlepsze, co mógł pan dla nas zrobić?

–Będzie musiało nam wystarczyć – odparł.

Sam wolałby mniejszy bałagan, ale nie należało to do niego. A przynajmniej miał tu Heather. Szukał jej najlepiej, jak potrafił, nie znalazł, i zaczął szukać pocieszenia w pracy. Nie dawała mu go wiele, ale była to praca, do jakiej się nadawał, a nie brakło mu cierpliwości. Lecz teraz jego sucha i milcząca żaloba po straconej żonie musi się skończyć, bo oto stoi przed nim do zdobycia na zawsze, ta ostra, krnąbrna i krucha obca osoba.

Znał ją, znał tę obcą, wiedział, jak podtrzymywać z nią rozmowę i jak ją rozśmieszyć. W końcu powiedział:

–Chciałaby pani napić się kawy? Zaraz obok jest tu kawiarnia. Mam przerwę.

–Akurat – odparła. Była za piętnaście piąta. Rzuciła okiem na Obcego. – Jasne, że chciałabym się napić kawy, ale...

–Będę za dziesięć minut, E'nememen Asfah – powiedział Orr do swego pracodawcy, idąc po płaszcz przeciwdeszczowy.

–Weź cały wieczór – rzekł Obcy. – Jest czas. Są powroty. Iść znaczy wrócić.

–Bardzo dziękuję – odparł Orr i podał rękę szefowi. Ujął swą ludzką ręką wielką, chłodną, zieloną płetwę. Wyszedł z Heather w ciepłe, deszczowe letnie popołudnie. Obcy obserwował ich zza oszklonego frontu sklepu jak jakaś istota morska patrząca z akwarium na przechodzących i znikających we mgle ludzi.

This file was created with BookDesigner program

bookdesigner@the-ebook.org

2011-02-25

LRS to LRF parser v.0.9; Mikhail Sharonov, 2006; msh-tools.com/ebook/